Trzy szkice powieściowe

Z ROKU 1863

PRZEZ

ELPIDONA

Nakładem autora.

KRAKÓW.
W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.

1869.

Trzy szkice powieściowe

Z ROKU 1863.

PRZEZ

ELPIDONA.

Bałucki Michał

Nakładem autora.

KRAKÓW.

W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.

1869.

I.

Żony niewolników.

I.

NIESPODZIEWANI.

Jest wieczór jesienny, księżycowy — ciemno-seledynowe niebo, na niém gdzie-niegdzie emalią z białych obłoków, srebrnych po krawędziach. Na tle tego nieba czerni się dwór na wzgórzu, otoczony topolami i ogrodem — przez poplątane czarne pnie drzew i przez drobne dygotające liście przeziera złota tarcza księżyca i okna dworu jasno oświetlone. Poniżéj dworu przy topolowéj alei stoi kuźnia i mieszkanie kowala — drzwi chaty otwarte — widać ogień na kominie wijący się koło garnków okopconych — w progu chaty na tle ogniska rysuje się głowa kobiety, siedzącéj z dzieckiem uśpioném na ręku.

W takiéj cichéj sielance zaczyna się powieść nasza, zanim ją zmąci zawierucha bolów i namiętności.

Za rzeką we wsi psy zaczęły ujadać mocno, na gościeńcu dał się słyszeć turkot wózka. Na wózku siedziało dwóch mężczyzn, jeden młodzieniaszek prawie, drugi już u schyłku męzkiego wieku. Młody przytrzymywał za skórzaną obrożę dużego czarnego psa, który mu się niespokojnie wił pod ręką.

— Mera, siedź cicho.

Pies przycupnął, ale nie przestał skomleć i bić ogonem, a wzrokiem zdawał się mówić do swego pana: puść mnie.

— Jak ona wymownie prosi — no leć, leć!

Pogłaskał psa i puścił. Pies wskoczył z szelestem między bujny rzepak pokryty szronem i wnet zniknął z oczów, tylko radosne, urywane skowyczenie słychać było to po jednéj, to po drugiéj stronie drogi. Pies sobie przypominał przeszłość. Czasami wracał do wózka zaszczekał kilka razy, jakby coś opowiadał, jakby się chciał dzielić radością z panem i znowu odlatywał.

— Patrz Pan — odezwał się młodszy — po tylu latach jak ona poznała te strony. Poczciwe zwierze. Nieraz tam w obczyźnie, kiedy tęsknota za krajem łzy mi wyciskała, ten pies patrzył na mnie takim wzrokiem współczucia, jakby miał duszę i serce.

— Dla czego pan mówisz „jakby". Wątpiąc w to, musiałbyś pan uczucia miłości stron rodzinnych, przywiązania, żalu nazwać czysto zwierzęcym popędem. Widziałem psa, co skonał z żalu na grobie — ludzie to rzadko umieją.

Mówiąc to, roześmiał się trochę szyderczo, trochę boleśnie.

Przejeżdżali koło rzeki szerokiém płynącéj korytem — w księżycowém oświetleniu za mgłą niebieskawą miała podobieństwo do olbrzymiego zwierciadła, przesłoniętego gazą. Pies stanął nad rzeką i zawył.

— Poznała i te miejsca. Tu ją wyratowałem od śmierci. Było to podczas wielkiego wylewu rzeki: wśród mnóstwa sprzętów, które mętna woda pounosiła, zobaczyłem psią budkę płynącą, ta suka przykuta do łańcucha siedziała na dachu budy, trzymając się silnie łapami, pysk podniosła w górę i wyła boleśnie z rozpaczy, że nie mogła ratować ani siebie, ani swych szczę-

niąt, które spadając z mokrego daszku w rzekę tonęły. Ostatnie trzymało się jeszcze matki, łapkami spinało się z wysiłkiem na brzeg daszku, wtem buda uderzyła o pał mostowy i ostatni szczeniak skomiąc, spadł w mętne bałwany. Nie uwierzysz pan jak tragiczną była ta scena, jak rozdzierającą serce boleść tego zwierzęcia. Żal mi się go zrobiło — obiecałem ludziom stojącym na brzegu nagrodę za wyratowanie psa i odtąd mam go przy sobie. Bywały chwile, w których on był jedynym moim towarzyszem i przyjacielem, dziwnie przywiązał się do mnie i rozumiał mnie. O patrz pan — teraz biegnie ścieszką od mostu, tam ku temu okopconemu kominowi, co sterczy wśród gruzów — to szczątki chaty, w któréj się urodziłem — tam często chodził on ze mną.

Przestał na chwilę mówić i patrzał.

— Jak dziwne wrażenie robi na mnie zawsze ta kupa gruzów i gliny, pamięć buduje z nich napowrót przeszłość. To jedyne pamiątki po moich ojcach — w płomieniach palącéj się chaty zginęli oboje — sieroty zabrał dziedzic do dworu. Tam druga część moich wspomnień.

— Równie smutnych?

— O nie.

— Jakaś uroczystość dziś musi być we dworze — w oknach światła tyle.

— Dziś imieniny mojego opiekuna.

— Czy ma dzieci?

— Ma córkę.

Ten, który pytał, spojrzał badawczo w twarz mówiącego, pokiwał smutnie i mówił najprzód z wolna i cicho, potem twarz jego się rozogniła i głos silniał.

— O ja rozumiem takie chwile, jaką ty masz teraz mój młody przyjacielu, i ja kiedyś miałem takie chwile rozkosznego drzenia. Nie byłem tak potwornym

jak teraz, byłem nawet przystojnym, — Aniela kochała mnie bardzo. I ja ją kochałem, ale bardziéj niż ją, kochałem wolność narodu — pożegnałem więc ją i poszedłem się bić. Pod Ostrołęką dostałem się do niewoli — zapędzono nas w Sybir. Niechcąc wiązać losu dziewczynie, odesłałem jéj zaręczynowy pierścionek i zwolniłem z danego słowa. Bóg widział co się działo wtedy w mojéj duszy, zrywałem ostatnie nitki wiążące mnie z życiem; okropnie to pomyśleć, że tam w kraju ani jedno już serce nie będzie za nami gonić myślami, nie zapłacze, nie zatęskni; ale darmo, sumienie nakazywało mi to zrobić. Sybirskie mrozy wygryzły łzy z mojéj twarzy — uspokoiłem się, raczéj obumarłem.

Po kiku miesiącach dostałem list — list od niéj, w liście pierścionek — pisała mi, że nie będzie tylko moją. O! to był jedyny dzień w życiu, w którym mogłem oszaleć z radości — jeden — jedyny.

Po kilku latach staraniem jéj familii uzyskałem pozwolenie wrócenia do kraju. Wracałem, ale zmieniony do niepoznania. Niezwykłe mrozy szkodliwie podziałały na moje ciało, potworzyły się jakieś wrzody, skorupy, z pod których twarz moja wyszła w téj potwórnej formie, w jakiéj ją teraz widzisz. Zdrętwiałem, ujrzawszy się pierwszy raz w zwierciedle, ałem znalazł pociechę w przypomnieniu jéj ostatniego listu. Kobieta, która się zdobyła na takie postanowienie, ukochała zapewne sercem nie oczami. Ta nadzieja mnie ożywiała. Drzałem z radości, jak ty teraz drzysz może, kiedym się zbliżał do miejsc, w których ona mieszkała.

Opowiadający przerwał opowiadanie, oczami zawisnął jakby nad jakąś czarną przepaścią i patrzał w nią ponuro.

— No i cóż?...

Pytanie zbudziło go.

— Co? Zobaczywszy mnie, zemdlała — to — była zbyt wymowna odpowiedź, bym mógł nie zrozumieć. Potém przymuszała się patrzeć spokojnie na moją brzydotę, ale ja czytałem wyraźnie odrazę i przymus na jéj twarzy — oddałem jéj więc pierścionek i wyjechałem. — Widzisz, co to jest kobieta — umiała się zdobyć na wielkie poświęcenie, na długie lata wyczekiwania, może wiecznego staropanieństwa, ale nie umiała kochać człowieka z oszpeconą twarzą. Ona kochała się tylko w piękności. Nie dziwiłem się temu wiele. W pół roku potém poszła za mego brata. — To było już urągowisko zbyt bolesne, ból mój zamienił się w wściekłość, bo trzeba ci wiedzieć, że brat był podlec: gdym odjeżdżał do powstania, na przypadek niefortunnych wypadków, chciałem zabezpieczyć mój majątek od konfiskaty, zrobiłem więc formalne zrzeczenie się praw moich na niego. Wróciwszy z niewoli, zażądałem zwrotu majątku, łotr pokazał mi mój zapis i powiedział mi: niemasz nic. I ten sam brat został mężem mojéj narzeczonéj. Pojmujesz ty co się tam wtedy dziać musiało we mnie, burza najdokuczliwszych boleści i najszkaradniejszych namiętności szalała we mnie i tłukła się po piersiach. O, granitowa to pierś być musi, że ją ta burza nie rozwaliła w gruzy. Ale cóż mogła wściekłość biednego wygnańca przeciw temu, którego broniło prawo i bagnety moskiewskie? Do kraju wrócić nie mogłem. Uczucie zemsty nie szkodząc jemu, mnie samemu tylko piersi paliło. Posłałem mu raz wyzwanie — nie odpisał, pod tarczą wroga czuł się bezpieczny. Ale teraz czas się zmienił, trybunał rewolucyjny będzie nas sądził, wracam aby się mścić.

— Ja sądziłem, że pan wracasz bić się za wolność.

— Chcę walczyć z tém co złe, co podłe, co nas krzywdzi — a on do nich należy. Ja przebaczać nie umiem.

Wózek zatrzymał się przed karczmą, młody człowiek wyskoczył z niego i rzekł:

— Pójdę naprzód, przywitam moją siostrę — czekam tam pana.

I poszedł w górę ku dworowi.

Kobieta siedząca w progu chaty, słysząc szelest kroków po zwiędłych liściach, ruszyła się.

— To wy Marcinie?

Chciała coś mówić daléj, niedokończyła zobaczywszy obcego człowieka przed sobą.

— Teresko — odezwał się przybyły serdecznym głosem — nie poznałaś mnie? Twój brat — Jan.

— To wy? — zawołała kobieta radośnie i zerwała się na powitanie. Rzewne było powitanie sierót — on był wzruszony, ona trochę do niego nieśmiała.

— I cóż tu nowego u was? — spytał wchodząc z nią do izby.

Rozsunęła fałdy chustki, w którą była okryta i za odpowiedź pokazała mu uśpione dziecko. Jan pocałował je ostrożnie, by nie przebudzić i przyglądał mu się z uczuciem.

— Nazwaliśmy je twojém imieniem — rzekła Tereska.

Jan podziękował jéj wzrokiem.

— Gdzież Marcin?

— Bóg wie — odrzekła skarżąc się.

Brat spojrzał na nią pytająco, z zadziwieniem.

— Jakto, czy może źle żyjecie ze sobą?

— Uchowaj Boże, Marcin dobry dla mnie jak zawsze, ale...

— Ale cóż?

— Od jakiegoś czasu zaniedbał się w robocie, chodzi Bóg wie gdzie, czasem bywa, że go pare dni niema.

— Może pije?

— Nie. —

— I nigdy ci nie powiedział, gdzie chodzi?

— Mówił, że za robotą, ale ja temu nie wierzę, bo mówiąc to, nie patrzał mi w oczy. A kiedy widział, że zaczęłam lamentować, przyszedł do mnie, pogłaskał mnie po głowie i powiedział wtedy: nie trap się Teresko, będzie nam wszystkim kiedyś lepiéj. Nierozumiałam, a on więcéj powiedzieć nie chciał. Mnie strach o niego...

— Czy się domyślasz czego?

— Słuchaj! — rzekła tajemniczo, i przysunąwszy się do niego, poczęła mówić stłumionym głosem.

— Od niejakiego czasu pokazują się koło boru jacyś ludzie nieznajomi — we wsi mówią, że to rabusie że będą palić wsie.

— Gadaniny, przewidzenia.

— Nieśmiéj się — sama ich widziałam na własne oczy. Kilka dni temu wracałam z jarmarku już późno wieczór; — za wsią koło stawów zobaczyłam w sitowiach kilku z tych ludzi. Gdy mnie zobaczyli, cofnęli się chyłkiem ku lasowi. To jeszcze nic: ale zbliżając się do wsi, zobaczyłam Marcina — zmięszał się, zetknąwszy się ze mną, powiedział, że wróci zaraz i kazał mi iść do domu. Ale mnie coś nie dało odejść, przystanęłam za drzewem i patrzałam za nim. On idąc, oglądał się często, potém zsunął się między zarośle i poszedł także ku lasowi. Na drugi dzień gadano po wsi, że z tamtéj strony lasu jacyś ludzie w nocy napadli na dom leśniczego i jego samego powiesili. I cóż ty bracie na to? —

Jan nie wiedział, jak sobie to wszystko tłómaczyć, jak uspokoić siostrę. Przed chatą zaturkotał wózek.

— Odchodzisz już? — spytała Tereska brata a w zapytaniu jéj drżała ukryta miłość siostrzana.

— Jadę do dworu. —

— Tam dziś uroczystość. —

— Wiem, imieniny opiekuna. —

— I wesele jego córki.

Jan zdrętwiał, zbezwładniał z przerażenia — słowa siostry jak piorun uderzyły w jego nadzieje i strzaskały je.

Machinalnie jak lunatyk wyszedł do wołającego i siadł na wózek. Gdy konie ruszyły, on jakby przebudzony chwycił za rękę towarzysza i rzekł zmienionym głosem:

— Wróćmy!

— Czemu?

— Tam wesele.

Syberyjczyk pokiwał smutnie głową:

— Więc i tobie przeznaczenie taką niespodziankę przygotowało. Podaj mi rękę mój przyjacielu — lata nas różnią, nieszczęście nas łączy. Pojedziemy tam, spojrzysz w twarz twemu losowi — to cię zahartuje. Wiesz dobrze, że nie dla gołębich gruchań jechaliśmy w te strony, dla wielkich celów trzeba wiele ponieść na ofiarę, ponieś ty boleść twoją, ucisz namiętne drgania serca i chodź naprzód — jedźmy.

Wjechali w dziedziniec — uprzedźmy ich w sali.

Mnóstwo było gości z okolicy, weselne gody odbywały się cicho, poważnie — ale wystawnie. Wśród gości nie trudno odszukać pannę młodą: poznać ją po tym blasku, jakim promienieje w dzień wesela twarz oblubienicy, poznać po wianku mirtowym i długiej gazowéj zasłonie. Siedzi niedaleko okna, zapatrzona w ziemię, płonie słuchając pierwszych słów męża, i skubie kwiaty oleandrów nie rumieńsze od niéj.

Nagle łoskot się zrobił u drzwi, jakiś czarny, duży pies przewrócił lokaja z tacą, wpadł między przestraszone panie i czegoś szukał. Znalazł pod oleandrem i rzucił się ku pannie młodéj skomląc z radości i szalejąc prawie.

— Mera — szepnęła Anna i drgnęła lekko — pies przypomniał jéj coś może z przeszłości. Ona chowała się razem z Janem — lubili się bardzo. Jan był dla niéj tak dobry zawsze, ale o miłości nigdy nie mówił. Potem musiał uciekać za granicę. — Annie z początku było bardzo smutno, potém mniéj i pocieszała się mówiąc sobie: „nie wróci“, albo „kto wie czy mnie kocha“ — i poszła za mąż — nie była stworzoną na heroinę smutnych romansów. Tak samo zrobiłaby każda — tém się tłómaczyła przed sobą. A jednak w téj chwili ten pies zbudził w niéj jakieś niespokojne drżenie, zmusił ją, że pobladła i trwożnie spojrzała ku drzwiom.

Wszedł ojciec jéj prowadząc do sali Jana i kogoś drugiego, odrażająco brzydkiego: oczy czarne miał w głąb pod czaszkę wsunięte i szydercze, na oszpeconéj i pokrzywionéj twarzy był rzadki zarost. Annie się zdało, że Jan prowadzi ze sobą szatana, by się mścił.

— Proszę panów — mówił gospodarz — poznam was z rodzicami mego zięcia — i prowadził ich do stołu i chciał przedstawiać. Ojciec pana młodego był zagadany z kimś mocno, trącony przez gospodarza, odwrócił się, spojrzał na syberyjczyka i obydwaj ci ludzie skrzyżowawszy spojrzenia, odskoczyli od siebie nagle, jak armaty po wystrzale.

W sali zrobiło się wielkie zamieszanie.

— Co to jest? — zawołał zdziwiony gospodarz.

Syberyjczyk twarz miał jak jedną krwawą ranę, oczy rzucały płomienie, chwycił za rękę Jana i ścisnąwszy ją silnie w swych dłoniach, rzekł ochrypłym głosem:

— Patrz! to ten łotr, którego niegdyś nazywałem bratem moim.

II.

LUDZIE Z LASU.

Tego samego wieczora w mieście powiatowém, leżącém o półtory mili od miejsca w pierwszym rozdziale opisanego, obchodzono także imieniny w domu burmistrza. Solenizant był typem zmoskwiczonego Polaka — olbrzymia masa cielska ujęta w mundur, twarz ospowata ogolona, na któréj obok przybranéj powagi, wypisana była bezczelna podłość. Burmistrz o dwie tylko rzeczy ubiegał się w życiu: o łaski carskie i o dobre wino. Pierwszych ślad nosił na swoich piersiach, drugiego na fioletowym nabrzękłym nosie. Rozumie się, że w domu takiego człowieka tylko moralne karykatury miasta znajdować się mogły. Ciekawą była ta kollekcyja małomiejskich elegantek w kwiecistych sukniach, objuczonych kosztownościami dobytemi świeżo z pudełek, tych piszczyków i niższych urzędników zginających się służbiście wobec dam i burmistrza. Jedna tylko osoba uderzy nas wśród tych gości. Jest nią młoda kobieta w żałobie. Twarz jéj blada, profilem przypominała egipskie płaskorzeźby — w wązkich cierpko zaciśniętych

ustach i w lekkim zmarszczku, co się cieniował czasem między brwiami, znać było energią prawie męską, którą łagodził smętny wyraz jéj spojrzenia. Bujne, czarne włosy okalające twarz bladą, miały coś pogrzebowego w sobie. Kobieta ta siedząc przy oknie, zdawała się nieuważać na resztę towarzystwa, niedbać o nie, niekiedy tylko wzrok jéj zwracał się w drugą stronę pokoju w lustro, w którém odbijały się osoby siedzące po téj saméj stronie co ona; pomiędzy tymi osobami twarz jakiegoś młodego mężczyzny zwrócona była bezprzestannie w stronę lustra — tam ich spojrzenia krzyżowały się: jego było błagalne, nieśmiałe — jéj trochę ponure a spokojne. Chwilę trwała ta ócz rozmowa — potém kobiéta zwróciła się ku oknu i patrzała czas niejaki na ulicę. Gdy się odwróciła, młodzieniec stał przed nią.

— Kogo pani tak wygląda? —

— Ja? — Nikogo.

Rozmowa się urwała, — młodzieniec spuścił oczy kobiéta przenikliwie na nim zatrzymała spojrzenie, — on widocznie wahał się z nowém zapytaniem. —

— Panno Konstancyo — spytał wreszcie — czy to prawda że...

— No, mówże pan —

— Że kapitan Kryłow ma dziś prosić opiekuna o pani rękę? —

Skrzywiła usta w cierpki uśmiech. —

— Niewiem — być może.

Młodzieniec ruszył się niespokojnie —

— I pani...

— Cóż?

— Pani byś przystała?

— Niewiem jeszcze. —

— Jakto? Pani byś się zgodziła iść za Moskala? — wybuchnął młodzieniec na pół z trwogą, na pół z oburzeniem.

Konstancya wsparła głowę na ręce i mówiła z gorzkim uśmiechem:

— Czemu nie? Jeżeli być zależną od mężczyzny — to lepiéj przecie od pana niż niewolnika? Jeżeli powierzyć przyszłość i siebie — to takiemu, na którego pomoc i siłę liczyć można. Ale iść do ołtarza i wiedzieć, że ten, który nam ślubuje opiekę, jest bezsilny, że nas nie może zasłonić przed obelgą lada żołdaka moskiewskiego, zostać żoną niewolnika — to okropnie!

Ostatnie słowa mówiła żywo, namiętnie — gorączkowy rumieniec zfarbował jéj bladą twarz.

— Pani jesteś bez litości dla zwyciężonych.

— Dla zwyciężonych? — Ja walki nie widzę. — Jedyną walką waszą słowa, poeci jęczą jak dziady, że źle — a w chwili czynu schwycą naród zą poły i zawołają z trwogą: nie czas. Zamiast téj trzody poetów, wolałabym jednego człowieka dzielnego.

— Dziwnie brzmią takie słowa w ustach kobiety.—

— Bo téż i życie moje nie poszło zwykłą drogą kobiety.

W ósmym roku życia musiałam już uciekać z ojcem z kraju — los nas rzucał jak wiatr śmieci: w Berlinie jako kwiaciarka, w Strasburgu jako szwaczka, w Paryżu jako wyrobnica przy mularzach pracowałam na siebie i na ojca. O! patrz pan, te ręce pamiętają dobrze przeszłość moją; te chwile, w których rozpacz i trwoga mnie brały, zkąd wziąść na zapłacenie komornego, na opał, na życie. Wśród ludzi obcych takie chwile, takie troski — to piekło.

A ojciec? — przecież on....

— Ojciec w rok po wyjeździe z kraju dostał obłąkania. Wyrzuty, że porzucił wspólników spisku i uciekł, dręczyły go, truły, a w końcu pomieszały mu zmysły. Nie chciałam go oddać do szpitala — byłam sama jego dozorcą — nieraz w gwałtownych napadach szaleństwa

musiałam się mocować z nim, córka z ojcem — pojmujesz pan? — O! takie chwile mogą przenaturzyć kobietę. Trzynaście lat tak przeżyłam wśród szamotania się z nędzą, ze złymi ludźmi. W końcu ojciec począł napierać się o powrót do kraju — z każdym dniem ta chęć jego w gwałtowniejszych okazywała się sposobach, tak, że niepodobna było dłużéj sprzeciwiać się. Dla obłąkanego łatwo wyrobiono amnestyją; wuj po wielu prośbach zgodził się dać mu chleb łaskawy, i wróciliśmy. Pamiętam ten dzień — stanęliśmy w Warszawie rok temu — 15 października. W kościołach obchodzono rocznicę śmierci Kościuszki. I czy pan wiesz jakie mnie tu czekało przywitanie? — Uściski pijanych rozbestwionych żołdaków moskiewskich i pocałunek, co mi twarz skalał.

Zakryła dłoniami twarz rumianą od wstydu.

— I nikt, nikt dotąd nie pomścił hańby tylu znieważonych niewiast — ha! niewolnicy! —

Po chwili odchyliła rękę i patrząc na Augusta wzrokiem na pół dzikim, nieprzytomnym, rozgorączkowanym, spytała:

— A teraz, będziesz się pan dziwił dla czego taką jestem? —

Nagle zmieniła głos i wyraz twarzy — rozśmiała się nieszczerze, cierpko i rzekła pokazując na drzwi:

— O! mój narzeczony. —

We drzwiach stał kapitan Kryłow w zielonym mundurze piechoty, giętki, zgrabny, wysmukły jak kozak — twarz miał śniadą, wcale piękną, z czarnym wąsikiem — w oczach szelmowski uśmiech — w ruchach dzikość i niby elegancyja — ten człowiek z równą przyjemnością szedłby wieszać i tańczyć. Gospodarz wybiegł skwapliwie na jego przywitanie. Kapitan przywitał gości — lecz choć się im grzecznie kłaniał, szyderskim uśmiechem oczów drwił z nich i lekceważył.

— A! pani znowu w żałobie? Pani chce gwałtem do aresztu? — mówił. —

Konstancya przygryzła wargi. —

No, ale ja pani nie wsadzę, bo taka ładna buzia nie na chowanie ale na smatrenije.

To miał być komplement — Kryłow był rad z niego.

Konstancya udała, że nie słyszy — oczami błąkała się po sali, po gościach — wzrok jéj spotkał się ze wzrokiem Augusta, który naprzeciw niéj stał i bacznie śledził rozmawiających. Spuściła oczy.

— Wiesz pani — mówił siadając przy niéj — ja panią tak kocham, że gdyby pani przyszła ochota w puszku mnie dať — to ja nie wiem, czybym pani za to jeszcze nie pocałował.

— Wyznanie wcale ponętne — rzekła drwiąco Konstancyja — niech pan kapitan go nie powtarza dwa razy. —

— Jej Boh tak prawdę mówił — ciągnął zapalając się kapitan — bo ja was oczen lublu. Wy wiecie, że ja dziś proszę o waszą rękę? —

Konstancya drgnęła jak kwiat, gdy pod nim gad się przesunie.

— I cóż wy na to? Panno Konstancyjo? — pytał biorąc ją za rękę.

Odepchnęła jego rękę ze wzgardą i zapytała go na pozór głosem spokojnym:

— Pan dużo nazabijałeś naszych, panie kapitanie?

Kryłow zerwał się wściekły.

— A! panna się bawisz w patryjotkę — rozumiem! i zaklął — Więc pani dajesz mi do zrozumienia, że nie pójdziesz za tego, który miateżników karał? Co? —

— Sam sobie odpowiadasz kapitanie.

Górowała nad nim spokojem — to go jeszcze bardziéj roznamiętniało.

— Ja was zmuszę, przysięgam Bogu że zmuszę — mówił tłukąc gwałtownie pięścią o ramy okna. — Panno Konstancyjo, wy mnie nie drażnijcie — wy nie znacie jaki pies ze mnie, gdy się rozjuszę. Idę teraz do wuja — pamiętajcie — com powiedział.

To mówiąc wstał i szukał oczami burmistrza. W téj chwili we drzwiach stanął żandarm w niebieskim mundurze, z rewolwerem przy pasie, wyprostowany jak pion. Chciał mówić z kapitanem. Kryłow postąpił ku niemu.

— A szto? —

Żandarm coś szepnął mu pocichu, Kryłow uśmiechnął się dziko, pożądliwie, wziął czapkę i wyszedł z żandarmem.

Konstancyja pochwyciła ten uśmiech i niepokój ją ogarnął — coś złego się stanie, gdy Kryłow się uśmiechał. Siedziała więc przy oknie i oczekiwała co będzie. Księżyc jasno oświecał pustą ulicę. Niezadługo coś zatętniało. Dwaj kozacy schyleni z stérczącemi pikami wysunęli się z za kościoła na małych, nędznych konikach — za nimi bryczka, na której siedziało kilka ludzi. Gdy przejeżdżali koło okien burmistrza, patrząca poznała w nich żandarmów. — Na ostatku jechał jeszcze ktoś — zapewne Kryłow.

Za domem burmistrza szeroka ulica rozdzielała się na dwie drogi, jedna prowadziła na lewo ku najbliższéj stacyi kolei żelaznéj, — druga na prawo ciągnęła się między lasami. Konstancyja przestała oddychać, czekała z drzeniem, w którą stronę się obrócą. Skręcili na prawo. Zerwała się gwałtownie, przeszła salę pomieszana, blada, mijając Augusta, szepnęła mu: chodź pan za mną — i wyszła. — Po chwili August wyszedł także do sieni — rzuciła się ku niemu:

— Na Boga panie Auguście idź, ratuj ich, przestrzeż ich!

— Kogo? —

— Kogo? Prawda. Jaka ja szalona, co mówię? Nikogo. Ale idź drogą na prawo ku Zawodzie — tamtędy pojechał Kryłow — jadą kogoś aresztować, idź, leć, uprzedź ich. Może na gościeńcu koło lasu spotkasz kogo — mów im niech się strzegą. Spiesz pan przez łąki, bo droga o wiele krótsza — uprzedzisz ich.

Prosiła i mówiła bezładnie, nieprzytomnie, z pospiechem, który jéj głos tamował. — August nie wiele z tego zrozumiał — domyślał się tylko, że tu czasu niema do stracenia — uścisnął rękę Konstancyi i pobiegł.

Na drodze słychać jeszcze było tentent galopujących koni — drogą jednak jadący taki kawał okrążać musieli, że August był pewnym, że ich uprzedzi. Ale gdzie, u kogo ma ich uprzedzić? — Znowu nie umiał na to sobie odpowiedzieć, a czasu nie było na rozmyślanie. Pobiegł więc na chybił trafił.

Za mostem skręcił od drogi na ścieszkę przez łąki — potém wpadł między zarośla — biegł co tchu, by pierwéj od kozaków stanąć w tém miejscu, gdzie ścieszka wraca napowrót do gościeńca — bo inaczéj wyprzedzenie ich byłoby już potém niepodobném. Zdyszany, zmęczony dobiegł już końca zarośli. — Miał jeszcze przejść kawał lasu — obejść stawy i byłby już u mety. U wejścia do lasu zatrzymał się chwilkę, nasłuchiwał i obejrzał się — kozaków nie było jeszcze widać koło figury. To mu dodało sił i nadziei, przyspiesznym krokiem wszedł w las. Nie długo potém zarysował cień człowieka nad stawami. Nie był to jednak August. Człowiek, który sunął ku gościeńcowi, był o wiele wyższym, atletycznéj budowy ciała, miał na sobie zczerniałą koszulę z grubego płótna, takież spodnie i skórzany fartuch. Ledwie doszedł do gościeńca, kozacy pokazali się niedaleko, zsunął się więc szybko w rów, poszedł nim parę kroków i schował się pod most, prowadzący przez poto-

czek. — W kilka minut potém zadudniały kopyta po moście, za niemi zaturkotała jedna, druga bryczka i popędziły czwałem daléj. — Koło kuźni skręciły ku dworowi. — Człowiek ów wychylił się, patrzał chwilę za jadącymi — potém rzucił się w bok gościeńca, ale w przeciwną stronę od téj, którą przyszedł, i drapał się z pospiechem w górę ku ogrodowi dworskiemu, przeskoczył płot i biegnąc chyłkiem koło krzaków, doszedł do okien.

Było to właśnie w téj chwili, gdy syberyjczyk i jego brat poznawszy się, stali naprzeciw się — osłupiali jeden z gniewu, drugi z przerażenia — jeden krwawy jak karbunkuł, drugi blady i drżący. — Wśród téj sceny drzwi się otwarły i w nich pojawił się kapitan Kryłow i żandarmy.

Kapitan postąpił na środek sali — w oczach, któremi obejmował zdobycz swoją, malowała się dzika radość. Goście rozsunęli się tak, że w utworzoném kole zostali jak na arenie z jednéj strony kapitan z zbliżającymi się żandarmami, z drugiéj strony syberyjczyk, brat jego i Jan. — Role braci w chwili wejścia Moskali zmieniły się — ten który drżał i bladł, teraz odetchnął — a syberyjczyk spuścił na dół wyciągniętą rękę, wzrokiem ponurym, beznadziejnym spojrzał wokoło jakby mówił: zginęliśmy. Żandarmi zbliżyli się wiązać go.

Człowiek stojący za oknem, nie czekał dłużéj — szybko przebiegł ogród i wrócił nad stawy. Za stawami zaczynał się las — kiedy się ku niemu zbliżał, kilku ludzi wysunęło się z za drzew.

— I cóż? — spytał jeden.

— Nie skłamał — Moskale są w Zawodziu, aresztowali syberyjczyka i kogoś drugiego co był z nimi, ale tego drugiego twarzy nie widziałem.

— Wielu jest Moskali?

— Trzech żandarmów, kapitan i dwóch kozaków.

— Do tego uzbrojonych — a na ośmiu tylko i bezbronnych prawie — to źle. A zostawić ich w ręku Moskali niepodobna.

— A ratując zgubimy siebie i zdradzimy naszą kryjówkę — odezwał się inny.

— Czy myślisz — rzekł ten co pierwéj mówił, — że papiery znalezione przy syberyjczyku nie zgubią nas także. Tu dłużéj ukrywać się nie możemy — mamy inne schronienie. Ale pierwéj trzeba myśleć o ratowaniu uwięzionych. Czy zgoda?

— Zgoda.

— Idzie tylko o kozaków, z tymi najtrudniejsza sprawa.

— Mam sposób na nich — rzekł ów człowiek, który wrócił od dworu. — Mostek koło stawów trzyma się na jednym palu i dwóch dylach, dość je przeciąć siekierą, by się most pod jadącymi zawalił. — Kozacy będą jechali przodem.

— Czasu za mało na to.

— Wystarczy. Kapitan nie zaraz opuści dwór — on lubi się bawić.

— Niech więc czterech ludzi idzie do mostu — jeden niech podejdzie pod dwór i da znak gdy Moskale ruszą.

Rozkaz wypełniono. Pod lasem został ten, który wydawał rozkazy, trzech jego towarzyszów i August. Niezadługo odezwał się stłumiony łoskot siekier.

— Plan powinien się udać — za chwilę księżyc zajdzie, ciemność będzie nam dobrym sprzymierzeńcem.

Potém nagle jakby sobie coś przypomniał, zwrócił się do Augusta i rzekł:

— Nie miałem nawet czasu jeszcze podziękować panu za przysługę, jaką nam wyświadczyłeś. Ale kto panu mówił o nas?

— Nie wiedziałem kogo przestrzegę, leciałem na chybił trafił chcąc uprzedzić Moskali. A jednak — tu mówiący zatrzymał się, nad czemś się zastanowił — tak — mówił daléj jakby do siebie — teraz rozumiem co to miało znaczyć: ratuj ich. Ona wiedziała kogo mam ratować.

— O kim pan mówisz?

— O sobie, z któréj natchnienia jestem tutaj.

— Jedna tylko kobieta mogła to zrobić.

— Tak to była kobieta.

— Moja siostra.

— Siostra?

— Tak, Konstancyja.

— Więc pan jesteś bratem panny Konstancyi? — Nie wiedziałem o tém, że panna Konstancyja ma brata.

— Gorzéj się pan zdziwisz, gdy powiem, że brat i siostra nie widzieli się nigdy ze sobą. Gdy z ojcem opuszczała kraj, ja byłem już w wojsku — rok dopiero jak wróciłem z Kaukazu. Dość było mi dotknąć się ziemi ojczystéj, bym zrzucił obrzydliwą skorupę moskiewskiego oficera — dezertowałem. Od tygodnia ukrywam się w tych stronach — z Konstancyją nie widziałem się jeszcze, przez posłańca tylko uwiadomiłem ją, że tu jestem. Mówię to wszystko panu bo wiem, że siostra moja nie powierzyłaby byle komu takiego poselstwa. Znam dobrze jéj duszę z listów.

— Zrobiłeś pan jednak krok bardzo ryzykowny. Przy czujności policyi moskiewskiéj dłuższe ukrywanie się pańskie niepodobne.

— Jesteśmy w przededniu wielkich wypadków. — Niezadługo może nie będziem potrzebowali ukrywać się po lasach. O z jaką męką czekam ja na tę chwilę — walka! i ja już nie jako moskiewski żołdak bić się będę, ale za wolność mego ludu. Boże! nie daj mi umrzeć przed tą chwilą.

Uroczyście brzmiała wśród ciszy nocnéj taka krótka modlitwa — męzki głos żołnierza drżał wzruszeniem głębokiém. Czas jakiś trwało milczenie — potém oficer odezwał się do Augusta:

— Pan jednak nie możesz tu dłużéj bawić, cokolwiek się tutaj stanie, pan udziału w tém mieć nie możesz. Wracaj do miasta, by twoja nieobecność nie podała cię w podejrzenie.

— A gdybym was prosił: pozwólcie mi zostać z wami. Tu wśród was czuję zapach wolności.

— Nie, to być nie może; pan musisz wracać. Ci, których tutaj widzisz, gwałtowną koniecznością tylko zmuszeni są kryć się. Dla czegóż masz bez powodu powiększać ten zastęp, być ciężarem — ani ciebie ścigają, ani ci grozi kara śmierci jak nam. Zasoby nasze niepewne, kryjówka niebezpieczna, im nas więcéj, tém gorzéj się ukryć. Wracaj więc pan — tam w mieście będziesz mógł więcéj dla nas zrobić. Miałeś tego przykład dzisiaj. Niedługo na polu walki staniemy razem — a teraz idź pan — pozdrów Konstancyją.

August posłuszny rozkazowi, oddalił się — oficer z towarzyszami poszli ku pracującym. Szli powoli, omackiem, bo po zajściu księżyca zrobiło się ciemno. Za chwilę złączyli się z towarzyszami, którzy właśnie kończyli pracę. Most był podcięty i podpiłowany w ten sposób, że lada ciężar mógł go załamać. Most szedł ponad głębokim parowem gliniastym, spodem którego sączyła się woda czerwonawéj barwy, jakby zafarbowana krwią, pochodziło to zapewne z części mineralnych, któremi przesiąkała. Strumyczek ten przeciekał z łąki, wierzchem niepozorny i mały, spodem nurtował i podgryzał gliniasty grunt, tak, że jednego dnia mieszkańcy wsi ze zdumieniem ujrzeli szeroką rozpadlinę, wąwóz prawie tam, gdzie było orne pole. Rozpadlina ta potém rozszerzając się, przekroiła i drogę — postawiono więc

most nad nią. Most był dość prowizorycznie zbudowany, później miano dać silniejsze podmurowanie, bo strumyczek, szczególniéj w czasach wylewu, coraz bardziéj rozpierał i rozrywał boki, coraz głębiéj wrzynał się.

— I cóż? spytał oficer.

— Skończono — rzekł człowiek w fartuchu. Trzymał siekierę w ręku i patrzał ponuro w przepaścisty parów. Będzie się miał zpyszna kozuń, jak tam zajedzie z koniem.

— Marcinie i wy idźcie do domu. Wy tutejszy, poznać was mogą.

— To panów mało zostanie — a jabym się przydał tu pewnie — rzekł, podnosząc do góry muszkularne dłonie.

— Tak, ale tu idzie o was, gdyby was poznali.

— Nie poznają, noc ciemna, zresztą będę w tyle, od przypadku.

Cofnął się w głąb, reszta ułożyła się koło mostu za krzakami, sitowiem. Nie mieli innego uzbrojenia prócz kijów i siekier — dwóch tylko miało rewolwery.

— Cyt! coś słychać, rzekł jeden. —

Zrobiło się milczenie — rzeczywiście od dworu dał się słyszeć powolny turkot kół.

— Siedzieć spokojnie — rzekł oficer — gdy kozacy się zwalą z mostu — to będzie hasło dla nas.

Turkot zbliżał się coraz bardziéj — oficer z dwoma towarzyszami byli najbliżsi z téj strony, zkąd szedł konwój — wytężył wzrok w ciemność — z początku nic nie widział, potem rozeznawał już majaczące postacie. Kozacy jechali przodem — daléj żandarmy z więźniami — w końcu Kryłow.

— Kozaki — krzyknął kapitan.

Brodacze skręcili się na małych koniach i podbiegli do kapitana.

— Jechać za mną.

Kapitan znać obawiał się czegoś.

Bryczka więc z więźniami została na przodzie. Zaczajeni zcierpnęli z przerażenia — oficer ścisnął konwulsyjnie rękę swemu towarzyszowi i szepnął z naciskiem: zginą, co tu robić?

W téj chwili przednie koła uderzyły już o most, zatrzeszczał słup, most z przeraźliwym łoskotem zawalił się i runął w przepaść, a za nim bryczka, konie i ludzie.

III.

MIODOWY MIESIĄC.

Drugiego dnia po tych wypadkach państwo młodzi wyjechali do siebie — odwozili ich rodzice pana młodego. Czas był słotny i zimny, gęsty deszcz zacinał z boku w okna powozu, w którym siedzieli małżonkowie. Czy to pora słotna czy co innego było przyczyną, że i między nimi nie było słońca, uśmiechu, wesołości, pieszczot. Pan młody był czegoś zasępiony i poważny. Anna nie uważała tego, bo i ona również była pod naciskiem jakichś przykrych rozmyślań. Porzucenie domu rodzinnego, przejście pod wyłączną opiekę mężczyzny, którego się zna od niedawna, każdą kobietę przejmuje jakąś trwogą — cóż dopiero mówić o niéj, która w chwili tego przejścia utknęła o jakieś brudne tajemnice rodziny, do któréj teraz należeć miała. Z drzeniem i niepokojem patrzała na teścia, którego nazwano łotrem. Dla czego? Nie śmiała o to pytać nikogo — milczenie męża w tym zględzie jeszcze bardziéj ją przestraszało. Wciąż widziała przed sobą tego człowieka potwornéj twarzy, z wyciągniętą ręką, piętnującego słowami jéj te-

ścia — i ten człowiek przyszedł razem z Janem. To wydawało się jéj równie dziwném, zagadkowém i przestraszającém. Zjawienie się Jana w dzień jéj wesela, zdawało się jéj jakimś wyrzutem; wzrok, jakim spojrzał na nią w chwili wejścia, zdawał się oskarżać ją o coś. Przypomniało jéj się teraz jak raz Jan był niebezpiecznie chory — ona czuwała przy łóżku śpiącego; twarz jego była rozpalona gorączką, oddech krótki, męczący, a sen niespokojny; gdy się przebudził, spojrzał w około nieprzytomnie, z przestrachem — potém na niéj zatrzymał swe oczy błyszczące, błędne i odetchnął swobodniéj. Wtedy ona położyła rękę na jego czole i spytała: musiało ci się śnić coś strasznego? — Okropna rzecz mi się śniła — odrzekł — śniło mi się, że ty Andziu odjeżdżałaś gdzieś, daleko — na zawsze, że cię już nigdy nie miałem zobaczyć. Bogu dzięki, że to był sen tylko. — Anna zapomniała potém o téj chwili, dziś niewiedzieć zkąd stanęła żywo w jéj myśli wiodąc za sobą szereg wspomnień z lat dziecinnych, które przeżyła z Janem. Wspomnienia te tłoczyły się gwałtownie — odpychane chwilowém roztargnieniem wracały znowu i męczyły ją swoją obecnością, zdawały się razem z deszczem tłuc w szyby powozu i dobijać się, by je wpuszczono. Anna z wysileniem próbowała otrząsnąć się z tych myśli, — odwróciła oczy od okna w głąb powozu i spotkała się z badawczém, trochę ponurém spojrzeniem męża.

— O czém w téj chwili myślałaś? — spytał topiąc w jéj twarzy przenikliwe spojrzenie.

Anna się zarumieniła mocno za swoje myśli — nie wiedziała co powiedzieć — skłamała mówiąc, że o niczém.

Pan młody nie pytał więcéj, ale sposępniał jeszcze bardziéj i milczał przez całą drogę.

Drugiego dnia wieczorem stanęli na miejscu. Dwór był piękny, nawet elegancki, ale bliskość ciemnego świerkowego lasu czyniła go posępnym — szczególniéj o zmroku. Anna z drżeniem przestępowała próg tego domu. — Przyczyniało się jeszcze do tego postępowanie męża, którego zrozumieć nie mogła. Dawną czułość zastąpił jakąś surową powagą, od któréj wiało zimno — widocznie przymuszał się do uśmiechu, do rozmowy z nią. Zaraz po herbacie wstał, pocałował ją w czoło i wyszedł. Chciała go zatrzymać, słowa uwięzgły jéj w piersiach — może nieśmiała prosić, może za dumną była, aby prosić. Odeszła do swego pokoju ukryć łzy i smutek.

Pan młody nie wrócił do siebie — poszedł na górę do ojca. Od owéj chwili na weselu nie mówili prawie ze sobą i ojciec i syn unikali tego — to też trudno im było teraz przerwać milczenie. Rozpoczął syn.

— Powiedz mi ojcze, co zaszło między tobą a wujem? —

— Cóż to — indagacyja? —

— Nie, chęć dowiedzenia się prawdy. Wuj zelżył cię ojcze; jeżeli niesłusznie — to będzie miał ze mną do czynienia — nawet więzienie moskiewskie nie skryje go: ale jeżeli....

Tu zawachał się — nie wiedział jak powiedzieć to, co chciał powiedzieć.

Przyszedłeś jako sędzia — nie jako syn.

— Ojcze, hańba twoja i mnie piętnuje — rzekł syn z godnością i wyrzutem.

— No i cóż chcesz, żebym ci powiedział? — spytał ojciec niecierpliwie.

— Dla czego dotąd nigdy nie wspominałeś mi, że mam wuja? —

— Bo nie było o czém.

— Jest w tém jakaś nieczysta tajemnica, odkryj mi ją ojcze, uspokój mnie — ja teraz nie umiem spojrzeć ludziom prosto w oczy. Czego ten człowiek chce od nas, coś my mu winni?

— Alboż ja wiem? Był zawsze szaleńcem, waryjatem. Upatrzał sobie coś do mnie i prześladuje mnie.

— Nie jesteś szczérym ze mną mój ojcze.

— Mój Maurycy, nie męcz mnie dłużéj wspomnieniem tego włóczęgi — to mnie drażni — mówił ojciec, chodząc niespokojnie po pokoju.

Maurycy spojrzał na ojca dziwnym wzrokiem — i wyszedł. Przechodząc koło pokoju żony, zatrzymał się chwilę, przez dziurkę od klucza padało światło na sień, nie spała więc jeszcze. Maurycy namyślał się czy wejść, już brał za klamkę — naraz zmienił postanowienie i poszedł do siebie. Oddalił służącego, który go chciał rozbierać i rzucił się w krzesło. Założył ręce w tył głowy i zapatrzony szklannemi oczyma w płomień lampy, siedział długo tak nieruchomy.

Gdyby można obrazy myśli odfotografować, to myśli Maurycego w téj chwili dałyby nam fotografię owéj sceny na weselu. Przypomnijmy sobie, że Maurycy w chwili wejścia niespodziewanych gości rozmawiał właśnie z Anną pod oleandrem, miał oczy utkwione w jéj twarzy, mógł więc dobrze pochwycić każdy odcień zmiany na niéj. Uważał że Anna wtedy pobladła, że kiedy spojrzenie jéj spotkało się ze wzrokiem jednego z przybyłych — młodszego, drgnęła lekko i kwiat oleandru wypadł jéj z ręki. To pomieszanie zastanowiło go — nie miał jednak czasu dłużéj myśleć nad tém, bo wnet gromkie słowa syberyjczyka zagrzmiały mu w ustach i ogłuszyły go. Ale teraz to chwilowe podejrzenie wypełzło jak szkaradny robak, rozsiadło się na jego szczęściu i gryzło je i plamiło. Annie nie był obcym ten młody człowiek — myślał Maurycy — co więcej,

nie musiał jéj być obojętnym, kiedy widok jego tak ją wzruszył. I dla czego mu nic nigdy nie wspomniała o tym człowieku?

Zazdrość ukłuła go w serce — hańba ojca paliła mu twarz wstydem — zerwał się i chodził szybko po pokoju — zdawało się, że uciekał przed tymi myślami, które go się uczepiły i wlekły się za nim jak węże laokoońskie, próżno się duch szarpał, nie mógł się pozbyć tych więzów.

Późno w noc widać było jeszcze światło w pokoju Maurycego i cień jego na szybach okna.

Na drugi dzień rano był u matki. Od niéj chciał dowiedzieć się tego, czego mu ojciec powiedzieć nie chciał. Zastał ją słabą, z oczami zapłakanemi. Prosiła go, by nie wspomniał o tém przed ojcem, że ją widział zapłakaną. Gdy ją zapytał o wuja, rzekła:

— Maurycy, jeżeli szanujesz mój spokój, nie pytaj mnie nigdy o to.

Milczenie ojca i matki naprowadziło go na dziwaczne domysły, tajemniczość go niepokoiła, bądź co bądź chciał dowiedzieć się o wszystkiém. Zaraz w kilka dni po odjeździe rodziców postanowił wyjechać do powiatowego miasta, gdzie spodziewał się zastać jeszcze wuja w więzieniu, chciał się z nim widzieć koniecznie i od niego żądać wytłomaczenia — wierzył więcéj w porywczość syberyjczyka, niż winę ojca — ale chciał pewności, prawdy. — Żonę zdziwił nie mało ten nagły wyjazd — uważała to za nowy dowód obojętności i upokorzenia dla siebie, serce pękało z żalu, że się zawiodła na miłości męża, ale ani go prosiła żeby został, ani pytała o przyczynę wyjazdu — obrażona miłość własna zamykała jéj usta.

— Niech jedzie — rzekła do siebie patrząc przez okno za odjeżdżającym. Gdy gęsty obłok kurzu zakrył już powóz, spokój, w którym się utrzymywała dotąd z wysileniem, ustąpił teraz miejsca boleści gwałtownéj.

— O! on mnie już nie kocha — mówiła, zanosząc się od płaczu i łkając głośno.— Następnie dnie przeszły jéj bardzo smutno w posępnym dworze — szukała pociechy w modlitwie, rozrywki w zajęciach. Zajmowała się gospodarstwem, urządzeniem mieszkania, rozpakowaniem rzeczy i ustawieniem drobiazgów. Jednego wieczora przeglądała tekę swoją, między papierami znalazła rysunek robiony przez Jana dla niéj na imieniny i fotografię jego. Rysunek przedstawiał wnętrze lasu: z za bluszczów i powoju, z za gęstwiny krzaków i szerokich liści wychylała się giętka postać Rusałki — w jednéj ręce podniesionéj w górę po nad głową trzyma lekką gazową zasłonę, która jéj twarz okrywa; drugą ręką, uśmiechem i czarnemi oczami, co spotęgowanym blaskiem błyszczą przez zasłonę, wabi do siebie — a sama ucieka. Rusałka miała jéj rysy.

Anna długo trzymała rysunek w ręce, przypominała sobie chwilę, w któréj go dostała od Jana — potém spojrzała na fotografię. Były to jedyne pamiątki po nim — te pamiątki teraz wydawały się jéj grzechem — chciała ich się pozbyć, przysunęła fotografię do świecy, ogień wnet czepił się papieru, popalił brzegi i posuwał się ku twarzy. Twarz Jana była krwawą od blasku płomienia — oczy obrazka patrzały na nią tak wymownie, jakby człowiek żywy — to ją przeraziło, nie miała odwagi patrzeć jak ta twarz palić się będzie — dmuchnęła i zagasiła ogień.

W téj chwili ktoś wszedł do pokoju.

Anna obejrzała się — i ujrzała jakiegoś nieznajomego człowieka, chciała krzyknąć.

— Na Boga, milczenie — rzekł przybyły. — Przeszedłem tutaj niepostrzeżony od służby prosić pani o schronienie dla nieszczęśliwego, który w lasach kryć się musi przed żandarmami moskiewskimi. Jest mocno

chory — umrze jeżeli nie będzie miał wygodnego schronienia i opieki.

— Gdzie on jest?

— W lesie — o kilkaset kroków ztąd.

— Więc trzeba posłać po niego.

— Nie teraz. Skoro służba pójdzie na spoczynek, każ pani jednemu ze służących, do którego masz największe zaufanie, czuwać. Koło połnocy przyniesiemy go tutaj. Ostrożność konieczna, bo nas tropią. Tu będzie bezpieczny.

— Spiesz pan więc.

Przybyły zawahał się.

— Służba spostrzedz mnie może, czy niema innego wyjścia?

Anna namyśliła się chwilkę, potém wskazała okno.

— To okno wychodzi na ogród, który dotyka do lasu. Tędy go także wprowadzić możecie.

Nieznajomy otworzył okno, skoczył między krzaki i znikł w ciemnościach. Anna zadzwoniła. Ta dziwna nocna przygoda ocuciła ją z letargu smutku, w jakim była od dni kilku. Szło o ratowanie człowieka od Moskali i choroby — to dosyć było dla niéj, ta myśl wyłącznie ją zajęła — zapomniała zupełnie o sobie.

Wszedł służący, stary Mateusz, który z przywiązania do panienki, porzucił swego starego pana i przyjechał tu z nią.

— Mateuszu, w gościnnym pokoju przygotuj łóżko dla chorego — zapal w piecu sam — rozumiesz — sam. Niech nikt o tém nie wie.

Mateusz spojrzał na nią wielkiemi oczami.

— A potém wróć tu stary do mnie.

— Proszę panienki (nie mógł się stary odzwyczaić tak ją nazywać) ja nic z tego nie rozumiem. Dla kogoż to wszystko?

— Dla nieszczęśliwego.

Mateusz skinął głową na znak, że rozumie i wyszedł, nie pytając o nic więcéj. Anna nasłuchiwała szelestu od strony lasu. — Przez otwarte okno zawiał wiatr chłodny, jesienny, dreszcz ją przeszedł, może z zimna, może z trwożnego oczekiwania. Przeszła się po pokoju, otworzyła swoją domową apteczkę, dobyła z niéj cucących kropli i bandaży od przypadku. Mateusz wrócił.

— Już wszystko. Teraz może iść ku bramie.

— Nie trzeba, tędy wejdą — pokazała na okno. — Zobacz czy nie idą.

— Słychać chrupotanie suchych gałązek w ogrodzie — muszą iść z ciężarem.

Niezadługo zbliżyli się do okna jacyś ludzie, niosąc na kijach nakrytych burkami i liściami chorego człowieka. Z trudnością wsunięto go przez okno do pokoju. Anna zadrżała — w leżącym poznała syberyjczyka. Za nim na ciemném tle nocy, bieliła się twarz Jana.

Nie zginęli więc w owéj fatalnéj nocy. Widzieliśmy wtedy jak Marcin nakłaniany przez oficera, aby poszedł do domu, ociągał się — i w nadziei, że będzie potrzebny, cofnął się w tył i czekał. Wkrótce przyszła mu myśl, że kozacy stoczywszy się z mostu, będą może potrzebowali czyjéj pomocy, aby więcéj nie wyleźć w górę. Cichaczem więc zsunął się w parów i zaczajony z boku czekał. Uderzenie bryczki o most i jego przeraziło okropnie — takiego wypadku nie przewidywał. Skoro więc bryczka spadłszy roztrzaskała się z łoskotem, pospieszył na ratunek. Konie szamotały się jeszcze z resztkami wózka w ciasnym wąwozie, przezco kaleczyły i tłukły ludzi leżących pod niemi. Marcin skoczył między nie, rozpoznał w ciemności więźniów, schwycił ich w swoje herkulesowe ręce i odciągnął na bezpieczniejsze miejsce. Młodszy wnet przyszedł do siebie — inna rzecz była z syberyjczykiem, Marcin pomacał go był sztywny, czuł jego krew przeciekającą przez palce. Nie

było czasu do trzeźwienia. Tam w górze słychać było jak kapitan i kozacy okrążywszy parów, galopem czwałowali do miasta, za godzinę wrócić mogą. Marcin nie namyślał się wiele, wziął syberyjczyka na ręce i unosił go spodem parowu do lasu brodząc po błocie i wodzie — niewiedząc czy niesie trupa czy człowieka — za nim szedł Jan z trudnością z powodu ciemności i mocnego stłuczenia. Dostali się wreszcie do lasu — tam trzeba się było przedzierać przez zarośla poplątane, przez poobalane spruchniałe pnie drzew. Marcin dyszał jak miech, pot lał się z niego wraz z krwią, co ciekła z ran niesionego — nie ustawał jednak, bo była jeszcze ciągle obawa moskiewskiéj pogoni. O świtaniu dopiero Marcin i Jan poznali się wzajemnie. Nie było czasu na długie powitanie — reszta towarzyszów nadciągnęła, zrobiono nosze, na które wzięto omdlałego, dającego jeszcze znaki życia — i rozeszli się. Marcin spieszył ku domowi, by uniknąć poszlaki — a reszta zapuściła się w lasy. Szli tak dni parę. Stan chorego w skutek zimna i niewygód coraz się pogarszał — potrzeba było znaleść dla niego bezpieczne schronienie i pomoc lekarską. Wysłano z tém jednego do pobliskiego dworu. Przypadek (jeżeli wierzycie w przypadek) chiał, że to był właśnie dwór Maurycego. Ludzie, którzy sądzili, że się już więcéj nie spotkają w życiu — schodzą się znowu.

To niespodziewane spotkanie zmieszało Annę i Jana. Chorego przeniesiono już do innego pokoju — oni stali jeszcze przed sobą, nie mogąc się zdobyć na słowo, nie wiedząc, jak przemówić do siebie — to pierwsze sam na sam było dla obojga przykre. Przypadkiem wzrok Jana padł na stolik — zobaczył tam swoją fotografią opaloną, przedarty rysunek — to go jeszcze bardziéj zmieszało, był cały w płomieniach, — pragnął teraz, czekał niecierpliwie, by ktoś wszedł, przeszkodził

rozmowie, wyrwał go z tego przykrego położenia. Jak na szczęście otwarły się drzwi i wszedł — Maurycy.

Jak wiemy, Maurycy wyjechał do powiatowego miasteczka — tam dowiedział się o owéj katastrofie koło mostu, właśnie trafił na pogrzeb trzech żandarmów. Nikt nie wiedział co się stało z więźniami, przypuszczano, że żywi wyjść nie mogli z téj katastrofy, ale gdzie się trupy podziały, kto je uprzątnął, trudno było dociec. Kryłow wściekał się, zarządził ostre śledztwo, porozsyłał kozaków na wszystkie strony, ale daremno. W parowie na glinie rozmiękłéj znać było wydeptane głębokie ślady nóg; blisko lasu brzeg parowu był oberwany, jakby kto się spinał do góry — na liściach krzaków czerwieniała się zaschła krew — za tym znakiem szli żołnierze aż do drogi przecinającéj las — przy drodze leżało trochę gałęzi świeżo poucinanych; jeden z gajowych przytrzymany wyznał, że nocą koło jego mieszkania przechodziło kilkunastu ludzi obcych, i nie w siermięgach ubranych, że nieśli coś ciężkiego, jakby mary przykryte; jakaś kobieta ze wsi za lasem leżącéj doniosła, że jednego dnia przed wieczorem przyszło do niéj dwóch panów, kazali jéj nakupić we wsi chleba, masła, jaj — zabrali to wszystko, zapłacili hojnie i poszli w las. Tyle się dotąd dowiedziano. Kryłow nie ustawał w dochodzeniu, klął i przysięgał się, że dojść musi zguby.

Maurycy dowiedział się o tém wszystkiem urywkowo, nie pytając o nic nikogo, by nie wpaść w podejrzenie u kapitana, któremu się wszyscy podejrzani wydali; zamaskował swój przyjazd innym jakimś interesem w powiecie, załatwił go i po paru dniach wyjechał napowrót do domu. Nagilił woźnicę by przyspieszał, jakoś mu tęskno było za domem, za żoną, wyrzucał sobie, że ją tak zostawił nie pożegnawszy, nie powiedziawszy gdzie jedzie — owe podejrzenia, które go da-

wniéj tak trapiły, zmalały teraz niesłychanie w jego oczach, dziwno go, jak mógł być zazdrosnym o człowieka, co na chwilę zjawił się i przepadł na zawsze i nigdy mu w drogę nie wejdzie; jak mógł pomieszanie żony brać za symptom jakiegoś innego uczucia. Chciał jak najprędzéj przebłagać ją, przeprosić — szczęście domowe uśmiechało się do niego z daleka, serce biło mu z radości gdy wjeżdżał już do wsi swojéj. Nie kazał zajeżdżać przed ganek, wysiadł przy bramie i poszedł piechotą ku dworowi, chcąc niespodziewaném zjawieniem się zrobić niespodziankę żonie. Z uśmiechem na ustach otworzył drwi — i stanął osłupiały — zobaczył Annę i Jana zmieszanych, zapłonionych, otwarte okno, w pokoju nieład. Krew uderzyła mu do głowy, potém zbladł okropnie, rysy twarzy pogodne, uśmiechnięte przed chwilą, zdziczały. Wnet jednak opamiętał się, gniew i oburzenie spętał ironiją.

— A! przepraszam, jestem zbyteczny — rzekł szyderczo i wyszedł.

Po jego odejściu nastało znowu straszne milczenie, tragiczne zawikłanie odjęło przytomność ofiarom. Anna blada i drząca zagryzła boleśnie wargi i ledwo dosłyszanym głosem szepnęła:

— Zostaw mnie pan samą.

Jan jak posłuszny niewolnik oddalił się. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, rzuciła się bezwładnie na krzesło, załamała ręce nad głową i oczy zdziczałe z przerażenia wbiła w ziemię.

Za drzwiami w pokoju chorego słychać było łoskot — brzęknęły szyby u okna, ktoś tamtędy wychodził. Nagle rozległ się silny głos syberyjczyka:

— Janie! Janie! gdzie ty idziesz?

Równocześnie dało się słyszeć szamotanie i ten sam głos ochrypły, rozstrojony gorączkowém obłąkaniem, odezwał się znowu:

— Zostań, ty niemożesz mnie porzucić. Nieszczęście przykuło nas do jednéj sztaby żelaznéj i pędzi nas razem w mroźny Sybir boleści. Musimy się mścić, okrutnie się pomścimy. Jego syn wydarł ci bóstwo twoje, tak jak on mi wydarł moje. Tyś ją tak kochał — złamała cię nie — wia — rą. —

Jakaś ręka musiała zatykać usta krzyczącemu, bo dalsze słowa wychodziły bezładnie, urwane. Anna zerwała się i uciekła do innego pokoju — te krzyki pędziły ją jak Erynije. W pokoju syberyjczyka uderzyło coś silnie o podłogę, jakby upadający człowiek — Jan szarpnął się i siłą wydarł się z jego rąk, dopadł okna i skoczywszy w ogród, zmierzał ku lasowi za swymi towarzyszami. Już był blisko parkanu, gdy nagle ktoś schwytał go silnie za piersi i głosem stłumionym od gniewu i wzruszenia zasyczał:

— Stój!

Jan poznał w napastniku Maurycego.

— Czego pan chcesz odemnie? — zapytał.

— Twego życia.

— Ono teraz nie do mnie należy. Kiedyś będę mógł może żądać od pana rachunku za tę chwilę. A teraz precz. —

To mówiąc, odtrącił go pogardliwie na bok z taką siłą, że wątły Maurycy zatoczył się kilka kroków i i upadł plecami między krzaki.

Jan tymczasem wspiął się na parkan.

— Podły tchórz! — zawołał Maurycy, zerwał się z ziemi i strzelił za uciekającym.

Z drugiéj strony parkanu coś jęknęło.

Maurycy wzburzony cały, dyszący jeszcze wściekłością, w poszarpanym bezładnym ubiorze wracał ku dworowi. Przez otwarte okno słychać było krzyk syberyjczyka i gwałtowne szamotanie się jego. To było zagadkowém dla niego, zdziwił go krzyk jakiegoś obce-

go człowieka w jego domu. Wszedł do swego pokoju i zadzwonił na służącego.

Wszedł Mateusz.

— Kto tak hałasuje po nocy? — spytał.

— Jakiś człowiek chory.

— Obcy? Kto go tu przyjął?

— Pani.

Karczmę mi robią z domu — rzekł półgłosem Maurycy.

Znowu ten sam krzyk obił się o jego uszy — Maurycy stanął i słuchał — ten głos nie był mu obcym — usiłowawał sobie przypomnieć gdzie go słyszał, ale napróżno. Poszedł więc do pokoju chorego, który z głową obandażowaną, obłąkanemi oczami, zaciśniętemi pięściami rzucał się po łóżku. Maurycy poznał syberyjczyka. Człowiek, którego szukał, który miał w swoim ręku tajemnicę zbrodni jego ojca, znajdował się pod jego dachem. Rad był temu przypadkowi, dawał on mu sposobność dowiedzenia się prawdy i nagrodzenia krzywd ojca lub pomszczenia się za obelgę. To téż wszelkiemi staraniami otaczał chorego i od tego czasu często go odwiedzał. Samotność straszyła go przykremi myślami, dłuższéj rozmowy z żoną unikał, skwapliwie więc zajął się chorym i całe prawie dnie przy jego łóżku przesiadywał.

Chory powoli przychodził do zdrowia i do sił, przytomność wróciła całkiem i nieraz długie prowadzili ze sobą rozmowy. Syberyjczyk nie wiedział u kogo znalazł gościnę i opiekę — Maurycego bowiem nigdy przed tém nie widział, równie jak jego żony — a Maurycy uważał za stósowne, nie oświecać go w tym względzie.

Jednego dnia Maurycy wrócił późno do domu — zastał chorego siedzącego już w jadalnym pokoju (bo już wstawał i przechodził się po pokoju) czytającego

gazety. Syberyjczyk przywitał wchodzącego przyjaznym wyrazem twarzy.

— Gdzież tak długo bawiłeś? siadaj tu obok mnie — jakoś stęskniłem się za tobą, bo... bo przywiązałem się czegoś do ciebie.

Tu ścisnął jego rękę.

— Dziwny mój los — mówił daléj — kiedy najbliżsi krewni są mi wrogami, u obcych znajduję życzliwą pomoc i serce; obcych muszę błogosławić, a swoich przeklinać.

Maurycy zmieszał się na te słowa.

— Za co przeklinać?

— Za co?

Przypomnienie rozogniło twarz syberyjczyka, w oczach przelatywały błyski gniewu.

— Za co? O! potwory niszczyć trzeba. — Ale nie mówmy teraz o tém; to mnie drażni, wścieka. Przyjdzie godzina, kiedy jak anioł zemsty stanę przed nimi, a wtedy biada im. Cała rodzina odpowie mi za moją krzywdę.

Tu zatrzymał się chwilę, jakby się nad czemś namyślał, potém mówił niby do siebie:

— Nie, nad nią możebym się mścić nie umiał. — I co ona winna, że mnie kochać nie mogła? Ale że poszła za niego właśnie, za tego łotra — to urągowisko straszne. Nie, wszyscy winni.

Tu silnie uderzył pięścią o stół. Maurycy słuchał ze spuszczoną głową, z twarzą rozpaloną od wstydu, słuchał jak winowajca wyroku.

Wniesiono światło i podano herbatę.

— Pani nie przyjdzie? — spytał Maurycy służącego.

— Pani chora — odrzekł Mateusz głosem, w którym znać było skargę i wyrzut.

— Niech Walenty zaprzągnie i jedzie po doktora — rzekł Maurycy spokojnie, zimno.

Po odejściu lokaja, syberyjczyk odezwał się:

— Nie rozumiem cię mój młody przyjacielu, ty taki dobry, taki człowiek z sercem — niemasz serca dla jednej istoty, która może najbardziéj na to zasługuje. Daruj że ci to mówię, że wglądam w tajemnice waszego domu — ale mnie bardzo martwi i obchodzi, że ludzie, którzy mogliby sobie raj stworzyć na ziemi, żyją tak, jak wy żyjecie. Nie wchodzę w to, co jest między wami, ale zdaje mi się, że wina jest po twojéj stronie — twoja żona to zacna kobieta — jakaś troska ją trawi, więdnieje w oczach, ty zdaje się nie widzisz tego.

Maurycy słuchał tych słów chodząc po pokoju zadumany, potém stanął koło stołu i regulując machinalnie światło lampy, mówił:

— Nie wiem po czyjéj stronie wina, możeśmy się obydwoje zawiedli. Dość o tém.

Rzucił się na kanapę i długo tak siedział zamyślony. —

Syberyjczyk nie badał więcéj. Nie długo potém rozeszli się na spoczynek. Maurycy nie poszedł jednak do siebie. Cicho na palcach zbliżył się do drzwi sypialni żony — w pokoju słychać było ciche, tłumione jęczenie choréj. Maurycy wsparł się o ścianę i słuchał i nie odchodził. Kto wie jakie tam męki, myśli szarpały jego duszę, może gwałt sobie zadawał nie wchodząc do jéj pokoju, może go ta obojętność wiele kosztowała. Wiemy przecie, że ją kochał.

Turkot bryczki obudził go z zamyślenia — to zapewne doktor zajechał — Maurycy postąpił ku bramie na jego powitanie. Zdziwił go łoskot zbyt głośny na kurytarzu, więcéj ludzi widać wejść musiało, jakiś brzęk dał się słyszeć, służący wyszedł ze świecą z kredensu, Maurycy przy tém świetle zobaczył niebieskie żandarmów mundury. W téj chwili przyszedł mu na myśl syberyjczyk, skoczył do pokoju, zamknął drzwi od sali

jadalnéj, wpadł do swego pokoju, chwycił pistolet ze ściany, zamknął drugie, trzecie drzwi za sobą. Z domu swojego zrobił chwilowo fortecę — wpadł wreszcie do pokoju syberyjczyka i tu drzwi zamknął — szło mu bowiem o zyskanie na czasie.

Syberyjczyk już usypiał. Zbudził go i kazał mu się ubierać co prędzéj.

— Co się stało? —

— Żandarmy są już w domu, zdaje się, że ciebie szukają, niema czasu do stracenia. Jeżeli nie obsadzili wszystkich wyjść, tędy uciekać możesz do lasu — tam będziesz bezpieczny.

W domu zrobiła się wrzawa i hałas, żandarmi wyłamywali drzwi. Już tylko dwa pokoje dzieliły ich.

— Zapóźno — rzekł syberyjczyk.

— Nie, pozamykałem drzwi, nie prędko się dobędą.

— Zgubisz siebie.

— Ale ciebie ocalę, ja ci bardzo wiele dłużny, spiesz się — oto rewolwer, gdyby ci zastąpił kto drogę.

Syberyjczyk wysunął się drzwiczkami na ogród — Maurycy zamknął drzwi, usiadł na łóżku i czekał spokojny z rezygnacyją. Niezadługo ostatnie drzwi runęły z łoskotem, po nich jak po pomoście wpadł Kryłow rozjuszony, trzęsący się z wściekłości — za nim żandarmy.

— Ha buntowczyk. Gdzie on?

— Kto? — spytał Maurycy, patrząc spokojnie, z pogardą na zwierzę umundurowane.

— Ty wiesz kto s.......? — i uderzył go w twarz. Maurycy wstrząsł się z oburzenia, chciał się rzucić na niego, gdy w téj chwili żandarmy pochwycili go z tyłu i spętali. Kilku pobiegło w ogród.

— Ty za niego wisieć będziesz — krzyczał Kryłow pieniąc się ze złości — jeżeli się nie znajdzie.

Wtém w sieni rozległ się krzyk przeraźliwy, boleśny, przejmujący aż do kości. Wszyscy się obejrzeli. Anna otulona w szal, przerażona, bielsza od koszuli, co jéj z ramion spadała — wpadła do pokoju i rzuciła się ku mężowi.

— Maurycy, co się stało? — zawołała głosem pełnym miłości i przestrachu i uczepiła się rąk jego — czego ci ludzie chcą od ciebie — puszczajcie go!

Oczy Kryłowa zaświeciły się lubieżnie — chwycił w pół nieubraną i odciągnął ją od męża.

— Pani się zaziębi — rzekł katownik z galanteryją — a to szkoda tak pięknéj osoby — roznamiętniła go piękność i pocałował ją w szyję.

Chora pasowała się z kapitanem, usiłując się wyrwać z jego rąk. Niewolnik związany patrzeć musiał na tę scenę z pomarszczonem czołem, zaciśniętemi z boleści ustami i nie mógł dać pomocy zelżonéj. Z wysilenia omdlała Anna i bezwładnie przegięła się na rękach kapitana, szal opadł jéj z ramion — Moskal pastwił się widokiem téj kobiety. Maurycy szarpnął się i wyrwał z rąk trzymających go żandarmów, poskoczył naprzód i kopnął nogą kapitana.

— Bierzcie go — zawołał Kryłow z wściekłością.— Będzie wisiał.

Żandarmy powlekli więźnia — hałas odchodzących ocucił leżącą — podniosła się, chciała lecieć, siły ją opuściły i upadła z łoskotem na ziemię — żona niewolnika.

IV.

NOC

z 22. na 23. stycznia.

Była to noc wilgotna. Na polach leżał jeszcze śnieg biały, ale po drogach i ścieszkach już potopniało, i tam, gdzie koła lub nogi wydeptały ślady, stała woda lub błotniste potworzyły się kałuże. Czasami księżyc blady przez szczeliny chmur wyzierał, jakby oczekiwał na coś strasznego, co się stać miało na ziemi.

Drogą ku dworowi, opisanemu w pierwszym rozdziale naszej powieści, szło dwóch ludzi chlapiąc się w roztopach. Koło kuźni zatrzymali się, jeden z nich rzekł:

— Czekajcie na mnie Marcinie, za godzinę wrócę do was, pójdziemy razem.

Marcin wszedł do chaty — towarzysz jego poszedł do dworu.

Dziedzic siedział w jadalnéj sali w krześle poręczowém, zapatrzony w ogień płonący na kominie — wyglądał w téj nieruchoméj postawie jak stary portret,

tylko że w twarzach zapylonych portretów buta i wesołość, a u niego boleść i strapienie. Czekał powrotu córki, która wyjechała do miasteczka uprosić Kryłowa, by jéj pozwolił widzieć się z mężem i zadumał się stary o smutnych losach swéj ziemi. Obudził go z zadumy skrzyp otwieranych drzwi — wszedł Jan. Trudy i niewygody, które znosił w tułactwie po lasach kryjąc się przed żołdakami moskiewskiemi, nadały twarzy jego wyraz ostry, trochę dziki, był w ubraniu powstańca, rewolwer błyszczał mu za pasem.

— Jan? — rzekł dziedzic, wyciągając ku niemu rękę — co znaczy ten ubiór, ta broń? —

— Rozpoczynamy powstanie. —

— Szaleńcy. —

— Mój opiekunie, nie czas na refleksyje, gdy kość już rzucona. Proskrypcyja przyspieszyła katastrofę, więc naprzód. Opiekun odebrałeś zapewne przed kilkoma dniami dwie skrzynie z zagranicy — jest w nich broń przeznaczona dla nas — ludzie bez broni czekają w lesie, dziś w nocy uderzamy na miasteczko. — Ty z nami, stary żołnierzu, poprowadzisz nas do zwycięztwa. Prawda?

— Chyba na nieochybną śmierć.

— To nam wszystko jedno, byle na mogiłach naszych słychać było głosy wolnego narodu.

— Nie, przez Bóg żywy na to nie pozwolę. Zrywacie się jak wątły chłopczyna na olbrzyma, zgniecie was jego potęga, zgubicie kraj. Nie, broni nie dam — dość już zawodów — dość ofiar.

— Za mało ofiar. — Gdyby wszyscy cierpieli, gdyby każdemu jarzmo niewoli zraniło kark, niepotrzebowalibyśmy dziś wołać, budzić, cierpienie ruszyłoby cały naród i rzuciło na wroga. — Ale za mało cierpieliśmy, zanadto wielom jest dobrze i żal im tę odrobinę szczęścia jakiéj używają w niewoli, ponieść na ofiarę

dla wolności. Opiekunie — ta broń to nasza własność, ja żądam jéj. —

— A ja kładę protest przeciw temu żądaniu. Janie, nie gub siebie, nie gub nas, jeszcze czas nie nadszedł. Starzec prosi cię, zostań. Gdy przyjdzie czas, ostatek sił moich oddam wam, ale dzisiaj wstrzymajcie się. — Janie, ja byłem ci ojcem, dziś odwołuję się do praw moich. —

— Byłeś mi ojcem, wychowałeś mnie, wyciągnąłeś mnie z nędzy i ciemnoty, pokazałeś mi sławę i świetność mojego narodu i chcesz bym teraz spokojnie chodził w jarzmie niewolnika i w milczeniu gryzł łańcuch, co nas uciska. Nie, chcę walczyć. Choćby zginąć, byle na kilka chwil przed śmiercią uczuć się wolnym.

— Ja na to szaleństwo nie zezwolę — nie wydam broni. —

— Pójdziemy z kijami, z gołemi rękami na bagnety moskiewskie — a nasza krew na was, coście jak Piłaci umyli ręce — obojętność nie uratuje was od katastrofy, pociągnie was jak ofiary, gdy nie chcecie iść jak bohaterowie.

Proroczy ogień tlał w źrenicach młodego powstańca, gdy mówił te słowa — słowa jego przeleciały jak piorun nad siwą głową starca — pożegnał go i wyszedł spiesznie, bo zbliżała się już chwila napadu i nie czas było zwlekać. Schodząc na dół, wstąpił po drodze po Marcina.

Kowal przygotowawszy się do wyprawy, usiadł był na nieposłaném łóżku — czekał na Jana i czekając usnął ze znużenia. Na kominie migotało łuczywo i drżące i niepewne blaski rzucało na izbę — w kołysce spało małe dziecko. Wszystko zdawało się tak ciche, spokojne, szczęśliwe. Marcinowi się śniło, że przebył już ciężkie boje, że wrócił do cichego mieszkania swego, żona witała go uśmiechem, mały dzieciak z kołyski

wyciągał ku niemu drobne rączęta — ten spokój napawał duszę jego dziwnym urokiem szczęścia. Wtém zbudziło go z tych miłych marzeń uderzenie w szyby, przetarł oczy, przypomniał sobie straszną rzeczywistość, wziął siekierę w rękę i wstał. Brzęk szyb zbudził i Tereskę, strwożona przeczuwając coś złego, zerwała się z pościeli — zobaczyła męża przybranego do drogi, obok niego Jana uzbrojonego.

— Na Boga, co to jest? Gdzie wy idziecie?

— Idziemy bić się za ojczyznę — rzekł Jan, całując siostrę w czoło.

— Na rany Chrystusowe, ja was nie puszczę, ja nie chcę, żebyście wy zginęli.

Jan wziął ją za rękę, poprowadził do kołyski dziecka i rzekł poważnie:

— Tyś wykarmiła to dziecko, wychowasz je bezsennemi nocami, strapieniami, trudem — a gdy syn podrośnie, Moskal wpadnie jednéj nocy, porwie ci syna i zapędzi gdzieś daleko, że go nie zobaczysz więcéj, chyba gdy wróci kaleką — My idziemy bić się za to, by twój syn nie był więcéj niewolnikiem.

Tereska stłumiła gwałtem płacz w piersiach i siląc się na spokój, rzekła:

— Idźcie. — Niech was Bóg prowadzi.

Dwaj powstańcy wyszli z chaty i poszli drogą ku lasowi.

Jan milczał przez całą drogę — straszne myśli go trapiły. Liczył na udanie się napadu na miasteczko tylko w tym razie, gdy powstańcy będą w jaką ilość broni zaopatrzeni, bo w mieście była dość silna załoga. Tymczasem broni nie było. Cofnąć się nie było podobna, bo umówiono się już z mieszkańcami miasteczka i na godzinę dwónastą naznaczono powstanie. Było już po jedynastéj — już nie czas było odwołać. Szedł więc naprzód z oczyma zamkniętemi, naoślep, bez wiary w zwycięztwo, zwątpienie szarpało mu piersi.

Tymczasem w miasteczku był bal — wydawał go kapitan Kryłow dla Konstancyi, o którą się oświadczył. I dziwna rzecz, że Konstancyja ani się sprzeciwiała temu, ani się gniewała — z uśmiechem trochę ironicznym przyjmowała oświadczenie, słuchała rad i namów swojego stryja, a gdy żądano od niéj odpowiedzi, rzekła:

— Wszak wy mówicie za mnie, układacie się za mnie, ja się nie sprzeciwiam, czegoż więcéj chcecie?

Wszyscy więc uważali za rzecz skończoną, milczenie Konstancyi za przyzwolenie — kładła tylko jeden warunek, aby jéj dano czas do namysłu do końca stycznia.

Nie uważano za potrzebne sprzeciwiać się temu kaprysowi kobiecemu.

August szalał z rozpaczy, niemógł zrozumieć postępowania Konstancyi — kobieta, która wysyłała go dla ostrzeżenia owych ludzi z lasu, dziś nie sprzeciwia się iść za ich wroga — silił się rozwiązać tę zagadkę, głowa mu pękała, boleść mąciła mu zmysły.

— Pani, Konstancyjo — prosił jednego wieczora — przez Boga co pani robisz?

— Chcę nie być niewolnicą, czy się to panu nie podoba? —

— Ja pani pojąć nie mogę.

— Może pan pojmiesz kiedy.

Na kilka jednak dni przed balem August nie wiadomo dla jakich powodów był spokojniejszy i nie wyrzucał już nic Konstancyi.

Bal odbywał się w mieszkaniu burmistrza, bardzo wiele osób zgromadziło się, nawet tacy, którzy dawniéj nie żyli z burmistrzem i krzywo na niego patrzeli, dziś przyszli. Burmistrz zacierał ręce z radości, kontent był, że wszyscy zgodzili się w końcu iść drogą, którą on szedł. Był pewnym, że i Kryłowowi ta lojalność się

spodoba. Kryłowa nie było jeszcze — mała okoliczność wstrzymała go w domu. W chwili, kiedy już wychodził na bal, jakaś dama czarno ubrana zastąpiła mu drogę i prosiła o posłuchanie.

— Niemam czasu — później.

— Panie, ja tu czekam już dzień cały prawie.

— Czego pani chcesz?

— Widzieć się z moim mężem, dowiedzieć się, co się z nim stanie.

— Jak się nazywa mąż pani?

— Maurycy R.

— Co? ten łotr. Jutro wywożą go do cytadeli.

— Panie kapitanie, pozwól pan zobaczyć się z nim choć raz ostatni — prosiła Anna ze łzami.

— To być nie może.

— Ulituj się pan, albo nie jesteś człowiekiem.

— Ja Moskal, a wy Moskali nie uważacie za ludzi.

Chciał już odchodzić, gdy nagle coś mu wpadło do głowy.

— Dobrze, będziesz pani widziała się ze swoim mężem.

Anna chciała mu dziękować.

— Jeden tylko warunek. Dziś bal u nas, pani będziesz na balu — tam każę przyprowadzić jéj męża, będzie się przypatrywał, jak pani tańczyć będziesz ze mną.

— O jak pan jesteś twórczym w pastwieniu się.

— Potém pozwolę wam rozmawiać ze sobą — zostawiam pani wolność wyboru.

Chciała go jeszcze prosić — odepchnął ją i poszedł na bal, stąpając ostrożnie po kamieniach, aby nie powalać lakierów.

Choć wszyscy już goście byli zgromadzeni, nie rozpoczynano jednak balu aż za przybyciem kapitana, był to satrapa powiatu. Gdy wszedł, rozpoczęto tańce. Kon-

stancyja ubrana w białą suknię, tańczyła także, ale twarz jéj białą marmurową nie zarumieniło zmęczenie, oczy nie brały udziału w zabawie, usta były bez uśmiechu, zimne, zamknięte — zdawało się, że posąg Galatei ubrany w suknie i kwiaty, porusza się, ale nie czuje jeszcze. Czasami wzrok jéj głęboki, dziwny, zwracał się ku Augustowi, który roztargniony, niespokojny stał przy oknie i zdawał się na coś oczekiwać. Spojrzeniami rzucali sobie jakieś tajemne znaki i porozumienia.

Muzyka zagrała mazura. Kryłow zły poskoczył do fortepijanu:

— Małczat' — kadryl.

Zaczęto kadryla — w téj chwili w progu sali stanęła jakaś postać niewieścia, czarno ubrana, chwiejąca się z osłabienia, jak lilija nad wodą — postąpiła na środek sali i głosem zmęczonym, słabym, rzekła:

— Jestem panie kapitanie.

Kapitan uśmiechnął się złośliwie, z dziką radością i wydał żandarmowi stojącemu przy drzwiach, jakiś rozkaz. — Goście przypatrywali się téj całéj scenie pomieszani, patrzeli pytająco po sobie, nierozumiejąc co znaczy widmo téj kobiety bolesnéj na balu. — Kapitan zbliżył się do Anny, podał jéj rękę i stanął z nią do kadryla. Przy czwartéj figurze zwrócił się do niéj z galanteryją i rzekł, pokazując na drzwi pobocznego pokoju:

— Patrz pani jaki ja słowny — tam mąż pani.

Rzeczywiście we drzwiach pod strażą dwóch żandarmów stał Maurycy w kajdanach wynędzniały i zmieniony — patrzał na bawiących się — na żonę swoją tańcującą z kapitanem — w oczach miał pioruny oburzenia i rozpaczy, usta zaciśnięte z boleści jak grobowiec.

— Przez litość panie kapitanie pozwól mi odpocząć — iść do niego — prosiła Anna nieprzytomna już prawie.

— Póżniéj, póżniéj — pani jesteś jeszcze tak bladą, w tańcu rumieńca pani nabierze, będziesz się bardziéj podobać mężowi.

To mówiąc, chwycił ją w pół, krzyknął walca i porwał ją w taniec. Omdlała z nadmiaru męczarni i upadła wysunąwszy się z rąk katownika.

Goście zdrętwieli z przerażenia, w strasznóm milczeniu przypatrywali się srogim wybrykom Kryłowa i niektórzy rzucali sobie spojrzenia, na których mógł człowiek badawczy przeczytać wyraz: zemsta.

August przesunął się koło więźnia i szepnął mu:

— Miej nadzieję.

— Kiedy omdlałą otrzeźwiono i na nowo rozpoczęły się tańce i zabawy, wszedł do sali obłąkany ojciec Konstancyi ze szklannym wzrokiem, rozczochranemi włosami, obwinięty w jakieś płachty i kawałki odzieży. Stanął, spojrzał na bawiących się, potém coś palcem pisał po murze i mówił:

— Baltazarowe uczty — *mane, tekel, fares.*

Burmistrz zapérzył się z gniewu, że waryjat miesza im zabawę — skoczył ku niemu i chciał go wyprowadzić, gdy w tém w mieście odezwały się strzały i powstała wrzawa wielka.

Kapitan zbladł ze strachu, despota drżał jak tchórz — spojrzał po biesiadnikach, w oczach ich patrzących na niego surowo, czytał wyraz śmierci. Konstancyja roześmiała się dziko, szyderczo z trwogi kapitana. Czuł, że tu niebezpiecznie dłużéj zostawać, chciał biedz ku drzwiom — August z rewolwerem w ręku rzucił się na niego, chwycił go silnie pod gardło i przytrzymał. Żandarmów rozbrojono. Maurycy tulił już żonę w swoich objęciach — wielu mieszczan wybiegło na ulicę wziąść udział w walce. — Burmistrz gdzieś przepadł bez śladu. Kobiety strwożone tuliły się do siebie — jedna tylko Kostancyja z twarzą bohaterki stała — huk strzałów i wrza-

wa bojowa na ulicach zarumieniły jéj twarz zapałem — w oczach błyskała odwaga i radość. August stał wciąż jeszcze na środku pokoju, trzymając kapitana, i oczekując w milczeniu końca walki. Wrzawa zbliżała się coraz bardziéj ku sali balowéj — okna trzęsły się od strzałów, parę kul uderzyło w okna i uwięzgły w suficie. — Już na schodach słychać było krzyki i stąpanie, już w sieni rosła wrzawa i hałas — otworzyły się wreszcie drzwi i wpadli żołdacy moskiewscy wołając: sława Bohu kapitanie!

Role się zmieniły — bladość zeszła z twarzy Kryłowa, a wstąpiła na twarz Augusta, którego ten niespodziewany obrot rzeczy zmięszał i przeraził. Chciał skorzystać z krótkiéj chwili wolności i strzelił do kapitana, ale ręka jego w téj chwili trącona bagnetem żołnierza, źle skierowała rewolwer i strzał padł w zwierciadło. August pochwycony przez żołnierzy, puścił swego przeciwnika i z ponurém milczeniem poddał się losowi. Inni usiłowali ratować się ucieczką — wojsko ich ścigało. Na ulicach słychać było krzyki pijanego żołdactwa, popłoch, jęki i wrzawę.

Napad więc nie udał się, pomimo, że był dobrze obmyślany — z trzech stron podeszły oddziały powstańców pod miasteczko niepostrzeżone przez nieprzyjaciela, uderzyły niespodziewanie i w pierwszéj chwili przeraziły nieprzygotowanych i rozespanych żołdaków. Ale brak broni wnet dał się uczuć. Moskale oprzytomniawszy trochę, z mieszkań swoich porobili fortece i zatarasowawszy drzwi, razili z okien naoślep gęstemi strzałami powstańców, którzy z rozpaczném ale bezskuteczném bohatérstwem rzucali się naprzód, usiłowali mimo strzałów dostać się do wnętrza domów i padali ranni. — Na domiar złego zapaliła się szopa, stojąca w bliskości koszar — pożar oświecił pole walki i pokazał szczupłe siły nacierających, co ośmieliło Moskali

do zrobienia wycieczki. Temu był winien Kryłow swoje ocalenie.

Powstańcy zaś widząc niepodobieństwo utrzymania się w mieście, cofali się bezładnie za miasto przez płoty, ogrody, po za drzewami. Niejednego w takiéj przeprawie odszukała kula, padał gdzie pod płotem, za jaką stodołą i konał bez świadków, wśród nocy.

Rozbitki cofali się w kierunku wioski, w któréj mieszkał ojciec Anny.

Starzec po odejściu Jana był niespokojny mocno — zdawało mu się, że dobrze zrobił, że powinien był tak zrobić, a jednak teraz sumienie poczęło mu robić wyrzuty, rozsądek pasował się z sercem. Wydając broń, byłby przyłożył rękę do dzieła zapaleńców, stałby się współwinnym klęsk, jakie oni na kraj sprowadzą — ale przez zatrzymanie broni stawał się znowu winnym śmierci tych, którzy z gołemi rękami polecieli zginąć bez walki. Starzec miał duszę prawą — głos téj duszy mówił do niego teraz, że niemogąc ich wstrzymać, powinien był iść zginąć z nimi. — A rozsądek mówił znowu: po co bezpotrzebnie mnożyć ofiary? Garstka się zerwała — ta garstka śmiercią opłacić musi swoje szaleństwo i będzie cicho. — To go uspokoiło trochę — usiadł znowu i modlił się za mających umrzeć. — Po chwili zerwał się znowu z krzesła i zadzwonił na służącego. Przypomniał sobie, że córka jego nie wróciła jeszcze z miasteczka, zadrżał z obawy o los dziecka, gdyby napad zastał ją jeszcze w mieście.

— Siadaj na konia, pędź do miasteczka i proś pani, by natychmiast tu wracała — nie uważaj czy koń padnie, byleś coprędzéj —

— W téj chwili odezwały się pierwsze strzały w miasteczku — starzec przerwał mowę i słuchał ze wzrokiem sztyfnie wbitym w podłogę.

Strzały powtarzały się coraz częściéj — te strzały

odbijały się w jego piersiach, wiedział, że to Moskwa tak często się odzywa. Krew zaczęła zapalać się w starym żołnierzu, przypomniał sobie czasy, kiedy wśród dymu i wojennéj kurzawy słyszał takie strzały — oczy zaliły się ogniem miłości, pięści ścisnęły się mimo wiedzy. Strzały nie ustawały — płomień zajaśniał na dachach miasteczka — szeroka łuna zakrwawiła niebo. — Stary niemógł wytrzymać dłużéj.

— Przez Bóg żywy, oni tam wyginą co do jednego — zaryczał boleśnie. Walenty, zwołaj ludzi — dobądź broń zakopaną w piwnicy — trzeba ich ratować — spiesz się.

Począł się wojenny ruch w domu szlachcica — on sam uzbrajał się i gotował do wyprawy z rycerskim animuszem.

Niestety zapóźno. Rozbitki cofały się przez wieś — lud wiejski zaparł przed nimi chaty swoje, psy wyły i ujadały. Jeszcze powstańcy nie przeciągnęli całkiem przez wieś, gdy kozacy ukazali się koło mostu goniąc ich. Niezadługo nadciągnęła piechota i pomaszerowała prosto ku dworowi. Czeladź już dosiadła koni, przywiązana do pana dla jego łaskawości, nie wahała się ani na chwilę wypełnić jego rozkaz. Już mieli wyruszać, gdy w bramie pokazali się Moskale. Padły strzały — konie nieprzyzwyczajone do nich, zerwały się i pounosiły jeźdźców między bagnety żołnierskie, zrzucały ich po klombach — szalały i rzucały się wśród ciemnéj nocy i zamętu okropnego.

Stary dziedzic wypadł z komnat uzbrojony — już teraz nie miał innego pragnienia, tylko zginąć z honorem, po żołniersku. Los i tego mu odmówił, bo w chwili kiedy wybiegł z ganku, jeden z przestraszonych koni uderzył go silnie w piersi tylnemi kopytami — starzec upadł w błoto i śnieg roztopiony — usiłował się podnieść, ale konie rozszalałe, co chwila przelatywały po nim jak po moście, tratowały go i wtłaczały coraz

bardziéj w śnieg roztopiony. A tymczasem po dworze hulało pijane żołdactwo, rabując, niszcząc, tłukąc wszystko. Spokojny przed chwilą dwór, zamienił się teraz w wrzaskliwe piekło, w dziką arenę rozbestwionych najezdników, którą oświecał pożar, ogarniający stodoły i spichlerze.

Na drugi dzień z tego całego widowiska zostały szkielety popękanych, szczerniałych i okopconych murów — opalone słupy — i trochę trupów krwawiących ranami brudny śnieg. Z trudem odszukano ciało dziedzica, tak głęboko wtłoczyły je w ziemię końskie kopyta, pokaleczoną miał twarz, powalaną błotem i spłaszczoną.

Taką śmiercią bezczestną zginął w owéj nocy człowiek, który stanął z protestem przeciw wezbranym prądom burzy — upadł i burza przeszła po jego piersiach. Neutralność nie ocaliła go.

V.

OFIARA.

Przed bramą więzienia stał tłum niewiast, oczekując chwili, w którój wolno im było widzieć się z więźniami. Widzenie odbywało się w sali sądowéj — każdego z więźniów wprowadzano osobno pod silną strażą, oficer przedzielał rozmawiających, niepozwalając im zbliżyć się do siebie i uważając pilnie, aby gestem lub słowem nie dawali sobie jakich znaków porozumienia. Po pięciu minutach odprowadzono więźnia napowrót do kaźni. Takie widzenie się było raczéj męczarnią niż pociechą — bo łkanie tamowało głos, łzy zasłaniały wzrok i często nieszczęśliwi rozchodzili się nie przemówiwszy słowa do siebie, nie usłyszawszy wzajemnie nic prócz płaczu, nie biorąc na długie chwile rozstania nic prócz przypomnienia swych zbiedzonych twarzy, wyrzeźbionych troskami i strapieniem. A jednak na tę krótką chwilę widzenia się z jakiemż utęsknieniem czekają żony niewolników, z jakąż męką wyżebrują pozwolenia u satrapy miasteczka, jakiemż upokorzeniem, prześladowaniem okupują tę chwilę. Żołnierze urągają

im, odtrącają kolbami od bramy, cynicznemi żartami obrażają wstydliwą skromność dziewic. Okropny jest los kobiet narodu, który utracił swobodę — są to nowożytne Nioby, które nigdy nie mogą skamienieć z boleści. — Owe grono niewiast skupionych około drzwi więziennych, to ledwie jedna kartka z dziejów tych boleści, które targają lub hartują wątłe siły niewieście. Spotykamy w tém gronie Annę. Otulona w futro, siedzi na kamieniu pod murem więzienia, obok niéj jakaś wiejska kobieta zanosi się od płaczu i tuli w ramionach chore dziecko. To Tereska, żona Marcina, który także w owéj fatalnéj nocy dostał się do niewoli.

— Daj mi to dziecię — rzekła Anna — ono skostniało już od zimna. Ogrzeję je pod futrem.

I wzięła z jéj rąk dziecinę i otuliła je i usypiała na ręku.

— Jakie imię daliście temu dziecku? — spytała po chwili.

— Jan.

Anna zmięszała się, patrzała długi czas nieruchomo w siną twarzyczkę dziecięcia, jakby się namyślała i wahała nad czemś, potém spytała nieśmiało:

— Twój brat nie zginął? —

— Niewiem — między trupami go nie znaleziono.

W téj chwili szmer głuchy rozszedł się między kobietami, wszystkie z przerażeniem spojrzały w ulicę. Dwóch cieśli siedziało na wozie i jechali w ulicę, która prowadziła za miasto. Z wozu sterczały dwa końce świeżo ociosanego drzewa — to była szubienica.

Kobiety przeszedł dreszcz zimny, każda zadrżała o życie swego więźnia, każda bała się spytać drugiéj, by nie usłyszeć nazwiska swego męża, brata lub syna.

— Dla kogo to? — spytała Tereska głosem zmienionym.

— Jakiś August skazany na śmierć — rzekła Anna — wczoraj słyszałam oficerów mówiących o tém w mieszkaniu kapitana.

Kobiety patrzały za wozem czas długi, dopóki nie znikł z oczów. Niezadługo wyszła z koszar rota żołnierzy i uszykowała się przed więzieniem, czekając na skazanego, którego eskortować miała za miasto. Czekano tylko na kapitana. Na ratuszu wybiła dziewiąta, była to godzina przeznaczona do widzenia się z więźniami. Otwarła się brama, wyszedł oficer i odepchnąwszy kobiety cisnące się do drzwi, oświadczył, że dziś z powodu egzekucyi jednego z więźniów, widzenie się jest wzbronione. Jedna z kobiet przypadła do nóg oficera i prosiła rozdzierającym głosem:

— Panie! puśćcie mnie — niech ojciec pożegna dziecko, ono chore, skona mi na rękach, jutra nie doczeka.

Była to Tereska.

Oficerowi łzy stanęły w oczach — może to był Polak, może Moskal z sercem, może i on gdzieś nad Newą zostawił żonę i dziecko, — patrzał na rozpaczającą kobietę dziwnym wzrokiem, ustami klął ją, a oczami litował się — potém zmarszczył się ponuro, zacisnął wargi i rzekł:

— Nie lża — i odszedł, kryjąc wzruszenie przed ludźmi.

Tereska wybuchnęła gwałtownym płaczem, łamała ręce i szalała z rozpaczy. Anna starała się ją uspokoić, choć sama potrzebowała pociechy — i tuliła płaczące dziecko. W tém coś mokrego dotknęło się jéj ręki, spojrzała na dół. Duży czarny pies stał przy niéj i lizał ją po ręce i wymownie patrzał jéj w oczy. Anna niespokojna obejrzała się wokoło, zdawała się szukać kogoś wśród ludzi. O kilka kroków od niéj stał jakiś chłop, który w chwili, gdy spojrzała na niego, obrócił twarz

w inną stronę. Ten człowiek zbliżył się potém do Te-reski. Anna uważała, że coś do niéj przemówił, że Tereska uspokoiła się trochę, wzięła z rąk jéj dziecko i poszła za tym człowiekiem w boczną ulicę. Byłżeby to.... Zawarczały bębny — był to znak do wyprowadzenia więźnia — brama się otwarła i ukazał się w niéj August blady, ale spokojny i pewny.

W téj chwili Konstancyja przechodziła koło więzienia — szła jakby lunatyczka nie patrząc na nikogo, nawet na więźnia nie — w chodzie jéj znać było wysilenie, blada twarz zarumieniła się od pośpiechu. Szła prosto do mieszkania kapitana.

Kryłow wybierał się właśnie na egzekucyją, stał przed lustrem i gładził włosy — za wejściem Konstancyi obrócił się i z galanteryją zbliżył się do niéj.

— A! Toż szczęście dla mnie, cóż panią do mnie sprowadza? —

— Pan zapomniałeś panie kapitanie, że dziś ostatni termin naszego ślubu.

Kryłow tak dalece był nieprzygotowany to usłyszeć, że osłupiał z zadziwienia.

— Jakto? Pani byś chciała. —

— Dziś albo nigdy.

Kapitan wściekł się z zradości — rzucił się na Konstancyję, chwycił ją wpół i przycisnął do siebie, wydając nieludzkie prawie głosy.

Nie broniła mu się, choć w twarzy jéj boleśnie skrzywionéj, w zaciśniętych ustach znać było przymus i odrazę. Odsunęła go lekko ręką i rzekła pokazując na okno:

— Co znaczy to wojsko przed więzieniem?

— Jednego z buntowszczyków będą dziś wieszać.

— W dzień naszego ślubu? To zła wróżba. Kapitanie, ja na to nie pozwolę.

— Jutro znowu imieniny generała. —

— Więc dwa dni zwloki, cóż to znaczy. —

— Gubernator rozkazał dziś.

— A żona prosi: za dwa dni.

Kapitan się wahał — potém wydał rozkaz i skazanego wprowadzono napowrót do więzienia.

Konstancyja pożegnała kapitana — mówiąc: do widzenia — wieczorem.

Wyszedłszy od niego, nie poszła wprost do domu, ale skręciła od kościoła w lewo w ciasną, pochyłą uliczkę, zabudowaną nizkiemi domkami, otoczonemi sadami. Do jednego z takich domków weszła, jakaś kobiecina wyszła ku niéj dygocząca od trwogi, wprowadziła ją w głąb sieni, otwarła drzwiczki i obydwie zeszły po wyszczerbionych schódkach do piwnicy. Kobieta owa zatrzymała się przy schodach, Konstancyja zaś poszła daléj, stąpając pewnie, choć ciemno było w piwnicy. W jednym kącie oświeconym trochę światłem, padającém przez małe okienko z góry, leżał na słomie jakiś mężczyzna, mający nogę obandażowaną. To był brat Konstancyi. Podczas napadu na miasteczko, raniony w nogę, upadł za ogrodem tego domu. Szczęściem, że mieszkańcy spostrzegli go pierwéj niż Moskale i w tę bezpieczną wprowadzili kryjówkę. Siostra uwiadomiona o tém, odwiedzała brata tajemnie. — Obok rannego stał jeszcze jakiś człowiek. — Był to ten sam chłop, którego widzieliśmy przed bramą więzienia. Konstancyja zbliżyła się ku niemu i rzekła cicho:

— Cóż?

— Śpi teraz — dziś rano wyjęto mu kulę. Trudno mu jednak będzie uciekać z nami.

— Trzeba go będzie wynieść w chwili zamieszania — ja będę czuwać nad tém. — Szczęśliwie dostałeś się pan do miasta?

— Rozstawione patrole obrewidowały mnie silnie i puściły.

— Egzekucyja Augusta odłożona do trzeciego dnia.

— To dobrze — inaczéj byłby zginął — napad odbędzie się dopiero jutro wieczorem.

Konstancyja zcierpnęła.

— Jakto — wszak na dziś ułożono —?

— Oddział nie zdąży na dziś — posuwać się może tylko nocą.

— Boże, to okropnie. Na dziś postanowiony ślub mój z Kryłowem.

— Staraj się pani odwlec.

— Gotów domyśleć się, a wtedy wszystko przepadło. Co tu począć? —

Osłabiona oparła się o mur, pierś jéj falowała szybko, słychać było ciężki oddech.

— Żoną Moskala — to okropnie — wstrząsnęła się.

Jan patrzał na nią w milczeniu — z współczuciem.

— Ha, bądź co bądź, August żyć musi, ocalę go za jaką bądź cenę.

— Pani odchodzisz już? —

— Czy pan masz mi jeszcze co zlecić? —

— Znasz pani żonę Maurycego R.? —

— Znam.

— Skłoń ją pani do wyjazdu przed jutrzejszą nocą — w domu będzie bezpieczniejszą niż tu w miasteczku.

— Nie będzie chciała odjechać od męża — ona go tak kocha.

Jan milczał chwilę — potém rzekł:

— Powiedz jéj pani o całym naszym planie — tylko nie mów jéj pani o mnie.

— Pan ją znasz dobrze?

— Znałem. —

Z tem rozeszli się.

Po odejściu Konstancyi Jan jeszcze jakiś czas zabawił przy chorym, czekając aż się przebudzi. Potém rozmawiał z nim trochę, pocieszał go nadzieją prędkiego wyzdrowienia i wolności.

— Wolałbym, żeby mi odjęto nogę — mówił brat Konstancyi — choć o szczudle, byle coprędzéj iść bić, to bezczynne leżenie mnie męczy, trwoży mnie ta myśl, że tu lada chwila wpadną Moskale i dobiją mnie. To byłoby okropnie zginąć w dziurze jak tchórz.

— Jutro w nocy napadamy na miasteczko, kilku zrobi fałszywy alarm od północy, Moskale tam uderzą, a my tymczasem napadniemy na więzienie i uprowadzimy więźniów.

— A mnie tu zostawicie? —

— Siostra czuwa nad tobą — w chwili napadu cztérech ludzi wyniesie cię za miasto, mamy dla ciebie bezpieczne schronienie w lesie.

— Mniejsza o schronienie, choćby paść od kuli, byle nie tu. Ja nie miałem w życiu innego pragnienia, tylko umrzeć, ale umrzeć na polu walki — za Polskę.

— Nam trzeba zwyciężać za nią — inaczéj źle będzie.

— Jak stoi powstanie?

— Niewiem — komunikacyje są poprzerywane wojskami. Słychać, że jakiś znaczniejszy oddział naszych zbliża się w te strony — toby nas poratowało, rozproszonym wróciłaby odwaga.

— Wielu was jest teraz?

— Zaledwie dwódziestu. Czas mi wracać do nich — w mieście już zrobiłem swoje.

Pożegnał chorego i wyszedł na ulicę niepostrzeżony przez nikogo. Minął kościół, koszary i wszedł w ulicę prowadzącą za miasto. Ulica była w téj chwili pusta, tylko jakiś pachołek sądowy siedział przed szynkiem. Ten

pachołek spojrzał najprzód na psa, potém samemu przechodzącemu Janowi przypatrzył się uważnie. Jana zmięszał ten badawczy wzrok (pachołka owego znał we dworze ojca Anny, gdy ten przychodził z różnemi papierami od rządu) — dla tego téż uszedłszy kilkanaście kroków zatrzymał się i niby schylając się po coś ku ziemi, zérknął nieznacznie okiem za siebie. Pachołek szedł za nim i widocznie go śledził, nawet przyspieszył kroku. Jan widział że jest poznany, przewidywał grożące mu niebezpieczeństwo, bo pachołek widocznie dla tego spieszył się, by go zdać przed żołnierzami, stojącymi przy rogatce i kazać go aresztować. Skręcił więc w bok w małą uliczkę, ciągnącą się między parkanami ogrodów. Pachołek nie spuszczał go z oka, na każdym zakręcie Jan obglądając się, widział go za sobą — widział, że wymknąć się z miasta, było niepodobieństwem; wrócić do miasta, było również niepodobieństwem, bo pachołek nieochybnie zda go żołnierzom. Przy jednym więc zakręcie przesadził parkan i zniknął w ogrodzie. — Mera została z drugiéj strony szczekając. — Był to już największy czas do ucieczki, w téj chwili bowiem ukazał się w ulicy patrol z kilku żołnierzy — z którym pachołek spotkawszy się, począł coś żywo opowiadać i pokazywał na parkan i na psa. Jan patrzący na to wszystko przez szpary w parkanie, nie sądził się tu bozpiecznym, skoczył więc do sąsiedniego ogrodu, ztamtąd do następnych, aż zmęczony zatrzymał się w jednym. Słyszał krótkie urywane szczekanie Mery, Moskale użyli przywiązania psa za denuncyjanta i szli za tropem. Zapadający zmrok był na rękę kryjącemu się. W domach już pozapalano światła. Jan podsunął się cicho pod jedno okno i zajrzał w głąb. W niewielkim pokoiku siedział jakiś starzec dziwacznie ubrany, łysy — garstka siwych włosów bezładnie spa-

dała na wytarty, stary szlafrok. Starzec siedział układając papiery i robiąc dziwne grymasy twarzą; obok niego siedziała jakaś kobieta czarno ubrana, zamyślona mocno. Gdy zwróciła twarz ku światłu, Jan poznał w niéj Konstancyją. Był więc w ogrodzie burmistrza — to go zaniepokoiło, bał się, by kto z domowników nie zobaczył go, bo wtedy byłby pewnie wydany. — Po krótkim namyśle uderzył lekko w okno. Konstancyja wstała, zbliżyła się do okna i zasłaniając się ręką od światła, usiłowała zobaczyć kto puka. Jan dał jéj znak ręką — uchyliła okna.

— Pan tu? — spytała cicho z zdziwieniem.

— Szukają mnie.

— Co tu począć? —

Namyślała się chwilę — potém rzekła:

— Tu może byłbyś pan bezpieczniejszy niż gdzieindziej — tu szukać nie będą. Wejdź pan.

Jan wskoczył oknem do pokoju — dziwiło go, że starzec ani się obejrzał, ani przerywał swéj roboty. Konstancyja domyśliła się powodu jego zadziwienia.

— To mój ojciec — obłąkany — rzekła — nie będzie uważał na pana, tylko się nic nie odzywaj do niego.

Spuściła storę i wskazała Janowi stołek stojący między szafą i stolikiem w kącie.

W téj chwili odezwało się parę głosów, powtarzających jéj imię. — Konstancyja pobladła.

— To Kryłow musiał przyjść — idę na męczarnie. Boże, co się stanie ze mną. — Siedź pan tu i nieoddalaj się — nikt tu nie wejdzie prócz mnie.

To rzekłszy, wyszła spiesznie z pokoju.

Jan siedział obok starca i w milczeniu przypatrywał się jego zajęciu.

Obłąkany układał różne stare szpargały, zapisane drobném pismem. Były to przeróżne proroctwa, odezwy,

marsze, które starzec spisywał lub wypisywał. Ułożywszy to wszystko porządnie, począł mruczeć przez zęby:

— Testament powie co komu. Niech mają, aż się spełni. Sybilla daje wróżby — niech lecą liście po świecie.

Tu nadął obłąkany oba policzki i dmuchnął silnie w kupę papierów, które się rozleciały na wszystkie strony. Jeden z tych upadł na rękę Janowi. Machinalnie rzucił nań okiem — uderzyło go znane mu nazwisko R., było to nazwisko Syberyjczyka. Wziął papier w rękę i uważniéj przypatrywać mu się zaczął. Był to rewers na 100,000 złp. wystawiony przez brata syberyjczyka. Na rewersie było oprócz jego nazwiska jeszcze nazwisko obłąkanego. Jan zastanowił się, dla czego syberyjczyk nigdy nie wspomniał mu o tém; domyślając się ważności tego dokumentu, złożył go i schował.

Tymczasem w salonie odbywała się straszna scena. Kryłow z kilkoma oficerami w paradny mundur ubrany, oczekiwał przybycia narzeczonéj; gdy ją zobaczył wchodzącą w zwykłym ubiorze, nie zdradzającym wcale przedślubne przygotowania, poczerwieniał ze złości, potém rozśmiał się szyderczo i rzekł do burmistrza:

— A co? — nie powiedziałem? To była łapka na moją dobroduszność. Pannie zachciało się choć dwa dni życia przyczynić Laszkowi i otumaniła mnie chęcią ślubu. Petrow! — rzekł obracając się nagle do oficera: wyprowadzić więźnia i natychmiast powiesić.

— Ciemno jest już kapitanie.

— Zapalić szopę za miastem — aby namacać szyję i założyć stryczek, nie trzeba wiele światła. — Powiesić w siej czas.

— Kapitanie — rzekła Konstancyja drżącym głosem, jestem mocno cierpiącą, to był jedyny powód, dla któ-

rego chciałam odwlec ślub. Jeżeli ci się wydaje małoważnym. —

— Owszem, wasze zdrowie ja szacuję. Ślub się odwlecze, co i mnie na rękę, bo będę mógł spełnić wyrok dziś, jak stoi w rozkazie. Szubienica za miastem czeka.

— Czy wszystko już przygotowane do ślubu? — spytała pospiesznie Konstancyja. —

— Wszystko — wyjąwszy pani — rzekł Kryłow, patrząc na nią badawczo, z ironiją.

— Za chwilę będę gotową — wyrzekła słabym, ledwie dosłyszanym głosem — i wyszła.

W godzinę potém Konstancyja została żoną Kryłowa — wyprosiła tylko sobie, by ją przez pare dni zostawił jeszcze w domu wujostwa.

Na drugi dzień po ślubie obchodzono szumnie imieniny generała — żołnierze popili się i leżeli jak bez duszy. Oficerowie także się spili, tylko nie wódką jeno winem: między żołnierzami a oficerami była tylko różnica trunku — skutek ten sam.

Wieczorem, kiedy resztki illuminacyi dopalały się w oknach miasteczka — odezwały się za miastem kilkakrotne strzały. Potrwożone żołdactwo zerwało się na nogi, poczęło się mięszać w bezładzie, szukać broni, ubrania — i dopiero po półgodzinnéj zwłoce zdołało uszykować się przed koszarami, zkąd ruszyło w stronę, gdzie strzały słyszeć się dały.

Jak wiemy, był to fałszywy alarm. — W chwili, gdy wojsko pobiegło naprzeciw mniemanemu nieprzyjacielowi i ogołociło miasto — jakiś człowiek wysunął się z ciasnéj uliczki, prowadzącéj koło więzienia, czając się koło muru, zbliżył się do szyldwacha i rzuciwszy się na niego, chwycił go naraz tak silnie za gardło, że krzyczeć nie mógł. Niezadługo wybiegło kilku innych, otworzono

drzwi więzienia i wypuszczono więźniów na wolność. Napadający i uwolnieni co prędzéj cofnęli się przez płoty i ogrody za miasto. Jeden tylko August ponury stanął we drzwiach więzienia i opierał się.

— Spiesz się, za chwilę wojsko wróci z wycieczki, a wtedy zginiesz — rzekł do niego jakiś młodzieniaszek dźwięcznym głosem.

August machnął ręką obojętnie —

— Mniejsza o to.

— Auguście — odezwał się ten sam głos z prośbą i drżeniem.

August zdziwiony, spojrzał na mówiącego i rzekł:

— Kto ty jesteś, ja znam twój głos.

Młody człowiek widocznie nie chciał być poznanym, bo odwracał twarz w przeciwną stronę, tylko naglił niecierpliwie Augusta do ucieczki.

— Nie, ja tu zostanę — ja ją muszę widzieć choćby dla tego, aby jéj powiedzieć, że jest podłą.

Nieznajomy młodzieniec jęknął boleśnie.

— O! to okropnie! zawołał i zasłonił twarz rękami. Auguście, jak ty mi uwłaczasz.

August zbliżył się do mówiącego i rzekł osłupiały z zadziwienia:

— Konstancyjo! — Więc to prawda, żeś ty żoną Kryłowa?

— Nie mów mi o tem, bo będę ci musiała powiedzieć, że dla ocalenia ciebie splamiłam się tém nazwiskiem.

— Dla mnie — o! teraz żyć pragnę — zawołał z uniesieniem August — uciekajmy, ja chcę żyć.

— Już późno — rzekła smutnie Konstancyja — patrz, żołnierze otaczają nas, umrzemy razem — dobrze?

Zbliżyła się i oparłszy głowę na jego piersiach, czekała spokojnie chwili skonu.

August przytulił ją do piersi i chciał na jéj czole złożyć pocałunek, gdy grad kul moskiewskich zwalił ich z nóg. August został raniony w piersi — żołnierze zbliżyli się, aby go dobić. Wtedy Konstancyja z ostatniém wysileniem podniosła się na pół z ziemi, chwytała rękami bagnety moskiewskie i zasłaniała sobą Augusta, aż zmęczona, pokrwawiona, osłabiona upływem krwi, spuściła bezwładnie głowę na jego piersi. Żołnierze stali chwilę jakby zaczarowani tą sceną; — wtém przybiegł Kryłow.

— Czego stoicie, mordować bez pardonu.

Błysnęły bagnety i utonęły w piersiach kochanków. Kryłow zbliżył się przypatrzyć trupom i cofnął się przerażony — nie miał już żony.

Reszta zaś uwolnionych więźniów szczęśliwie uszła z miasta, cofając się ku lasowi. Kiedy mijali wioskę, Marcin rzekł do Jana:

— Muszę iść zobaczyć żonę i dziecko — kto wie kiedy ich zobaczę znowu.

— A jak Moskale cię złapią? —

— Nie. A trudno mi przenieść na sobie, bym przeszedł i nie wstąpił.

To powiedziawszy, odłączył się od garstki i ścieszką między stawami poszedł do swego mieszkania. W chacie widać było światło, ale było cicho, nie słyszał ani płaczu dziecka, ani śpiewki żony, którą dziecko usy-

piała. Może już usnęło. Serce zaczęło bić z radości Marcinowi, podsunął się pod okno i zajrzał w głąb chaty.

Na dwóch stołkach zwróconych ku sobie, leżała z deszczek niemalowanych zbita mała trumienka, w niéj siny trupek dzieciny — obok trumienki siedziała Tereska z założonemi na kolanach rękami i patrzyła przed siebie wzrokiem szklannym nieruchomym.

Marcinowi zbezwładniały nogi na ten widok — łzy zakręciły się w oczach. Zacisnął zęby z boleści i wszedł do izby. Długo patrzał na trumienkę — może modlił się, może złorzeczył myślą — potém wstał, pocałował żonę i zabierał się do wyjścia.

— Idziesz znowu? — spytała Tereska.

— Moskale gonią nas.

— Kiedyż wrócisz? —

— Bóg to wie — może nigdy.

Tereska zaniosła się od płaczu.

— Niech cię Bóg ma w swojéj opiece — rzekł i wyszedłszy z chaty, pospieszał za swoimi. Dogonił ich wśród lasu, gdy już dniało. Trzeba było spocząć i wytchnąć troszkę. Teraz dopiero z świtającym dniem rozpoznawali się więźniowie i ich wybawcy. Maurycy poznał między tymi ostatnimi syberyjczyka — zbliżył się do niego i dziękował mu za swoje ocalenie.

— Nie mnie, ale jemu dziękuj — rzekł tenże pokazując na swego towarzysza.

Maurycy wrócił się w tę stronę ze słowem dziękczynném — nagle urwał, zmięszał się — zobaczył bowiem Jana. Człowiek, którego on nienawidził, był jego

wybawcą, musiał mu być wdzięczny — choć przez grzeczność. Zaczął więc silić się na jakie takie podziękowanie. Jan odwrócił się od niego pogardliwie i rzekł:

— Nie dziękuj pan — nie dla pana to zrobiłem.

IV.

SĄD.

Wiosenne ciepło już rozbudzało ziemię — pola i lasy odziewały się przejrzystą, młodziuchną zielonością tak ponętną dla oczów, tak rozbudzającą nadzieję w człowieku. W takim czasie skowronki podlatują nad orzącym rolnikiem, wierzbowe fujarki odzywają się pod lasami. Ale rok 1863 nie znał u nas takiéj sielanki — wiosenna zieloność była tłem ciągłych utarczek — balsamiczne lasy były szlakiem i schronieniem powstańczych oddziałów, i świadkami strasznych scen nieraz. W ziemi niewolników nie było wiosny. Wśród najcichszych ustroni słyszysz nagle tentent czwałujących koni, jakiś gwar i ruch w zaroślach lasu, wnet z za leszczynowych krzaków wysuwają się baranie czapki z kokardami, powstańcze burki, błyszczące szable i już po sielance.

Jeden z takich oddziałów ukazał się dnia 13 maja w okolicach miasteczka N., ominął z daleka miasteczko, w którém było kilka rot piechoty moskiewskiéj i sotnia kozaków, przeszedł półmilowy las i wyszedł na gości-

niec. Był to oddział, o którego zbliżaniu się wspominał był Jan poprzednio. — Na gościeńcu kilkunastu ludzi oddzieliło się i skręcili w boczną drożynę, prowadzącą do wsi S.; tych ludzi prowadził brat Konstancyi, już zdrowy zupełnie; — obok niego jechał komisarz województwa — w tyle znajdowali się syberyjczyk i Jan.

Potworna twarz syberyjczyka w téj chwili była rozrzewnioną, rozglądał się z zajęciem po okolicy, czasami zatrzymywał konia i zwracając się do Jana, mówił:

— Dziwnie mi jest dzisiaj — serce tłucze się czegoś mocno w piersiach, niby to radość, a pod tą radością jest jakiś niepokój, jakaś trwoga, jakieś złe przeczucie. Te miejsca tak pełne wspomnień z dawnych lat cieszą mnie i smucą zarazem, jak uśmiech człowieka, którego żegnamy na długo. Patrz, tam pod tém urwiskiem, gdzie płynie rzeka podmywając gaik olszowy, tam lubiłem czytywać i dumać; po téj drodze, którą jedziemy, wyścigałem się nieraz z bratem.

Na wspomnienie brata zachmurzył się i zamilkł. Po chwili rzekł:

— Już widać dwór, w którym spełni się sprawiedliwość na zbrodniarzu. A jeżeli on uciekł? —

Ta myśl zaniepokoiła go, spiął konia i przyspieszył biegu.

— Po co tak piękne pamiątki brudzisz uczuciem zemsty? — spytał Jan.

— Chcę je oczyścić z błota.

— Obmyj je przebaczeniem.

— Nie, krwią tylko. Ja na tę chwilę czekałem tak długo, wśród bolesnych przejść ta myśl, że kiedyś pomszczonym będę, podnosiła mnie i krzepiła, wypieściłem ją w swéj duszy, ona stała się celem mego życia i ty każesz mi teraz zrzec się téj myśli. Nigdy, nigdy! — Poświęciłem dla kraju życie — ale się nie zrzekę....

— Zemsty? —

— Nie, sprawiedliwości. I téj żądam.

Wjechali w bramę dworu. Syberyjczyk obstawił strażą wszystkie wejścia. Wszedł furtką do ogrodu, chcąc straże postawić pod oknami. W téj chwili jakiś chłopiec wybiegł oknem i skrył się w krzakach. Jeden z ludzi zwrócił na to uwagę syberyjczyka.

— Mniejsza o jednego służącego, niech ucieka. Tu idzie o to, aby obwiniony nie uciekł.

To rzekłszy, wrócił do pokojów i spytał z pospiechem oficera:

— Jest? —

— Jest w swoim pokoju już pod strażą. Idę złożyć sąd.

— Ja przyjdę za chwilę.

Oficer odszedł. Syberyjczyk upadł w krzesło bezwładny ze wzruszenia. Znajdował się w jadalnym pokoju, było to ulubione miejsce, w którém jego ojciec długie przesiadywał godziny. Stary portret matki zczerniały wiekiem, wisiał wprost naprzeciw niego i patrzał na niego wymownie malowanemi oczyma. Wspomnienia tłoczyły się jedne po drugich bezładnie, rozpierały mu piersi wzruszeniem tak, że zapatrzony w przeszłość, zapomniał po co tu przybył. — Gdy tak siedział, otwarły się drzwi i weszła do sali jakaś niemłoda już kobieta, z wyrazem niespokoju na twarzy. Ujrzawszy syberyjczyka, stanęła oniemiała i oboje przez chwilę patrzeli na siebie nic nie mówiąc. Kobieta pierwsza przemówiła:

— Teraz rozumiem pocoście przyszli. Pan chcesz się zemścić, prawda? —

Syberyjczyk wstał, ale milczał.

— Mścij się pan, ale na tych, co zawinili — na mnie. Co on wam winien? —

— Oboje ciężkoście zawinili przeciw mnie. Nie przyszedłem się mścić na pani, serce ma swoje popędy, którym rozkazywać trudno. Zresztą po co poruszać stare

rzeczy, które czas zatarł. Ja przyszedłem żądać od niego rachunku, za to, co przeciw mnie uczynił. On mnie okradł z majątku — pani musisz wiedzieć o tém.

— Dla czego pan nie przyszedłeś sam, brat z bratem porozumiećby się mogli. Ci ludzie, których przyprowadziłeś ze sobą, mają coś strasznego w twarzy, ja w nich czytam okropny wyrok dla mego męża. Panie ratuj go, oszczędź go, wszak to twój brat, oszczędź nas.

— Pani go kochasz — pani możesz szanować tego człowieka? —

Kobieta spuściła oczy przed badawczym wzrokiem syberyjczyka i milczała.

— Nie, ty nie możesz szanować człowieka, którego brudną duszę poznałaś. —

— On moim mężem. —

— Rozumiem szlachetność twoją.

Dalszą rozmowę przerwało wejście oficera.

— Sąd czeka — rzekł. Syberyjczyk skinął i poszedł za nim.

Rozmowa z kobietą, którą niegdyś kochał, rozbroiła syberyjczyka przeciw bratu, szedł na sąd z myślą przebaczenia; ale gdy zobaczył twarz oskarżonego bez skruchy, owszem impertynencko śmiałą i wyzywającą, zawrzał oburzeniem, uczucie litości odleciało precz — spojrzenia braci zmierzyły się jak ostrza pałaszy przed pojedynkiem.

Komisarz pełnomocny przeczytał oskarżenie i spytał obwinionego co ma na swoją obronę.

— Bronić się powinien ten, który rzuca oszczerstwa, a nie ja, — rzekł tenże z efronteryją.

— Nierozumiemy czego pan chcesz?

— Chcę dowodów, bo przypuszczam, że rząd narodu dobijającego się wolności, nie potępi mnie na proste oskarżenie jakiegoś włóczęgi.

Syberyjczyk zacisnął pięść i chciał skoczyć ku potwarcy. Ten stał spokojnie i wzrokiem urągał mu:

— Pięść to nie dowód — rzekł.

— Czy był kto świadkiem owéj pozornéj sprzedaży— spytał komisarz. —

Syberyjczyk zastanowił się, coś sobie przypomniał i kombinował:

— Tak, rzekł po chwili, był jeden człowiek znajomy mój. Przypominam sobie, że on jako prawnik radził mi zabezpieczyć się przeciw wszelkim podejściom, żądaniem nawzajem od tego tutaj człowieka podłego skryptu na sumę wartości wioski. Nie chciałem przystać na to, nie przypuszczałem wtedy, że przeciw bratu tak prawnie zabezpieczać się trzeba. Ale ów mój towarzysz nalegał na to i ten — rzekł pokazując na brata stojącego w zakłopotanéj postawie — dał mi skrypt taki. —

— I zachowałeś go pan?

— Nie chciałem taką niewiarą uwłaczać miłości braterskiéj — skrypt został w ręku tamtego świadka.

— Gdzież on jest? —

— Bóg wie. —

Oskarżony roześmiał się szyderczo.

— Jak się nazywał? — pytał daléj komisarz.

— Tadeusz M.

— To był mój ojciec — rzekł oficer wstając.

Oskarżony znowu pobladł i zmienił się — odwrócił się ku oknu, jakby ztamtąd oczekiwał jakiéj pomocy. Komisarz dalej śledztwo prowadził, pytając oficera. —

— Czy ojciec pański żyje? —

— Żyje.

— W takim razie mógłby nam udzielić potrzebnych objaśnień.

— To trudno. Ojciec mój cierpi pomieszanie zmysłów. —

— Może ów skrypt znajduje się w jego papierach.

— Wątpię.

Turkot powozu przerwał dalsze indagacyje. Maurycy z żoną zajechali przed ganek. Maurycy był w ubiorze powstańca, uzbrojony i gotowy do drogi; prześladowania bowiem moskali, szerzące się powstanie, nie pozwalały mu dłużéj siedzieć w domu spokojnie i przypatrywać się bezczynnie walce, w któréj ważyły się losy jego narodu. Szczególniéj jedna chwila wpłynęła na to postanowienie — było to wtedy, gdy widział żonę swoją na balu zelżoną przez kapitana. Strasznie uczuł w téj chwili swoją bezsilność, on mąż — obronić jéj nie mógł. Niewolnik uczuł wtedy dopiero ciężar kajdanów, gdy go zraniły w serce, uczuł się spętanym, więc zapragnął być wolnym. Dziś właśnie odwoził żonę, by ją powierzyć opiece rodziców — a sam chciał udać się do najbliższego oddziału. To téż widok uzbrojonych ludzi stojących na dziedzińcu, ucieszył go. Rozpromieniony i wesoły wszedł do pokoju i nie pomału zdziwił się, ujrzawszy ojca swego stojącego przed trzema ludźmi, którzy z surową powagą patrzyli na niego.

— Co to ma znaczyć ojcze? — spytał z pospiechem.

Syberyjczyk, który chciał biedz na jego przywitanie — osłupiał na te słowa.

— Ojcze? Więc to twój ojciec — więc ty, któryś mi tyle świadczył dobrego, byłeś synem jego? —

Nastała chwila milczenia i oczekiwania. Na twarzy syberyjczyka widać było walkę wewnętrzną, widocznie pasował się z jakąś myślą — wreszcie z wysileniem, które go zapewne wiele kosztować musiało, rzekł:

— Nie chcę sądu. —

— Ale ja chcę — odezwał się oskarżony z bezczelną pewnością, ośmielony brakiem dowodów. — Ja chcę, ja

domagam się sądu. Rzuciłeś potwarz, udowodnij ją — inaczéj ja będę żądał sądu na oszczercę.

Na te słowa sędziowie, którzy już zabierali się do wyjścia, stanęli zdziwieni i pytające zadziwione oczy rzucali to na oskarżonego, to na skarżącego, jakby żądali wytłomaczenia téj zagadki.

Maurycy rozpogodził twarz — śmiałe wystąpienie ojca świadczyło o jego niewinności, to go uszczęśliwiało; — jak z drugiéj strony oszczerstwo wuja wzbudzało w nim wstręt i odrazę.

Wśród téj nieméj sceny, w któréj najsprzeczniejsze uczucia miotały sercem aktorów, wszedł żołnierz z depeszą, wzywającą powstańców co prędzéj do powrotu do oddziału. Depesza nakazywała pospiech — niebawem więc opuścili dwór. Syberyjczyk odchodząc, chciał pożegnać Maurycego — ten cofnął swą rękę ze wstrętem. Syberyjczyk pokiwał smutnie głową i wyszedł.

— Podli — rzekł Maurycy.

— Ten papier powie panu kto podły — rzekł Jan i rzucił mu papier.

— Był to ów dokument, który przypadkiem dostał się do rąk Jana w mieszkaniu Konstancyi.

— Co to za papier? spytał ojciec —

— Rewers z twoim podpisem ojcze — i oddał mu papier, patrząc na niego wzrokiem pełnym wyrzutu i surowéj powagi.

Ojciec zobaczywszy pismo, pobladł.

— Kto był ten człowiek, co ci to dał?

— Człowiek, który powinien mnie nienawidzić. O! pomścił się okropnie, pokonał mnie szlachetnością.

Zakrył twarz rękami ze wstydu i zabierał się do odejścia.

— Gdzie idziesz Maurycy? —

— Ojcze, my teraz nie możemy patrzeć sobie w oczy— bez wstydu. —

Chciał odejść — wtem w bramie ukazali się Moskale — przed nimi szedł ów chłopiec, którego straże widziały wyskakującego oknem. Maurycy cofnął się w głąb pokoju. —

— Ukryj się w pokoju matki tymczasem — rzekł z pospiechem ojciec — tu nie jesteś bezpiecznym.

Maurycy wyszedł. — Za chwilę wszedł kapitan z żołnierzami

— Gdzie są powstańcy, o których nam pan donosisz? — spytał dziedzica.

— Już odjechali.

— To kłamstwo. Na dziedzińcu stoi koń jednego z nich, on tu się ukrywa.

— Proszę mi wierzyć panie kapitanie.

— Ja wierzę tylko własnym oczom — sołdaty za mną. Kapitan rozpoczął śledztwo, przetrząsał pokój po pokoju — aż zbliżył się do sypialni kobiecéj. —

— Kapitanie — rzekł dziedzic drżącym głosem — to sypialnia mojéj żony!

— Najlepsza kryjówka — ustąp pan!

— Kapitanie — powtórzył oburzony — zdaje mi się, że zasługuję na wasze zaufanie, uszanuj pan mój dom. Tam niema nikogo. —

— Zobaczymy.

To mówiąc, odepchnął gospodarza i wszedł do sypialni, w któréj przerażone i drżące kobiety stały obok Maurycego. —

— A to kto? — spytał kapitan drwiąco.

— To mój syn kapitanie. —

— Więc pan własnego syna denuncyjowałeś — nie minie pana chrest za to. — Wiązać więźnia. —

Ojciec Maurycego jęknął rozpacznie, załamał ręce i upadł w krzesło.

VII.

ZAKOŃCZENIE.

Było jeszcze ciemno, kiedy na jednym z podworców Aleksandryjskiéj cytadeli słychać było ruch wielki i wrzawę. Więźniów skazanych w katorżne lub na osiedlenie wyprowadzano z pod numerów, jednych spędzano w kupę i obstawiano strażą — drugich zakowano w łańcuchy po dwóch. Cała ta scena odbywająca się wśród rannego mglistego zmierzchu, oświecona z boku światłem latarni i ogniska kuźni, wyglądała jak straszny ustęp z Dantejskiego piekła.

Przy tém krwawém niejasném oświetleniu widzimy jakiegoś człowieka zbliżającego się do ognia i podającego ręce do okucia z martwą obojętnością, która się rodzi po bezskutecznéj rozpaczy. W ciemnych załomach jego twarzy, w głęboko zapadłych oczach, w zaciśniętych ustach, czytałeś jeden wyraz: bez nadziei. Trup przed śmiercią — automat. Gdy go okuto, stał nieruchomy, wpatrując się szklannemi oczyma w ogień płonący na kuźni i czekał rychło go skują z drugim i odprowadzą na bok. Przyprowadzono drugiego więźnia.

I ten był równie zbiedzony i blady na twarzy — ale nad znękaniem ciała panował spokój — szerokie czoło jego górowało nad boleścią, jak skała nad mętnemi falami i męczeńską pogodą urągało oprawcom, którzy pewnie wściekać się musieli, że kując ręce, ducha okuć nie mogą.

Kiedy więźniów po dokonanéj operacyi odprowadzono na bok, niemiły brzęk kajdanów obudził owego pierwszego więźnia z apatycznéj bezwładności, spojrzał na swego towarzysza.

— Jan — rzekł głosem bezdźwięcznym, jak ten, co przez sen gada.

— Maurycy! —

Obaj wymówili swoje imiona bez uniesienia, bez namiętności — męki jakie przeszli wśród wiru politycznych wypadków, osłabiły ich osobistą nienawiść — cierpienia i łańcuch złączyły rywali. Maurycy wyciągnał rękę do Jana i rzekł osłabionym głosem:

— Przebacz mi.

— Przebaczyłem dawno już.

— Tyś szlachetny. —

— A ty nieszczęśliwy. —

Nie długo potém pognano skazańców ku Wiśle, wpakowano na łódź, która ich miała przewieść na drugą stronę, do stacyi kolei Peterburgskiéj. —

— Ty w katorżne? — spytał Maurycy.

— Tak. —

— I ja. A na długo?

— Na całe życie.

— Ja tylko na dwudziestu lat; ale to wszystko jedno — życie moje nie warto już dwódziestu lat. — Gdzie syberyjczyk?

— Kilka dni temu skonał na moich rękach powróciwszy z komisyi śledczéj, gdzie go bito.

W téj chwili na drugim końcu łodzi powstała jakaś wrzawa, łódź wstrąsnęła się nieco, potém dał się słyszeć plusk wody, a za nim strzały. Więźniowie spojrzeli w tę stronę i zobaczyli jakiegoś człowieka, który z łodzi rzucił się w wodę. — Strzały musiały być celne, bo w wirze, który się zakręcił nad żnurzonym, woda się zafarbowała czerwono.

— Kto to był? — pytał jeden drugiego na łodzi.

— Jakiś kowal, Marcin z pod Nru 10.

— Marcin — rzekł smutnie Jan. —

— Znałeś go? —

— Mąż mojéj siostry.

— Szczęśliwy — umarł na swojéj ziemi, fale rodzinnéj ziemi będą mogiłą — nie każdemu z nas przypadnie takie szczęście w udziale. Umierać tak daleko od swoich, tam w kopalniach wśród śniegów, bez wieści — ta myśl zabija mnie przed śmiercią.

— Odwagi Maurycy. Wytrącono nam oręż z ręki, nie mniéj przeto walka trwa — i tam trzeba nam zwyciężać wrogów.

— Czém?

— Wiarą w zwycięztwo naszéj sprawy. Oby naród wśród rozpacznych wysiłków powstania nie stracił téj broni, bo bez niéj zwątpienie i podłość.

Maurycy słuchał i patrzał na zębate gmachy Warszawy, rozromienione brzaskiem jutrzenki — i on i wielu innych tęskne spojrzenia wytężone mieli w tę stronę — myśli ich płakały i żegnały ojczyste miasto. I miasto budząc się wśród białéj mgły porannéj, odzywało się jękiem dzwonów niby modlitwą za utracone dzieci. Ale łódź szła daléj jak niezbłagane przeznaczenie, dobiła już do brzegu i więźniów pognano ku stacyi kolei. —

Jakkolwiek wywożenie więźniów z cytadeli osłonione było zawsze tajemnicą, to jednak niezmordowana czujność osób interesowanych umiała przedrzeć się w głąb

tajemnic cytadeli i z twarzy sędziów, z ich półsłówek domyśleć się umiała kiedy wywozić będą nieszczęśliwych. Każdy więc transport zastawał na stacyi kolei gromadkę najbliższych krewnych, oczekujących na nich by choć spojrzeniem, ruchem ręki pożegnać ich.

I dzisiaj taka gromadką skupiła się pod ścianą, oczekując więźniów, złożona przeważnie z kobiet. Gromadka ta przypominała orszak Weroniki, który wyszedł płakać nad męczeństwem Chrystusa i otrzeć twarz jego, zlaną krwią i potem. — Za zbliżeniem się więźniów, poruszyła się ta gromadka, każda kobieta cisnęła się naprzód, nie zważając na kolby i złorzeczenia żołdaków, byle tylko zobaczyć ostatni raz drogie osoby, i rzucić im na długą drogę wygnania słowo pociechy i pożegnania.

Kiedy Maurycy z Janem mijali tę gromadkę, ujrzeli w tłumie niewiast bladą twarz Anny — była na pół omdlała — wysileniem tylko trzymała się na nogach, by nie stracić ostatniego spojrzenia męża. Gdy go zobaczyła, wyciągnęła ku niemu ręce i głosem, który ledwo dobyła ze ściśniętéj piersi, wyjęknęła:

— Maurycy!

W tém jednem słowie streściła całą duszę, całą radość, że go widzi; boleść, że go widzieć nie będzie; i rozpacz, że go nigdy może nie zobaczy.

Maurycy spojrzał na nią miłosiernie, wszystkie muszkuły jego twarzy drgały wzruszeniem — rękę obciążoną kajdanami podniósł do góry, by jéj rzucić ostatnie pożegnanie. Ale czarna powódź więźniów i żołnierzy wnet zabrała go ze sobą — nie widział już żony, słyszał tylko jéj płacz za sobą. Wzruszona przez chwilę twarz jego, znowu zapadła w apatyczne odrętwienie, ponury smutek ją zaciemnił. Spuścił głowę na piersi i wszedł w milczeniu do wagonu. Świst odjeżdżającego pociągu poruszył go — spojrzał w koło siebie, jakby

sobie chciał przypomnieć, co się z nim dzieje — spojrzał na Jana i biorąc go za rękę rzekł:

— Widziałeś ją? Została tam bez opieki, bez przyjaciela — a ja ślubowałem jéj opiekę i miłość.

Ani żona, ani wdowa.

Wyrwałem ją z zacisznego spokoju rodzicielskiego domu, by ją zostawić bez domu, igrzyskiem losu, i nic jéj dać nie mogłem, za przywiązanie do mnie, prócz mnogich cierpień. O okropny jest los żon niewolników!

Potem zapadł znów Maurycy w ponure milczenie, z którego wyrwać go nie mogły nawet łagodne pociechy Jana.

W rok potem Anna, któréj życie żałobne płynęło wśród modlitw i zajęć domowych, dostała przez jednego z więźniów wracających ze Sybiru list od męża pisany ukradkiem. List był w tych słowach: —

„Żyję, jeżeli to życiem zwać można — walę młotem skały w nerczyńskich kopalniach i płaczę za tobą i za krajem. Los twój i tęsknota moja gniotą mnie do ziemi. Dawno zgniotłyby mnie te dwa brzemiona, gdyby nie dobry duch mój, pocieszyciel mój, który słowem i przykładem uczy mnie cierpieć i mieć nadzieję. Znasz go — to Jan. —

Módl się za niego i za mnie i pamiętaj o nas — twój *Maurycy*.

II.

Odpuść nam, jako i my odpuszczamy.

I.

W jednym z pierwszych dni stycznia roku 1863, kiedy już się nieco zmierzchać zaczynało, wyszedł z ulicy Gołębiéj jakiś wywiędły staruszek w ciemnozielonym surducie, w czapce wciśniętéj mocno na uszy — skręcił w ulicę Mostową ku Rybakom i utykając po nierównym bruku, rozglądał się po starych i obdartych kamieniczkach. Kamieniczki te dziwnych kształtów i kolorów stoją, z powodu nagłéj spadzistości ulicy ku Wiśle tak obok siebie, że jedna zdaje się włazić na dach drugiéj. Przed jednym takim domkiem zatrzymał się staruszek. Domek był niewielki, brudno-różowego koloru z zielono przemalowaną furtką, do któréj wchodziło się po trzech schódkach kamiennych dobrze już wydeptanych i rozpękniętych. Domek miał jedno piąterko o trzech oknach i poddasze. Na dole obok furtki czerniły się dwa okna gęsto okratowane i zarosłe powojem, między oknami przylepiono kartkę, na któréj koszlawo i nieczytelnie było wypisane: „Stancja na górce każdego czasu do wynajęcia“. — Staruszek wspiął się na palcach, prze-

czytał kartkę, przypatrzył się pilnie powierzchowności domu, zdawał się przez chwilę wachać i namyślać, wreszcie zastukał. Stróżka, którą zapytał o mieszkanie, poprowadziła go po ciemnych i ruszających się schódkach na górkę, rodzaj stryszku, i otworzyła drzwi do izdebki, z której szedł niemiły zapach brudu. Staruszek obejrzał izdebkę, dał zadatek i tego samego wieczora wprowadził się tam, wnosząc z sobą niewielki tłumoczek i stary parasol. — W izdebce nie zastał także wiele gratów: stolik drewniany, zabrudzony stołek z wyłupaną deską środkową i zielony kuferek bez wieka, na spodzie którego leżał zakurzony kawałek papieru zapisanego i oderwany daszek od czapki, zapewne pozostałości po poprzednim lokatorze. Staruszek jednak nie przypatrywał się wcale swemu nowemu mieszkaniu: dobył z tłumoczka świecę, przylepił ją na brzegu stolika, tłumoczek wrzucił do kuferka — potém zamknął izdebkę na klucz, usiadł na stołku, spuścił głowę na dół i siedział tak nieruchomy, zamyślony. Głowę miał ogoloną, twarz jego była żółta jak ciemny wosk i wynędzniała, wychudła tak, że szczęki znać było przez skórę — a w koło oczów, na skroni, pod kościami policzkowemi potworzyły się duże, ciemne zapadłości. Widocznie staruszek nie dawno jakąś ciężką przebył chorobę. Usta jego wązkie i zaciśnięte zsiniały od zimna, bo stancyjka była nieopalona, a na brudnych szybach okienka mróz rysował kryształowe kwiaty. Staruszek jednak zdawał się nie czuć, nie słyszeć, jak siadł tak siedział nieruchomy, sztywny, podobny do zasuszonéj mumii. O czémś bardzo przykrém musiał się tak zamyśleć, bo usta jego skrzywiły się, jakby po zażyciu gorzkiego lekarstwa. Ten pospiech z jakim się wprowadził, pozwalał się domyślać, że staruszkowi pilno było uciec przed ludźmi w ustronny kącik, że od świata

niczego już nie chciał, tylko zapomnienia. — I rzeczywiście nikt się u niego nie pokazał, nikt o niego nie pytał. Całe dnie prawie przesiedział u siebie zamknięty, czytając jakieś stare księgi, lub robiąc z nich wypiski; wychodził rzadko i to zwykle w miejsca odludne, nad Wisłą. Do kościoła nie chodził nigdy, co bardzo gorszyło mieszkańców małego domku i odstręczało od niego, równie jak jego twarz zawsze ponura i surowa i siwe oczy unikające wiecznie wzroku ludzkiego. A jednak nieraz wieczorem można go było widzieć w izdebce modlącego się na klęczkach; tylko gdy w modlitwie dochodził do słów: „i odpuść nam jako i my odpuszczamy", urywał modlitwę, marszczył ponuro twarz i prędko wstawał z ziemi. — Mieszkańców kamieniczki rozciekawiło życie tego tajemniczego, milczącego staruszka. Jednego razu żona stolarza, mieszkającego na tém samém poddaszu naprzeciwko, nie słysząc przez parę dni najmniejszego ruchu w jego mieszkaniu, w obawie czy nie zachorował, zastukała do niego. Otworzył drzwi i szorstko, niecierpliwie spytał, czego chce. A gdy zlękniona kobiecina poczęła się tłómaczyć, iż myślała, że może czego potrzebuje — odrzekł:

— Moja acani, ja nie cierpię ciekawych — i zatrzasnął drzwi przed nią.

Stolarka uważała, że był bledszy i mizerniejszy i oczy miał czerwone.

Odtąd nikt nie poważył się zaglądać, ani przemówić do niego — omijano go w milczeniu i nazwano mrukiem.

Jednéj nocy wpadli żołnierze do mieszkania stolarza, wpół ubranego wywlekli z łóżka i porwali do cytadeli na rekruta. Żona zrobiła krzyk straszny, który wszystkich zbudził; powychodzili z izb mieszkańcy i lamentowali nad biedną stolarką i płaczącém dzieckiem,

litowali się i pocieszali. — Tylko drzwi staruszka nie otwarły się wcale.

Po paru dniach skutkiem starań i próśb żony, wypuszczono stolarza, którego tylko przez pomyłkę wzięto — i w domku przy ulicy Mostowéj znowu było cicho i spokojnie jak dawniéj. Staruszek rad był z tego. bo nie lubiał krzyków i hałasu, szczególniéj po nocy. To téż zdziwiło go nie mało, gdy jednego wieczora znowu ktoś zapukał do jego drzwi. — Nie chciał otworzyć, ale gdy pukanie się powtórzyło, zniecierpliwiony odemknął.

Wszedł stolarz. — Staruszek chciał go już wypchnąć za drzwi, ale nie śmiał czegoś; ten człowiek prosty miał w téj chwili w twarzy coś tak niezwykłego, uroczystego, że staruszek cofnął się, jak przed sakramentem.

— Czego acan chcesz odemnie? — spytał po chwili.

— Panie, my dziś w nocy wychodzimy z Warszawy w Kampinowskie puszcze bić się za ojczyznę. Moja żona zostanie tu sama z dzieckiem — może nie wrócę — opiekuj się pan niemi, by nie skapały marnie — mówił stolarz mnąc czapkę w rękach.

Staruszek odwrócił się ku świecy, niby coś dłubał, poprawił koło niéj, a ręce mu drżały trochę, widocznie był pod wrażeniem jakiegoś wzruszenia.

— A mnie co do acana żony i dziecka — odezwał się po chwili opryskliwie. — Chcesz żeby nie skapały marnie — to siedź i pracuj.

— Ja przysięgałem panie, że pójdę.

— I zginiesz.

— To darmo. Ale memu dziecku będzie lepiéj, jak mnie, jak nam teraz.

Staruszek nic nie odpowiedział — stolarz wyszedł dotknięty chłodem i zatwardziałością jego.

Staruszek zamknął drzwi i trzymając rękę na klamce, spuścił głowę i zamyślił się nad czemś. Słowa tego prostego człowieka zastanowiły go i wzruszyły. Trwało to jednak tylko chwilę; potém puścił klamkę, zasunął drzwi i wrócił do stolika czytać daléj.

Koło północy drzwi cicho się otwarły naprzeciwko, słychać było stłumione łkanie żony stolarza, ostrożne stąpanie po skrzypiących schódkach, otwieranie furtki. Potém w mieszkaniu stolarza stał się łoskot głośny, jakby ciała upadającego na podłogę z przeciągłym jękiem — poczém wszystko ucichło.

Staruszek ruszył się, jakby chciał wstać i iść — ale nie podniósł się, wypłowiałe oczy jego zatrzymały się na migotliwym płomieniu świecy — może dumał, może nasłuchiwał, ale nie poszedł tam. — Czemu? — Co zrobiło tego kościstego staruszka tak zatwardziałym, nieczułym? Nie długa to, ale smutna historja tego zamrożenia serca.

Są ludzie, którym całe życie przechodzi bez uśmiechu, u których nieszczęście rozsiadło się jak kurz i pajęczyna w opustoszałym domu i trzyma ich twarze wiecznie w ciemnym kolorycie smutku. Choroby, zmartwienia, zawody kładą się im na drodze, czepiają się ich nóg, plączą ich, kolą, ranią i męczą, aż zeszpecą serca. Czy to konieczne zadosyćuczynienie za jakieś stare grzechy, czy poprostu fatalny zbieg przypadków — nie wiem. Niech każdy sobie odpowie na to, a ja tymczasem odsłonię wam przeszłość staruszka.

II.

W okolicach miasteczka Rawy w smutnéj równinie leży wioska w koło lasami otoczona. Grunt piasczysty i nieurodzajny pełen jest drobnych kamieni, które rolnicy przy orce lub włóczce odrzucają na bok — na miedzę, z czego potworzyły się kopce, wyglądające z daleka jak kurchany. To nadaje okolicy i tak już niemiłéj i zacienionéj lasami, charakter ponury, cmentarny.

Na tych kamienistych kurchanach widywano nieraz dwoje dzieci bawiących się; ale nikt nie słyszał nigdy ani ich wesołych krzyków, ani rozmów, porozumiewały się tylko na migi, bo jedno z nich małe, pokrzywione i garbate, było zarazem głuchonieme. Były to dzieci właściciela téj wioski. Na młodszego wołano: „Kaziu", na starszego garbuska nie wołano wcale i został bezimiennym.

Czasami z sąsiedniéj wioski przyjeżdżał do nich na kucyku synek sąsiada Julek, wesoły i żywy chłopiec. Kazio witał go zawsze z radością i zapominał wtedy

o garbusku, który posmutniały zostawał na boku. Ale nie długo potém Julka rodzice sprzedali wieś i przenieśli się do Warszawy i garbusek znowu bawił się z bratem, służąc mu i nadskakując jak najwierniejszy pies.

Obu chłopców dotknęła ciężka strata. Jednego razu matka zabrała ich z sobą jadąc do miasteczka za sprawunkami. Już mieli wracać do domu, kiedy matka przypomniała sobie, że nie wstąpiła na pocztę. Kazała więc woźnicy zejść po listy, a sama przytrzymała jedną ręką lejce, a drugą głaskała Kazia, który był jéj ulubieńcem. Garbusek siedział naprzeciw i patrzał na matkę oczami, w których łzy się szkliły. Kaziowi było trochę zimno, matka chciała go otulić, wtedy wysunęły się jéj lejce z rąk i upadły między konie na dyszel. Konie poczęły się niepokoić — matka przechyliła się naprzód, by dostać lejce, straciła równowagę i spadła. Przelęknione konie zerwały się, szarpnęły bryczką i uniosły ją. Kazio słyszał jęk matki pod kołami, garbusek nie słyszał, ale czuł, jak bryczka utknęła o jakąś zawadę i podniosła się. Szalony pęd koni, gwałtowne podskoki bryczki oszołomiły dzieci; one uczepiły się wzajem konwulsyjnie, by nie wypaść. Tak zajechali w pędzie przed ganek. Przytrzymano konie; — na bryczce leżał Kazio omdlały z przelęknienia, a garbusek rękami coś pokazywał, ale go nikt nie zrozumiał. W nocy nadciągnął z miasteczka wóz z ciałem i ten wszystko powiedział.

Od owéj katastrofy, która głęboko wpisała się w pamięci dziecka, we dworze było posępnie, niemiło. Ojciec zapadł w stan ponuréj apatyi, rodzaj melancholii, gospodarstwo szło zaniedbanie, dwór niszczał, ogród zdziczał i zarósł zielskami. W takiéj pustce ementarnéj chował się młody Kazimierz bez pieszczót, bez uśmiechu, smętny, poważny nad wiek. Ksiądz wikary uczył go

nieco histori i łaciny, a wtedy garbusek siadywał zwykłe w kącie i patrzał dziwiąc się czemu tak ciągle brat ustami ruszał i niecierpliwił się, że nie ma się z kim bawić. To ślepe przywiązanie idioty nie tylko nie sprawiało przyjemności Kaziowi, ale nawet było mu ciężarem i unikał garbuska, często wyjeżdżając z domu. Gdyby się zapytano Kazimierza o powód tego wstrętu, nie umiałby może odpowiedzieć, a jednak była ona uzasadnioną. Pokrzywiony głuchoniemy był dla niego żywém upostaciowaniem nieszczęść, jakie się czepiły ich domu, przez te potworne kształty los zdawał się szyderczo uśmiechać i urągać. Unikał tego widoku, który zawsze niemiłe myśli w nim budził. Ten wstręt z latami zwiększał się, a bardziéj jeszcze po śmierci ojca. Kazimierzowi było wtedy nieznośnie siedzieć dłuższy czas z garbuskiem, jego giesta drażniły go i niecierpliwiły, chciał sobie i téj przykrości oszczędzić. Jednego dnia zdziwił się głuchoniemy, ujrzawszy tylko jedno nakrycie na stole. Wytłómaczył sobie, że to dla brata, że o nim zapomniano, i usiadł opodal czekając, zamiast brata, którego się spodziewał, wszedł lokaj z wazą, nalał i kazał mu jeść. Garbusek niemogąc się dopytać co się z bratem stało, zaniepokojony o niego, pobiegł do jego pokoju. Otworzył drzwi i zobaczył brata siedzącego przy obiedzie. Musiał się domyśleć, co było powodem tego odosobnienia, bo odszedł smutny. Nie wrócił już tam, gdzie dla niego nakryto, ale poszedł do ogrodu i usiadł nad stawem w altanie. Czarny pies domowy przywlókł się za nim, położył się u nóg jego i usnął. Nie długo grzbiet psa był cały mokry od łez, które garbuskowi kapały gęsto z oczów.

Odtąd nie chodził już tak uprzykrzenie za bratem, nie narzucał mu się, owszem gdy go widział chodzącego po ogrodzie, krył się przed nim w zarośla nad

rzeką lub w inną uciekał stronę. A jednak nocą można go było widzieć nieraz skradającego się pod okna brata i zaglądającego do oświeconego pokoju oczami pełnemi miłości i przywiązania. — Raz patrząc tak, dostrzegł, że Kazimierz pakuje się do drogi. Na drugi dzień widział go przez sztachety ogrodu wyjeżdżającego z domu. — Jakieś majątkowe interesa spowodowały ten wyjazd jego w Krakowskie. — Po kilku tygodniach wrócił.

Głuchoniemy brat jego uważał, że wrócił jakoś ożywiony i weselszy; kazał przebudować dwór, urządzać ogród, sam zajmował się bardzo gospodarstwem. Po kilku miesiącach wyjechał znowu i to na dłuższy czas, — garbusek począł się już obawiać o niego, przypuszczał, że mu się coś złego stało, chciał się pytać służących, ale nie umiał. Biedny garbusek, był jak nieme zwierzę, tylko po jego mizernéj twarzy można było poznać, że cierpi, nie wiedząc, co się dzieje z bratem.

Jednego wieczora siedział długo przed bramą wartując jak pies, ręce założył na kolana, oczy obrócił na księżyc i płakał. Kiedy potém spojrzał na drogę, zobaczył, że coś czarnego posuwało się szybko ku niemu, gdy się zbliżyło bardziéj, poznał, że to był powóz, zerwał się i leciał naprzeciw. Zdyszany, zmęczony dopadł powozu, chwycił się drzwiczek i wsunął tam głowę. Nagle cofnął się i odskoczył. W powozie nie sam był brat, obok niego siedziała jakaś kobieta biało ubrana. Powóz właśnie zatrzymał się przed gankiem, służący wyszli ze światłem, głuchoniemy więc ukryty w cieniu za filarem, mógł się jéj dobrze przypatrzyć. Wśród tiulów i gazy przezroczystéj zobaczył twarz lekko różowawą z umęczenia, a taką piękną, jakiéj w życiu jeszcze nie widział, oczy miała ciemne, duże, błyszczące, włosy w gęstych puklach wiły się koło białego czoła.

Niemowa przestraszył się pięknością téj kobiety i uciekł w ogród.

Na drugi dzień spotkał ją razem z bratem spacerujących nad stawem, chciał znowu uciekać, ale oczy téj cudnéj kobiety zaczarowały go na miejscu, że ruszyć się nie mógł. Nowożeńcy zbliżyli się. Kazimierz pokazał żonie ręką brata, coś mówił jéj o nim. Spojrzała się na niego przechodząc, ale wnet odwróciła twarz z odrazą i poszła daléj. Garbusek stał długo jeszcze jak wryty po jéj odejściu, z oczami głupkowato wytrzeszczonemi — aż gdy znikła w alei, odetchnął jak człowiek, co z ciężkiego snu się przebudzi.

Ta chwila miodowych dni była jedyną jasną chwilą w życiu Kazimierza — a była to wiosna. Ziemia pełna kwiatów, woni, słońca i latających motyli — i jego dusza była taką. Czarne oczy kobiety trzymały ją w ciągłym zachwycie, upojeniu. Zapomniał o ponurych świerkach, co zaciemniały grobowiec rodziców, pochmurane dni dziecinnych lat wydawały mu się jak sen ciężki, bolesny, po którym przebudził się w różowym poranku i odetchnął powietrzem różowém, balsamiczném.

I żona jego również zdawała się być szczęśliwą, uśmiechniętą; tylko widok niemego nieprzyjemne robił na niéj wrażenie, drażnił ją i przestraszał. Kazimierz obiecał jéj, że go oddali, szukał tylko sposobu jak i gdzie, bo nie mógł go wypędzić jak psa za wrota, sumienie upominało się za bratem, gdy serce już zapomniało o nim.

Tak stały rzeczy, gdy jednego dnia wszedł na podworzec przed ganek dworu jakiś człowiek obdarty i zakurzony. Był jeszcze młody, kształtny i przystojny, ale urodę skalało zepsucie i wyraz jakiegoś obrzydliwego cynizmu. Ubiór i twarz tego człowieka nosiły na

sobie ślady lepszéj przeszłośc — oboje wytarły się życiem. Stanął przed gankiem i prosił o wsparcie.

Kazimierz wyszedł ku niemu — obadwaj przypatrywali się sobie długo, uważnie, z zadziwieniem — w końcu gospodarz wyrzekł nieśmiało, z wachaniem:

— Julian.

— Ja — odrzekł przybyły patrząc mu w oczy bezczelnie, bez zarumienienia i wstydu.

Był to Julek, ów, który na kucyku jeździł niegdyś bawiąc się z Kaziem.

— Co się z tobą stało? —

— Straciłem majątek — jestem dziadem, póki nie będę panem.

Kazimierzowi ścisnęło się serce — wziął go za rękę i rzekł:

— Chodź ze mną.

Ugościł go, oporządził, trzymał przez kilka dni u siebie, potém powiedział:

— Zostań u mnie, bądź mi przyjacielem.

III.

Każda radość musi zmęczyć i przesycić — nawet miłość znuży serce, gdy ją posiadamy bez przeszkód, bez trudu. Człowiek potrzebuje walki, jednostajność jest mu męką. Gdyby na świecie zapanował spokój i szczęście, gdyby niebo było bez chmur i bez nocy, życie bez burz i strapień, człowiekby umarł z nudów.

Małżonkowie nie mieli obawy takiej śmierci. Przybycie trzeciego człowieka zaniepokoiło trochę ich ciche szczęście — teraz już nie każda chwila należała do nich, nie zawsze mogli być sam na sam, pieścić się. Te małe przeszkody były pikującą zaprawą — Juljan przydał się jak pieprz w rosole. Człowiek towarzyski i oczytany bawił ich rozmową i opowiadaniem — młoda pani słuchała go z zajęciem. Wyglądał już całkiem inaczéj jak wtedy, gdy przybył; trochę wygód, kilkanaście łokci sukna przemieniły włóczęgę w Warszawskiego salonowca; w ruchach miał swobodę i ujmującą elegancję. W domu było z nim bardzo przyjemnie i wesoło, tak dalece, że kiedy raz wyjechał gdzieś na dni

parę, widocznie czuć się dawał brak jego — młoda pani nudziła się trochę. Wrócił trochę zamyślony — powodem tego zasępienia było, że się zgrał gdzieś w karty — ona tłomaczyła to sobie zakochaniem i poczęła go tém prześladować nie bez kokieteryi. Szczęśliwy mąż pomagał jéj w tém, to żartując z Juljana — to na serjo namawiając go, by się żenił.

— Małżeństwo to pełność szczęścia — rzekł, całując w rękę swoją żonę.

W chwili, kiedy schylał głowę, Juljan wpatrywał się w jego żonę jakimś dziwnym, badawczym wzrokiem — przypadkowo i ona spojrzała na niego i zapłonęła cała. Ciekawe było porozumienie tych oczów. Gdy mąż podniósł głowę, już nie patrzała na Juljana, mężowi dała uśmiech i spojrzenie na podziękowanie.

To zapłonienie było jéj pierwszém wyznaniem. Melancholiczny i czuły Kazimierz wydawał jéj się nudnym obok Juljana. Dowiedzione jest, że kobiety lubią awanturników.

Odtąd jéj wzrok i Juljana częściéj się ze sobą spotykały — usta ich nie powiedziały sobie jeszcze nic, oczy zdradzały już tajemnicę.

Młodą panią często teraz widywano chodzącą koło kwiatów i pielęgnującą je starannie — szczególniéj te kwiaty, co rosły pod oknem Juljana.

On znowu z książką siadywał najczęściéj w altanie, stojącéj naprzeciw jéj mieszkania.

Czasami spotykali się w ogrodzie — rozmawiali ze sobą nie wiele, ale słowa ich były treściwe i zagadkowe — wiała od nich namiętność i gorąco. Kilka takich słów wystarczało na długie marzenia i domysły. I tak raz spotkali się koło stawu.

— Panu tu u nas pewnie nudno być musi? — zagadnęła młoda pani.

— Pani nie wierzysz w to, co mówisz.

Spuściła oczy.

— A jednak uciekać ztąd trzeba.

— Pan odjeżdżasz? — spytała pospiesznie z przestrachem.

— Czy chcesz pani, abym tu czekał, aż się do reszty strawię, spalę.

Nastało długie milczenie — po chwili odezwała się cichym szeptem:

— Zostań pan, proszę.

Twarze ich płonęły ogniem, krew lawą tętniła w pulsach — zbliżyli się do siebie — on ją wziął za rękę i rzekł namiętnie stłumionym głosem:

— Twoja prośba niebo mi otwiera.

Coś zaszeleściało w krzakach, wzdrygnęli się i obejrzeli. Za niemi stał niemy garbusek i dziwnie im się przypatrywał.

Tego wieczoru jeszcze młoda pani prosiła swego męża przy herbacie, by garbuska wydalił z domu, bo go znosić nie może, wymawiała mu, że jéj nie kocha już, kiedy o taką bagatelę tyle czasy każe się prosić. Kazimierz pocałował ją w czoło i obiecał natychmiast uczynić jéj zadość — umyślił wysłać brata do jednego ze swych znajomych mieszkającego w Warszawie i płacić od niego. Poczta o 11stéj w nocy przejeżdżała przez miasteczko, potrzeba więc było natychmiast wyprawić posłańca z listem, by doszedł tego tygodnia do Warszawy. Nie chciał ani chwili zwlekać — szło mu o żonę. Zostawił więc ją z Juljanem przy herbacie — a sam poszedł do swego pokoju pisać list.

Jeszcze nie zabrał się do pisania, kiedy do pokoju wsunął się ostrożnie garbusek, wziął go za rękę i dał mu ręką znak, by szedł za nim. Kazimierz lubo niechętnie, poszedł jednak, domyślając się, że się coś stać

musiało. Niemowa wprowadził go w ogród, między kłąby kwiatów — pod okna sali jadalnéj i pokazał mu ręką, gdzie się ma patrzyć. Okna były zasłonięte storami, ale na storach wyraźnie widać było cienie dwóch głów, zbliżające się do siebie tak, że się zlewały w jedno — to znowu oddalały od siebie.

Kazimierza coś załupało w skroniach, uczuł żar pod czaszką, nogi pod nim osłabły — przerażenie zrobiło go bezsilnym. Po chwili opamiętał się, zebrał siły, wrócił do pokoju swego i ztamtąd cicho podsunął się pod drzwi sali. Słyszał szepty i pocałunek — otworzył drzwi — kochankowie splątani uściskiem, odskoczyli od siebie. Kazimierz wszedł do pokoju — zbliżył się do stołu i wziął cygarniczkę, nie spojrzał nawet na nich i wyszedł. Tylko był bardzo blady i zmieniony, a ręce jego drżały.

Po jego odejściu Juljan pomięszany wstał i pożegnał panią domu. Nie śmieli mówić o tém co zaszło, ale oboje mieli w duszy choć słabą nadzieję, że Kazimierz nie uważał ich zmięszania. Juljan wrócił do swego pokoju, już miał się rozbierać, gdy wszedł Kazimierz — był pozornie spokojny, tylko oczy zapadłe świeciły się dziwnym, przerażającym blaskiem. Stanął we drzwiach i rzekł głosem ostrym:

— Proszę ze sobą.

Juljan zmięszał się, wstał i szedł za nim posłuszny. Minęli ogród, dworskie zabudowania, topolową aleję i skręcili się na prawo. Gdy wyszli na pole oświecone blaskiem księżyca widno było, że coś małego czarnego, posuwało się w pewnéj odległości za nimi, coś jak duży pieś, lub niedorosły chłopiec.

Zbliżyli się ku laskowi, który stał w znacznéj odległości od dworu.

Po co mnie tu prowadzisz? spytał Juljan, którego milczenie Kazimierza zaczęło przejmować trwogą.

Kazimierz stanął, dobył coś z pod surduta błyszczącego i dał Juljanowi.

— Masz, stawaj — rzekł krótko, sucho.

Juljan wziął pistolet.

— Ty strzelasz pierwszy — rzekł wyzywający bezdźwięcznym głosem.

— Ależ taki pojedynek bez świadków to bezprawie.

— Milcz łotrze, ty co gwałcisz prawa, nie żądaj prawa — strzelaj — rzekł dziko.

Gdy błysk wystrzału rozjaśnił ciemność, coś czarnego zasłoniło Kazimierza i równocześnie dał się słyszeć jęk jakiś dziwny, jakby nie człowieczy — Kazimierz nieprzytomny spojrzał i ujrzał garbuska ze skrwawioną piersią, upadającego na jego ręce.

IV.

I znowu było ponuro we dworze — cmentarna cisza rozsiadła się po komnatach i zmieniła mieszkanie w pustkowie. Małżonkowie żyjąc pod jednym dachem przez kilka miesięcy nie widzieli się z sobą — pokoje, które ich przedzielały, tylko służba odwiedzała, robiąc w nich porządek, szepcząc sobie różne rzeczy o dziwném pożyciu państwa. Kazimierz trawił się i gryzł, cierpienia okropne szarpały serce samotnika, wyglądał jak widmo, wynędzniały i ponury. Nieszczęście zgniotłszy go, zostawiło na nim ślady, jak na zmiętym papierze, który ręka konwulsyjnym ruchem z bolu zaciska, a serce zcierpnęło, skurczyło się jak robak skaleczony. A jednak, gdyby była przyszła i rzuciła mu się do nóg, czuł, że nie mógłby jéj odepchnąć, że przebaczyłby jéj wszystko. Ale mijały miesiące — nie przyszła.

Dowiedział się jednego dnia, że była chora, poczynały się cierpienia porodowe — posłano po doktora. Kazimierz nie spał całą tę noc, czuwał w swoim pokoju. Ile razy doszedł jego uszów jęk głośniejszy, ru-

szał się niespokojny na krześle, kilka razy wstawał, chciał już iść ku drzwiom, które prowadziły do niéj — ale się wrócił i został.

Nad ranem doniesiono mu, że ma syna — zastygłe serce zabiło w nim od radości, ojcowskie uczucie kazało mu zapomnieć na wszystko, zerwał się i pobiegł do mieszkania żony uściskać syna.

Ta chwila zbliżyła go znowu do niéj, nie mógł nie przebaczyć matce swojego dziecięcia. Ona przyjęła to jego postąpienie dość spokojnie i obojętnie, ani przepraszała, ani się usprawiedliwiała; była słodką, ujmującą w obejściu się z nim, ale jakiś chłód, jakaś nieszczerość wiała od niéj. Miłość nie wróciła już — ale wróciło zgodne pożycie. Kazimierza może dotknął trochę ten brak skruchy w grzesznicy, ale tłomaczył sobie to jak mógł i uspokajał się.

Niepodobało mu się tylko, że jego żona teraz częściéj wyjeżdżała w sąsiedztwa, przyjmowała u siebie, bawiła się. Tego szału do zabawy nie mógł pogodzić ze stanem matki. Karnawał zbliżał się do końca — w sąsiedztwie o milę był zapowiedziany bal świetny, ona miała być także. Zdarzyło się jednak, że w tym czasie zachorowało dziecko tak mocno, iż była obawa o jego życie. Kazimierz był pewnym, że nie odjedzie w takim stanie dziecka. Wybierał się właśnie do jéj pokoju, chciał wspólnie z nią przesiedzieć tę noc przy kołysce, gdy nagle usłyszał na podworcu turkot powozu zajeżdżającego przed ganek. Nie chciał własnym uszom wierzyć, zbliżył się do okna i zasłaniając się ręką od światła lampy, które mu patrzeć przeszkadzało, usiłował rozeznać w ciemności, czy kto wsiędzie do powozu. Wyszła na ganek ubrana w atłasy, wsiadła do powozu, za nią wniesiono jakieś tłomoczki i pojechała. Pojechała, nie pożegnawszy się z nim, zostawiw-

szy chore dziecko, któremu była matką. Kazimierz nie mógł zrozumieć tego, z przerażeniem pomyślał o tém, że taki potwór serca jest jego żoną i matką jego dziecka.

Odszedł od okna, wziął lampę i poszedł ku kołysce. Gdy wchodził do tego pokoju zdziwił go nieład, jaki tam zastał, pootwierane szuflady i szafy, rozrzucone rzeczy — w tém wszystkiém znać było pośpiech gorączkowy, niespokojny.

Przy kołysce siedziała mała dziewczyna, córka lokaja. Kazimierz spytał się jéj, dlaczego taki nieład w pokoju.

— Pani się pakowała do drogi — odrzekła dziewczyna.

— Do drogi?

Słowa te zmięszały go, niespodziewał się takiéj odpowiedzi, nierozumiał, co znaczy ten nagły wyjazd, domyslał się tylko czegoś złego. Chodził po pokoju upatrując, czy wśród porozrzucanych rupieci nie zobaczy jakiéj kartki od żony, któraby go oświeciła nieco. W jednéj szufladzie komody zobaczył w kącie jakąś paczkę listów, wyjął ją i rozwinął — pismo było męzkie, listy miały datę ostatnich miesięcy, były bez podpisu. Ostatni, który na wierzchu leżał był z dnia 20. lutego, a więc pięć dni temu datowany był z Warszawy. Kazimierz go rozwinął i czytał:

„Najdroższa!

„Niecierpliwie liczę czas, który mnie od Ciebie oddziela. Będę na balu u F., konie czekać będą w Rawie, wszystko tu przygotowałem dla mego Anioła. Długich pięć dni oddziela mnie od mego szczęścia, skracam je i osładzam myślą, że będziesz moją na zawsze“.

Pod temi kilkoma wierszami była litera J.

Kazimierz czytał — w głowie mu się mąciło okropnie, machinalnie kilka razy odczytywał list, litery poczęły mu majaczyć w oczach, ruszać się, wyciągać w potworne kształty i wykrzywiać obrzydliwie. Złożył list dygotającemi rękami, zamknął szufladę, otarł zimny pot, co mu rosił czoło i przeszedł się po pokoju. Potém kazał odejść dziewczynie, usiadł przy kołysce, patrzał długo w twarz śpiącego dziecka rozrumienioną gorączką i szepnął:

— Sierota! —

Na drugi dzień kazał kołyskę przenieść do swego pokoju, sprowadził piastunkę i jak matka czuła zajmował się dziecięciem. To dziecko było teraz jedyną myślą jego, jedyném marzeniem — twarz jego posępna i dzika od smutku, wtedy tylko miała pogody trochę, gdy siadł przy kołysce. Trudy, bezsenne noce, starania koło malca, były jedyną rozrywką milczącego samotnika.

Chłopiec wyzdrowiał i rósł pod jego okiem — on sam uczył go chodzić, mówić. Gdy doszedł do siódmego roku uczył go czytać, na koniu jeździć, wykonywać ćwiczenia gimnastyczne — odżył w dziecku i z niém rozpoczynał na nowo życie, można powiedzieć: zdziecinniał do niego. Bolało go tylko i dziwiło, że w tak małym chłopcu budziły się jakieś szkaradne skłonności do pastwienia się, złośliwych psót. Mały miał passją prętem ścinać kwiaty, wbijać motyle na szpilki, ptakom ucinać skrzydła, bić pokrzywami po rękach wiejskie dzieci, z któremi się bawiał. Ojciec z trwogą patrzał na te zabawy chłopca, przebijało się w nich złe serce, choć ojciec samą miłością go prowadził.

Jednego dnia zobaczył malca w ogrodzie grzebiącego w ziemi; ucieszyła go ta skłonność do ogrodnictwa — praca koło roli jest zajęciem ludzi łagodnych,

i w dzieciach i w narodach ta skłonność jest zaletą. Ojciec rad był z téj zmiany w chłopcu, zbliżył się więc ku niemu, pogłaskał po jasnych włoskach i pochwalił za to zamiłowanie uprawy ziemi.

— Ależ ja tatku nic uprawiać niechcę, tylko odgrzebuję ziemię.

— A na co? —

— Zakopałem wczoraj mojego Filusia i chcę zobaczyć, czy jeszcze żyje.

Ojciec zcierpnął cały, dziecko wydało mu się w téj chwili potworem.

V.

Późniéj wiek, wychowanie, rozwój umysłowy, starły te szorstkie, dzikie popędy w chłopcu — i wyrobił się młodzieniec wcale miły i dobrze ułożony; raziła w nim tylko zbytnia trzeźwość umysłowa, brak wszelkiéj fantazyi i czułości. Każdą rzecz widział jasno, bez złudzeń — rachunek był podstawą jego czynności, chłodna rozwaga i zimna krew odznaczała go między rówiennikami. Ukończywszy studja wyjechał za granicę. Po powrocie zaczął myśleć o ożenieniu i szukał posażnéj panny.

— Chcę się żenić — rzekł jednego razu do ojca — muszę znaleść pannę, odpowiednią memu majątkowi. Ale ja nie wiem, co mam.

— Wszystko jest twojém.

— Słowo, wiatr kochany ojcze — rzekł syn z jałowym uśmiechem.

Ojciec zrobił więc formalny zapis, zrzekając się wszystkiego na rzecz syna, nic prawie sobie nie zostawiając, bo chciał go widzieć rozrządzającego dużym

majątkiem. Syn odebrał zapis, przejrzał go starannie, czy gdzie nie ma jakiéj nieformalności, jakiego dwuznacznika, o któryby potém zahaczyć można procesem, kazał go stwierdzić urzędownie i wyjechał szukać panny posażnéj i familjantki.

Tymczasem zaczęto fabrykę koło dworu, urządzano mieszkania, odświerzano, przebudowywano. Rządca wszedł raz do mieszkania Kazimierza i prosił, ażeby się usunął do oficyn, gdyż ten pokój ma przerobić na kancelarją dla młodszego pana. Kazimierz pobladł z oburzenia, ton mowy rządcy był impertynencki, zuchwały.

— Kto acana upoważnił do takich zmian? spytał.

Rządca pokazał mu list syna, gdzie między różnemi poleceniami stało:

„Dwór cały wyporządzić i zachować dla mnie! Ojca trzeba będzie przetransportować do jakiéj izdebki w oficynie“.

Oddał list rządcy, nie patrząc na niego ze wstydu i upokorzenia, spakował rzeczy i przeniósł się do oficyny — do jednego z gościnnych pokojów, który był nieco wilgotny.

Nie wychodził prawie z niego, bo go wstyd było wałęsać się koło dworu, nieuszanowany przez ludzi, którym niedawno rozkazywał. Oczekiwał niecierpliwie powrotu syna, chciał mu się poskarżyć, pewny był, że rządca źle zrozumiał rozkaz, że przeniesienie miało trwać tylko na czas reperacyi, chciał nawet poprosić syna, aby rządcę za zuchwałość względem niego oddalił. Marzył o świetnym związku dla syna, cieszył się na tę chwilę, kiedy synowę poprowadzi do ołtarza, kiedy dla młodéj pary wzniesie toast. Bawił się marzeniami, bo rzeczywistość była wcale nie zabawna.

Najczęściej dumał tak w nocy, bo sypiać czegoś nie mógł.

Raz kiedy tak położywszy się na łóżku puścił wodze swoim myślom, usłyszał turkot powozu po kamienistéj drodze — usiadł na łóżku i słuchał. Turkot stawał się głośniejszy i zbliżał się w kierunku ku dworowi. Nie omylił się w przeczuciu i oczekiwaniu — psy zaszczekały koło bramy, powóz zatrzymał się przed gankiem. Stary uchylił okno, by się lepiéj przekonać kto przyjechał — usłyszał głos syna. Ucieszył się, zapalił świecę i począł się ubierać pewny będąc, że za chwilę syn wejdzie z nim się przywitać.

Czekał całą godzinę — nikt się nie pokazał. Ojciec tłomaczył sobie: może się przebiera, może głodny, posilić się musi — i czekał znowu.

Minęła pierwsza, druga, nie kładł się spać, wciąż jeszcze czekał, we dworze widać było światło w oknach, to podtrzymywało jego nadzieje — i czekał wciąż. Aż senność go objęła i zasnął na krześle w ubraniu, zwiesiwszy zmęczoną głowę na poręcz.

Rano przebudził się, osłabiony bardzo niewygodném spaniem: przetarł oczy i czekał znowu. Potém pomyślał sobie, że syn może chory, bo inaczéj pewnieby przyszedł do niego, zebrał się i poszedł do dworu. W pokojach nie było nikogo — to go zdziwiło mocno. Już miał wychodzić, gdy przez otwarte okno zobaczył w ogrodzie nad stawem dwie osoby przechadzające się: mężczyznę i kobietę. Kobieta była ubrana biało, lekka gazowa zasłona okrywała jéj głowę. Stanął jak wryty, przypomniała mu się przeszłość jego. Dwadzieścia kilka lat temu on w tém samém miejscu przechadzał się ze swoją żoną — ranek był wtedy równie piękny, słońce tak samo odbijało się w stawie, powietrze było pełne woni i świeżości. Nie mógł się połapać, przecierał oczy,

zdawało mu się, że spi jeszcze, że syn przypomina mu ułudne obrazy jego minionego szczęścia. Wyszedł spiesznie na ogród ku stawom. W zbliżającym się mężczyżnie poznał syna — lecz któż była ona? Stanął i zapatrzył się. Syn przywitał go chłodno, obojętnie i rzekł do kobiety:

— To mój ojciec.

— Któż ona jest? spytał Kazimierz.

— Żona moja. Chodź — rzekł zwracając do niéj mowę — obejrzyjmy oranżerją.

I zostawili starca osłupiałego, zdumionego.

— Żona — szeptał do siebie po ich odejściu — żona jego? Więc bez błogosławieństwa mego, bez pozwolenia.

— Jakiś dziwak ten twój ojciec — mówiła młoda pani, wsparta na ramieniu swego męża.

Stetryczał stary — rzekł mąż i wprowadził ją pod oszklony dach oranżeryi.

Starzec wrócił do domu ze zwieszoną na dół głową, pogrążony w myslach, usiadł w krześle i siedział tak godzin kilka. Nikt nie przyszedł przerwać samotności jego — służący przyniósł obiad jak dawniéj i odszedł. Stary próbował jeść — nie mógł, jedzenie dławiło go.

Tak przeżył kilka tygodni — syn nie pokazywał się wcale; staruszek nie skarżył się, nie narzekał, tylko osowiał, zdziczał, ogłupiał prawie. Z każdym dniem widział, że mniéj dbano o niego — potrawy przynoszono coraz lichsze, coraz szczuplejsze porcje — odmówiono mu wiele wygód, których zażądał, żałowano mu wszystkiego.

Raz chciał wyjechać do miasteczka — powiedziano mu, że konie zajęte. Jednego dnia posłał do syna służącego prosząc, by kazał kamieniarzowi we wsi wykuć

pomnik — ten pomnik chciał postawić na grobie swego brata, który zginął za niego owéj fatalnéj nocy. Przez tyle lat nie pamiętał o biednym, upośledzonym garbusku, który leżał na wiejskim cmentarzu, pod mogiłą zapadłą od starości i porosłą chwastem — teraz przypomniał sobie o nim, sumienie wyrzucało mu niewdzięczność — przypomniał sobie o nim, bo dola ich była teraz jednaka i on teraz we dworze był tak zapomniany, poniewierany, jak niegdyś ów potworny niemowa. Chciał więc uczcić pamięć towarzysza niedoli. Służący wrócił od syna z odpowiedzią, że tego sobie nie zastrzegł w zapisie. Ojciec musiał przyznać, że syn pilnie studjował prawo.

Tego samego dnia wieczorem, gdy chciał zapalić świecę, świecy nie było — poprosił o nią — powiedziano mu, że świec brakło. I tego nie zastrzegł sobie w zapisie. Staruszek nic nie powiedział, nie skarżył się, nie złorzeczył — spakował rzeczy w tłomoczek, wyszedł wieczorem ze dworu z zaciśniętemi z bolu ustami, z zamróżoném sercem i nie wrócił już.

Ciężką chorobę przebył w szpitalu — a potém znajdujemy go w domku przy ulicy Mostowéj.

VI.

Zniknięcie ojca zaniepokoiło nieco syna; gdy mu doniesiono, że starszy pan od kilku dnį już nie pokazał się we dworze. August pobladł i zmienił się. Wstał niespokojny i poszedł do biurka, szybko otworzył boczną szufladę, przerzucił kilka papierów, szukając czegoś pilnie drżącemi rękami. August był pewny, że ojciec wyjął mu potajemnie zapis majątkowy, i wyjechał, by mu wytoczyć proces. Zapis leżał na swojem miejscu nietknięty. To go zastanowiło; nie mógł pojąć, co skłoniło starca do opuszczenia dworu, w którym według zapisu notarjalnego miał mieszkanie i życie zabezpieczone. Zimny ten człowiek nie przypuszczał powodów sercowych, nie domyślał się nawet, że to jego postępowanie wygnało ojca. Może chwilowo przeszła mu ta myśl przez głowę, ale dla własnego spokoju nie chciał w nią uwierzyć — taki powód wydawał mu się zbyt błahym. Poszedł potem do oficyn, kazał sobie otworzyć pokoik ojca i wszedłszy pilnie upatrywał, czy nie znajdzie jakiego listu, lub objaśnienia. Nic nie było.

Otworzył szafę — była pełna sukien, nic nie tknięto, nie zabrano, oprócz trochę bielizny. August ruszył ramionami i nazwał ojca dziwakiem. Nie kłopotał się już więcéj, rad nawet w duszy, że nudny i tetryczny starowina nie zawadza mu już w domu. Chodziło mu tylko, by świat nie zrobił z tego skandalu, upozorował więc przed ludźmi nagły wyjazd ojca, mówiąc, że stary sprzykrzywszy sobie wieś, osiadł w Warszawie. Uwierzono i zapomniano o dawnym dziedzicu, który z nikim prawie nie żył. Nowy dziedzic zmienił zupełnie tryb życia. Świetne małżeństwo schlebiało jego próżności, chciał się pochwalić przed światem żoną i majątkiem i prowadził dom otwarty, wystawny.

Żona jego było to stworzenie delikatne, powiewne, wątłe. Pieszczoty, przesadne wygody życia zrobiły, że była wiecznie bladą, niezdrową i znudzoną. Nic nie mogło jéj rozruszać, ożywić, nawet małżeństwo jéj nie nastąpiło w skutek silniejszéj skłonności serca, ale z kaprysu. Znudziły ją zabawy i zajęcia w domu rodziców, zapragnęła zmiany, August właśnie w tę porę bywał u nich i poszła za niego. Było to małżeństwo wcale dobrane, chłodne, grzeczne, światowe. Oboje nie wymagali od siebie czułości, przywiązania — on tego nie potrzebował, a ją to nudziło. Prędzéj zatęskniła za zabawą niż za mężem, nie żądała od niego nic więcéj, tylko, żeby się nie nudziła. On téż starał się o to, nie tyle może ze względu na nią, ile z szacunku dla jéj miljonów, od których rodzice wypłacali mu procent. Ogólna żałoba w kraju była nie na rękę znużonéj grymaśnicy. Jéj chciało się bawić, a tu bawić się nie wolno, lubiła się stroić, a tu za cały strój pozwolono jéj tylko czarną sukienkę. To ją niecierpliwiło. Dla dogodzenia swoim zachceniom, nieraz w swoim buduarze po kilka razy się przebierała, przymierzała jedwabne

ciężkie suknie różnych barw, przemieniała co chwila kólczyki i bransolety, posypywała brylantowym proszkiem swoje miękkie, cudne rudawe włosy i tak przystrojona, stawała przed dużém zwierciadłem w salonie, pytała się garderobiany o zdanie, kazała wołać męża, by się go spytać, jak mu się ten, lub ów ubiór podoba — i znowu znudzona, zrzucała wszystko z siebie z pośpiechem, umęczona kładła się na miękkie sofy i narzekała: nudzę się.

Raz wśrod takich chwil znudzenia wpadło jéj do głowy, czyby nie lepiéj było wyjechać za granicę. Udzieliła zaraz téj myśli mężowi i postanowiono wyjazd. Niecierpliwie czekała chwili wyjazdu — była pod tym względem jak rozpieszczone dziecko, które gdy się czego naprze, radeby mieć zaraz i nie umie czekać. Przed wyjazdem postanowiła dać wieczór pożegnalny dla znajomych sąsiadów. August przeciwnie radził, aby potajemnie wyjechali, że jedynie w taki sposób będzie mógł teraz opuścić kraj. Pierwszy to raz mąż sprzeciwił się jéj zachceniom, cała jéj słabiutka a kapryśna natura była podrażniona tym oporem — nastąpiły spazmatyczne płacze i nerwowe cierpienia; zepsute dziecko nie chciało słuchać usprawiedliwiań i powodów męża, zatykało przed nim uszy paluszkami, wyrzekało na los swój i groziło, że odjedzie do rodziców. August musiał w końcu zgodzić się na to, co chciała. Wieczór był świetny, bo tak życzyła sobie ona. Kazała umyślnie sprowadzić sobie ubranie z Warszawy, a że nie można było wystąpić w innéj jak w żałobnéj sukni, więc pojedynczość koloru starała się przynajmniéj urozmaicić ozdobami i bogactwem koronek. Sznur prawdziwych pereł lśnił się na jéj białéj, wąziutkiéj szyjce — a brylantowy proszek błyszczał jak rosa we włosach. Była zadowolnioną z tego ubrania, cieszyła się jak dziecko i kla-

skała w ręce. Przeciwnie August był dziwnie roztargniony i niespokojny, wązkie usta jego drżały febrycznie. Żona nie uważała tego — ją dzisiaj zajmował tylko strój i wieczór.

Gości zjechało wiele — rozmowa, fortepian, śpiew, wypełniał program wieczoru.

Panowie grali w karty w przybocznym pokoju. August chodził między nimi z przymuszonym uśmiechem na twarzy. Przybył jeszcze jeden gość, Warszawiak, bawiący od paru miesięcy w téj okolicy. Gdy go pan domu ujrzał, pobladł; nie wyszedł ku niemu na powitanie, ale skręcił do drugiego pokoju. Widocznie coś było między tymi dwoma ludźmi; przybyły szukał oczami gospodarza, a ten starał się go unikać. Wreszcie udało się przybyłemu zbliżyć się do Augusta na przejściu z salonu do przedpokoju, wziął go za rękę i odprowadził pod okno.

— Auguście, co to ma znaczyć? spytał.

— Z czém? odparł gospodarz zmięszany.

— Ty wyjeżdżasz — opuszczasz nas? A twoja przysięga?

— I ty wierzysz temu?

— Wszak to wieczór pożegnalny?

— Dla zadowolnienia żony, która uparła się jechać. Łudzę ją, zgadzając się pozornie, by nie być zmuszonym powiedzieć jéj prawdę.

Pytający utopił badawcze spojrzenie w Auguście, który nie mogąc znieść tego wzroku, mięszał się.

— Pamiętaj Auguście — rzekł przybyły — że i konspiracja ma swoich szpiegów, którzy śledzą, i swój trybunał, który karze zdrajców. A twój wyjazd nie byłby teraz niczem innėm tylko zdradą.

— Straszysz mnie jak dziecko a niezasłużenie —

mówił August drżący i blady. Ale daruj, że cię teraz zostawię samego — tyle gości....

— Czekaj jeszcze chwilę. Nie byłeś na ostatniém zebraniu, wszyscy dziwili się temu. Chcę wierzyć, że ważny powód wstrzymał cię. Teraz każda chwila jest drogą. Śledzą nas już. Powstanie ma wybuchnąć za tydzień. Na dwa dni przed tém mamy się ostatecznie zgromadzić u **B.**

— Będę, będę — rzekł August z pośpiechem i wyrwawszy się z rąk przybyłego, wszedł między gości.

Téj saméj nocy po odjeździe gości, August zawiadomił żonę, że dla załatwienia swoich interesów musi jutro niezwłocznie wyjechać do Warszawy, a pojutrze będzie na nią czekał przy granicy pruskiéj. Niezwłocznie służący dostał rozkaz pakowania rzeczy do drogi.

Tu musimy kilku słowami wytłomaczyć to niejasne i zagadkowe nieco postępowanie Augusta, jego tajemną rozmowę z nieznajomym i przyspieszony wyjazd.

Jak wiemy było to w epoce, kiedy sieć organizacyi narodowéj ogarniała kraj cały. I w Rawskiém utworzyło się kółko, przygotowywujące powstanie. Augusta wciągnięto do niego. Augustowi sprawa ta była zupełnie obcą i obojętną, bo nie widział w niéj korzyści — a że naruszała jego spokój, że wymagała od niego ofiar, więc jéj nawet z zasady był wstrętnym. Wszedłszy jednak w kółko ludzi wcale odmiennych pojęć, taił się ze swojém zdaniem, bał się usunąć od udziału, bo mu chodziło o opinją tych ludzi. Zachował się więc czysto biernie, mając nadzieję a nawet pewność, że się to skończy na niczém. Szybki wzrost organizacyi przestraszył go, widział, że zaszedł za daleko, chciał się wycofać, ale nie było sposobu. Projekt żony względem wyjazdu za granicę był mu wcale na

rękę, przyjął go i chciał tajemnie umknąć. Kaprys żony udaremnił to. Wieczór pożegnalny zrobił głośnym jego wyjazd. Słyszeliśmy, jak przed nieznajomym usprawiedliwiał się z tego — a równocześnie zmienił plan, bo, ponieważ był przekonany, że go będą śledzić, postanowił wyjechać dniem wprzódy za granicę, oszukać spiskowych i własne sumienie związane przysięgą. Przed żoną upozorował swój wyjazd interesami w Warszawie. Tak urządziwszy wszystko, kazał przywołać rządcę i dawał mu potrzebne rozkazy i instrukcyje — a w końcu rzekł:

— Każ pan zajeżdżać dla mnie.

Rządca wyszedł — August udał się do pokojów żony, by się z nią pożegnać.

Przed gankiem zaturkotał powóz.

— Już zajechał — rzekł August i wziąwszy torbę podróżną, wyszedł na ganek.

Przed gankiem zamiast powozu stała bryczka — a z niéj wysiadali żandarmi.

August struchlał i osłupiał.

VII.

Aresztowanie Augusta nastąpiło w skutek odkrycia spisku — rząd trafił na ślad organizacyi i rozpoczęły się aresztowania w okolicy. Żona Augusta na wiadomość o jego uwięzieniu, dostała konwulsyjnego napadu. Nie wiedząc nic o spisku, miała nadzieję, że wkrótce go uwolnią. Pojechała zatém do jenerała starać się o to. Nie tyle może szło jéj o męża, ile o wyjazd za granicę, który z tego powodu odwlókł się na jakiś czas. Dopiero słowa jenerała rozjaśniły jéj tę przepaść, w jakiéj pogrążył się jéj mąż.

— Więc nie ma żadnéj dla niego nadziei? spytała przestraszona.

Jenerał ruszył ramionami.

Jeżeli wyzna wszystko — rzekł po chwili — w takim razie może spodziewać się łaskawego wyroku.

Do tego nie trzeba było wcale namawiać Augusta. Człowiek, który nie z patrjotyzmu, nie z przejęcia się

sprawą narodową przystąpił do organizacyi, ale jedynie z obawy wzgardy swych współobywateli — nie widział wcale potrzeby poświęcić się dla drugich, zwłaszcza, że odkrycie spisku dawało mu nadzieję ocalenia siebie samego. Zaraz więc przy pierwszém śledztwie odkrył wszystko, wymięnił nazwiska spiskowych nawet takich, o których rząd nie wiedział — w skutek czego nastąpiły nowe aresztowania. Sędziowie nadzieją ocalenia skłaniali go do coraz szczegółowszych wyznań. Po ukończoném śledztwie odetchnął — zdawało mu się, że już koniec wszystkiego, czekał tylko wyroku, a zarazem swego uwolnienia. Tymczasem cięższe daleko czekało go przejście. Ponieważ zeznania reszty więźniów przeczyły zupełnie jego zeznaniom, nastąpiła więc konfrontacja. August musiał oko w oko spotykać się ze swoimi wspólnikami, powtarzać swoje zeznania przeciw nim, znosić ich pogardliwe spojrzenia, piętnujące go hańbą, zdobywać się na bezczelność wobec ich obelg. Była to męka straszna nawet dla takiego człowieka jak August. Nieraz wróciwszy do swojéj celki więziennéj z rozpaloném od wstydu czołem, potępiał i lżył sam siebie, brzydził się, że tak upadł nizko, że się tak spodlił. Ale wnet zimny rozsądek brał górę i usprawiedliwiał się sam przed sobą mówiąc:

— Ha, darmo — pierwsza miłość od siebie.

Wreszcie ukończył się proces — nieudane początki powstania wpłynęły bardzo niekorzystnie na los więźniów. Wezwano ich do wyroku. August raz jeszcze musiał stawać obok tych, których wydał, znosić w upokorzeniu ich pogardliwe spojrzenia i czekał wyroku ze spuszczonemi w dół oczami. Weszli sędziowie i przeczytano wyrok:

„Sześciu spiskowych skazanych było na karę śmierci

przez powieszenie ;trzech w Sybir do katorgi na całe życie — August w roty aresztanckie.

Augustowi krew uderzyła do głowy, wyrok ten jak piorun zagrzmiał w jego uszach. On spodziewał się być wolny, czekał niecierpliwie téj wolności, którą sobie kupił krwią swych braci, hańbą imienia swojego, sędziowie łudzili go ciągle tą nadzieją — i teraz nagle odjęto mu tę nadzieję. Pociemniało mu w oczach, zachwiał się i wpółomdlałego odprowadzono do więzienia. Tu zapadł w stan otrętwienia, osłupienia — gadał od rzeczy, a oczy wytrzeszczone z przerażeniem patrzały przed siebie. Taki stan trwał dni kilka. Potém nastąpiły gwałtowne sceny rozpaczy i niepokoju. Latał po celce, chwytał się krat, jakby je próbował wyłamać; bił głową o mur, płakał, rwał włosy. Była to rozpacz zwierzęcia zamkniętego w klatkę. Nie mógł się oswoić z tą myślą, że mu trzeba będzie wyrzec się dostatków, wygód, swobody i żyć tak nędznie, gdzieś daleko i Bóg wie jak długo. Jednego dnia chodząc tak szybkim krokiem po izbie, zbliżył się ku oknu, spojrzał na dziedziniec i zadrżał. Na dziedzińcu stawiano szubienice. Odskoczył od okna, i schował się w kąt przed tym widokiem. Łoskot siekier obijał się o sklepienia jego więzienia; — zatkał uszy rękami, by tego nie słyszeć. W godzinę potém zawarczały bębny — to skazanych wyprowadzono na śmierć. Wśród gwaru żołnierzy i bicia bębnów dał się słyszeć potężny, uroczysty, śpiew więźniów: „*Boże, coś Polskę*". August rzucił się na ceglaną podłogę, płakał a raczéj ryczał z boleści i żalu i śpiewał wraz z więźniami. Potem nastała uroczysta cisza, Augusta przeszedł mróz po ciele — w téj chwili umierali ci, których on zdradził. Tego dnia nie zbliżał się

do okna, noc miał niespokojną, pełną męczących snów i widziadeł.

Następnego dnia dano mu znać, że żona chce się z nim widzieć. Była to łaska jenerała, równie jąk łaską była jego wysełka do rot aresztanckich. August podniósł się z posłania, i poszedł do sali sądowéj, eskortowany przez czterech żołnierzy. Kiedy wszedł, żona jego rozmawiała z jenerałem, ujrzawszy go, była więcéj przestraszona, niż smutna.

— Ach, jakiś ty brudny, jakiś ty brudny — rzekła zbliżając się do niego.

August przygryzł wargi cierpko i podał jéj rękę. Wzięła ją ostrożnie we dwa paluszki.

— I jakże ci tutaj? spytała po chwili.

Mąż uśmiechnął się boleśnie i rzekł:

— Dobrze.

— Widzisz, to jenerałowi masz zawdzięczyć. Dostałeś najlżejszy wyrok, jaki można było. A kiedyś może nastąpić jeszcze ułaskawienie. Wszak prawda, generale?

— Łaska carska jest nieograniczona — rzekł jenerał.

Rozmowa małżonków jakoś nie szła, urywała się co chwila.

— Czy nie potrzeba ci czego? spytała znowu.

On potrzebował teraz pociechy, słów ciepłych, serdecznych — a tych ona mu dać nie mogła. Odpowiedział więc:

— Nic mi nie potrzeba. A ty zdrowa teraz?

— Nie bardzo; totéż wyjeżdżam jutro do Włoch z matką.

Augusta te słowa zakłóły w samo serce. Poznał, że je ma w piersiach — po boleści.

Żona napróżno szukała po głowie, coby mu jeszcze powiedzieć, nie znalazłszy nic, podała mu rękę, by zakończyć tę męczącą dla niéj scenę i rzekła:

— No, bądź zdrów, a pisuj do nas. *A revoir*.

Przyłożyła batystową chustèczkę do oczów i odwróciła się. Na dany znak przez jenerała wyprowadzono więźnia.

Tak rozstali się ci, którzy może nigdy już nie zejdą się z sobą.

VIII.

W Warszawie było cicho i grobowo — jakby w niéj ducha nie było. Duch jéj teraz błąkał się wśród Kampinowskich lasów i trzęsawisk — i oddychał chwilą wolności za lata ucisku. Warszawa nasłuchiwała w uroczystém milczeniu echa z tamtych stron. Wśród tego wyczekiwania i wysokiego nastroju ludzi — staruszek z ulicy Mostowéj zachował się zupełnie zimno i obojętnie. On znienawidził ludzi, cóż go więc mogły obchodzić ich pragnienia, boleści, męki i nadzieje. Odosobnił się zupełnie i żył jak ślimak w skorupie, nie przywiązując się do niczego, nie robiąc nic dla nikogo, do tego stopnia, że kiedy raz stolarka zakołatała do jego drzwi, prosząc z płaczem, by leciał po doktora, bo jéj dziecko bez ratunku nie dożyje rana — zacięty staruszek ofuknął ją mówiąc:

— Raz już powiedziałem acani, żebyś mi dała spokój — i zatrzasnął drzwi przed nią.

— O! tyś nigdy nie musiał mieć dzieci — krzyknęła w rozpaczy kobieta.

Staruszek uśmiechnął się gorzko i chłodno na te słowa, machnął ręką i odszedł od drzwi. Na środku izdebki stanął, zdawał się wahać i namyślać, w sercu jego odbywała się walka litości z zaciętością, w końcu szepnął z naciskiem:

— Nie, dla nikogo litości — nikt jéj nie miał dla mnie.

I położył się spać. Czy usnął — nie wiem.

Żyjąc tak samotnie wśród czterech ścian swojéj izdebki, zrobił raz przypadkiem ciekawe odkrycie. Gdy się jednego wieczora zabierał już do spoczynku, z kieszeni od kamizelki wyleciało mu kilka dziesiątek i zatoczyły się w różne strony po izbie; niektóre wpadły w szpary podłogi. Staruszek chcąc je dostać, wsunął w szparę scyzoryk; wtedy zauważył, że środkowa deska podniosła się nieco. Odważył ją więc zupełnie i ze zdumieniem zobaczył pod sobą ciemną norę, niby piwniczkę, z któréj szło niemiłe, wilgotne zimno. Przysunął świecę bliżéj otworu i rozpoznał na dnie jakieś papiery poczerniałe już nieco od wilgoci i coś jeszcze czego rozeznać nie mógł. Spuścił więc stołek do lochu, zeszedł po nim i rozpoczął poszukiwania. Podniósł z ziemi jakąś blachę powalaną czernidłem, potém parę sztabek ołowiu, przyjrzał się im uważnie i poznał, że to były czcionki drukarskie zardzewiałe. Zbutwiałe papiery były odezwami rewolucyjnemi. Domyślił się, że tu musiał mieszkać przed nim jakiś członek podziemnego Rządu i urządził tę schówkę, że potém albo go aresztowano, albo zmuszony był uciekać i nie wrócił więcéj. Staruszek wrzucił napowrót blachę, czcionki i papiery do ciemnego otworu: trwożne, niemiłe przeszło go uczucie; wśród nocy ta ciemna jama robiła na nim niemiłe wrażenie, była podobną do otwartego grobu.

Zląkł się tego i zakrył otwór deską i nie odważył się więcéj zaglądać tam.

Niedługo jednak potém dziwny zbieg okoliczności dał mu poznać właściciela tych tajemnic podziemnych i poprzedniego mieszkańca izdebki. Kiedy wracał po południu w niedzielę ze spaceru do siebie i otwierał drzwi, usłyszał za sobą nagle, że ktoś szybko biegł po schódkach. Jakiś młody człowiek, w pomiętém ubraniu, zadyszany, wpadł na poddasze, wpadł do izdebki równo z nim i dając mu ręką znak, aby milczał, podważył deskę, wsunął się szybko do otworu i zamknął za sobą deskę, jak wieko. Scena ta odbyła się tak niespodziewanie, że staruszek osłupiał i znieruchomiał z podziwu. Jeszcze nie miał czasu zebrać myśli, kiedy we drzwiach pojawił się komisarz z policjantami. Staruszek spojrzał i zbladł, nogi się pod nim zatrzęsły — w komisarzu poznał swojego wroga — Juljana. Choć tyle lat go nie widział, poznał go jednak po kędzierzawych włosach, teraz już siwizną przypruszonych, po brodawce na lewym policzku pod okiem. Na ten widok zatrząsł się cały z nienawiści. Juljan widać go nie poznał, (choroba i nieszczęścia zmieniły go i wcześnie zrobiły starym), bo rozglądnąwszy się tylko po pustych ścianach izdebki, zajrzawszy w kąty i zadawszy kilka pytań, poszedł do dalszych pomieszkań czynić poszukiwania. Nie znalazł jednak tego, którego szukał. Domyślał się, że dymnikiem mógł przejść na sąsiednie domy, pospiesznie więc opuścił ten domek.

Po jego odejściu starzec długo jeszcze stał na tém miejscu, na którém go zastała rewizja, stał jakby przybity do podłogi, cała przeszłość zmartwychwstała nagle przed nim i przypominała mu się żywo.

— Więc to on? — powiedział do siebie z przerażeniem i uczucie zemsty zadygotało w jego piersiach.

Kiedy w domku się już uspokoiło wszystko i niebezpieczeństwo minęło, staruszek podniósł deskę i powiedział do nieznajomego:

— Możesz pan wyjść.

Młody człowiek wyskoczył z pod podłogi, otrzepał ubranie z wilgotnéj ziemi, otarł zimny pot z czoła i odetchnąwszy, rzekł:

— Przepraszam pana mocno, że go tak zaniepokoiłem. Ale cóż było robić? Ścigany, uciekłem jak mysz do znajoméj dziury.

— Więc to pan urządziłeś tę kryjówkę?

— Pan o niéj wiedziałeś?

— Odkryłem przypadkiem.

— Robiąc ją nie myślałem, że mi się kiedyś tak przysłuży, że mnie ocali od śmierci.

Staruszek uśmiechnął się ironicznie z tego wyrażenia.

— Nie przesadzam. Gdyby mnie schwytano — czekała mnie szubienica. W kieszeni miałem sztylet i rozkaz „rządu narodowego“ zabicia tego łotra, który tylu naszych unieszczęśliwił.

— Zabicia go? — powtórzył jak echo staruszek przeciągle.

— Panu winienem ocalenie; dlatego jestem z panem szczéry, wiem, że mnie pan nie zdradzisz, kiedyś mnie ocalił.

Staruszek nie słyszał tych słów, nie uważał na nie. W ponurém zamyśleniu powtórzył jeszcze raz:

— Zabić go!

— To go nie minie.

Wypłowiałe i mdłe oczy starca roziskrzyły się na te słowa, uchwycił nieznajomego gorączkowo za rękę i zawołał:

— Nie minie, powiadasz?

— Wszak jest na to rozkaz.

— I ty go sam chcesz zabić? spytał tonąc w jakichś myślach.

— Ja sam.

Staruszkowi zasychało w gardle, z trudnością przełknął ślinę:

— Słuchaj mnie pan — rzekł stłumionym, ochrypłym głosem. — Pozwól, niech ja go zabiję. — Tyś młody, ciebie szkoda, ty się nie możesz narażać. Mnie już wszystko jedno, mnie się nie wiele należy.

Młody spojrzał niedowierzająco na wątłą postać staruszka i rzekł:

— Nie obliczasz się pan ze siłami.

— Znajdę, znajdę siłę — szeptał starzec.

— W takim razie we dwóch działać będziemy, Mam plan; jutro zaraz trzeba się wziąść do wykonania, kiedy najmniéj się spodziewa. Czekaj mnie pan rano w ogrodzie Saskim o godzinie 9téj. Tam się ułożymy. To rzekłszy, zabierał się do wyjścia.

— Czekaj pan, wyjrzę pierwéj, czy kto nie śledzi wyjścia.

Wyszedł przed furtkę, popatrzył uważnie w jednę i w drugą stronę — na ulicy było pusto, głucho. Tylko jakaś kobieta zbliżała się w kierunku ku drzwiom, pod któremi stał. Wszedł do sieni, by się z nią nie spotkać.

— Nie ma nikogo, możesz pan wyjść bezpiecznie — rzekł wracając do izby.

— Cicho, ktoś idzie po schódkach, słychać skrzypienie. —

— To stolarka z przeciwka.

— To ta biedna? — Mąż jéj zginął przy pierwszém starciu.

Starcowi zaciężyła ta wiadomość na sercu, chciał ją zagłuszyć, zagadać.

— Nie trać pan czasu — mówił, nagląc nieznajomego do wyjścia.

Po jego odejściu zamykając drzwi staruszek, zastanowił się, wzrok nieruchomo zatrzymał na klamce i stał tak długo, utonąwszy gdzieś myślami.

— Ha — rzekł, budząc się z zamyślenia — stało się! Nie szukałem go; ale kiedy mi sam wlazł w oczy — nie przebaczę!

IX.

Następnego dnia staruszek wstał raniéj niż zwykle i ubrał się z pośpiechem. Na wywiędłéj jego twarzy znać było zmęczenie bezsennéj nocy — błękitne usta spieczone gorączką, a w oczach jego nieprzytomność i niepokój. Ubrawszy się, usiadł zmęczony na stołku, oddech jego był głośny, krótki. Po chwili drżącemi rękami rozpiął surdut, wyjął zegarek z kieszonki i spojrzał na godzinę. Zdawało mu się, że zegarek stanął, przyłożył go do ucha — szedł jednostajnym, miarowym ruchem; to staruszka zadziwiło; położył zegarek na stole i czas jakiś chodził po izbie, skracając sobie czém mógł chwile oczekiwania i niecierpliwości: to przecierał chustką zakurzone szybki okienka, to układał rupiecie na stoliku, to strzepywał pył z krucyfiksu, wiszącego nad jego posłaniem. Przy tém ostatniém zajęciu zatrzymał się dłużéj, zapatrzył się w twarz Ukrzyżowanego, zamyślił się poważnie, głęboko, a ręce zbliżały się ku sobie, jakby się chciał modlić. Nagle jakaś

myśl odtrąciła go od krzyża, odwrócił się szybko ku oknu i począł machinalnie nkładać papiery na stoliku. Przez chwilę miał myśl napisać kilka słów, niby ostatnią wolę swoją, ale wnet wyperswadował to sobie, ruszył ramionami i szepnął do siebie: „Po co? — Dla kogo?“ — i wsunął napowrót papiery do stolika.

Skazówka zbliżała się do ósméj — staruszek nie mógł już dosiedzieć w domu — wstał, włożył zegarek do kieszonki i wyszedł. Z ulicy Mostowéj nie poszedł ku Podwalowi, ale skręcił ku Staremu-Miastu, aby przez przysporzenie drogi skrócić sobie męczące chwile czekania; po drodze wstąpił do kawiarni przy ulicy Śto-Jańskiéj, kazał sobie podać kawę i machinalnie przerzucał gazety. Przypadkowo wpadł mu w ręce Dziennik Warszawski, a oczy jego mimowiednie zatrzymały się na ustępie, w którym były nazwiska skazanych na śmierć przez powieszenie. Staruszek zmięszał się — za kilka dni może i jego nazwisko stanie na téj liście — odsunął gazetę na bok ze wstrętem nie czytając daléj, a byłby wyczytał parę linij daléj nazwisko i wyrok syna swojego. Nie dopił już kawy i wyszedł. Tak był roztargniony, że musiano mu przypomnieć, że nie zapłacił za kawę.

Dziewiąta się zbliżała — staruszek przyspieszył kroku, by dojść na czas do ogrodu Saskiego. Koło wielkiego wodotrysku spotkał się z nieznajomym i obaj wyszli na Marszałkowską.

— Źle idzie — rzekł nieznajomy.

— Jakto?

— Ptaszek ma się na ostrożności — pilnują go dozorcy.

— Więc nic z tego? spytał staruszek z obawą.

— Owszem; tylko że polowanie będzie trudniejsze. Trzeba będzie zarezykować życie. Ocalenie nasze jest

prawie niepodobne. I cóż pan na to? Możesz się cofnąć, jeżeli zechcesz.

— Nie traćmy czasu na próżne gadanie, rzekł staruszek niecierpliwie — ja chcę go zabić, mniejsza o to, za jaką cenę.

— Więc chodź pan ze mną, dowiesz się o moim planie.

Skręcili w Chmielną ulicę i weszli do małego domku, zasłoniętego od ulicy wysokim parkanem. W pół godziny potém furtka znowu się otworzyła i wyszedł z tego domu jakiś dozorca policyjny, prowadzący za kołnierz aresztanta. Aresztantem był nasz znajomy staruszek z ulicy Mostowéj — a w dozorcy, gdyby odrzucił przyprawne wąsy i starł udaną ogorzałość z twarzy, poznalibyśmy owego nieznajomego.

Przeszli ul. Szpitalną, na plac Dzieciątka Jezus, a ztamtąd skręcili do mieszkania komisarza.

Komisarz odebrawszy dnia poprzedniego ostrzeżenie od „Rządu Narodowego“, aby się podał do dymisyi, gdyż w przeciwnym razie będzie ukarany śmiercią w przeciągu 48 godzin — zatrwożył się niepomału. Niepewny jak sobie postąpić, udał się natychmiast na zamek do Namiestnika i przedstawił mu rozkaz Rządu podziemnego. Ten przeczytawszy pismo roześmiał się pogardliwie i za odpowiedź pokazał komisarzowi dwa podobne ostrzeżenia, które sam otrzymał.

— Widzisz to? Miesiąc temu, jak mi to podłożono, a żyję zdrów i cały.

— Waszą ekscelencją — zauważył nieśmiało komisarz — strzegą mury i wojsko od buntowników — a mnie....

— Ciebie strzeże opieka rządu. Zresztą, jeżeli się boisz, dam ci straż z trzech dozorców.

Komisarz skłonił się i wyszedł z zamku już pod

opieką trzech dozorców policyjnych, którzy mu mieli odtąd zawsze na ulicy towarzyszyć, a gdy wrócił do domu, strzedz drzwi jego mieszkania. Zwykle przed bramą jego domu stało dwóch dozorców, a trzeci na schodach. Drzwi frontowe i tylne były zawsze zamknięte, otwierano je tylko dla znajomych osób, używając przytém wszelkich środków ostrożności. Dotrzeć więc do tego człowieka i zabić go, zdawało się niepodobieństwem. Te jednak środki ostrożności nie zdołały odstraszyć tych, którzy szli wykonać rozkaz Rządu podziemnego.

Dozorca z staruszkiem stanęli przed bramą kamienicy. Staruszek był blady i drżał, nie tyle z obawy, bo téj nie miał, ile ze wzruszenia.

Nieznajomy zagadał do dozorców, strzegących bramy.

— Komisarz w domu?

— W domu. A ty od kogo?

— Od Drozdowicza z aresztantem.

(Drozdowicz był komisarzem innego cyrkułu.)

Dozorcy przepuścili ich, niedomyślając się podstępu. Weszli na schody.

— Do kogo? powtórzył zapytanie dozorca, stojący na schodach.

— Do komisarza z tym ptaszkiem, któregośmy schwytali w naszym cyrkule.

— A po cóż jego tutaj dajecie?

— Nie wiem. Drozdowicz kazał zawieść tutaj.

— Tędy was nie puszczę, idźcie od tyłu.

Wrócili się i weszli na tylne schody. Niebezpieczeństwo ich przy takich środkach ostrożności było widoczne, nieuniknione — cofnąć się jednak nie można było; szli więc daléj śmiało. Zapukali do drzwi od tyłu. Tam nowe zapytania służącéj, która odpowiedź

przybyłych zaniosła pani. Za chwilę sama pani rozpoczęła przez zamknięte drzwi indagacją: Kto? zkąd? po co? Dozorca odpowiadał śmiało i bez wahania. Staruszek poznał głos swojéj żony; po tylu latach ten znajomy dźwięk głosu rozrzewnił go, nogi się pod nim zgięły, zachwiał się i wsparł o drzwi. Podobnego wrażenia doznaje człowiek, kiedy po długiéj niebytności wraca do rodzinnych stron i słyszy głos dzwonu na wieży. Z radością przysłuchuje się tym znanym dźwiękom i nie pamięta w téj chwili, że one rodzicom jego pogrzebny marsz dzwoniły. Staruszek na chwilę zapomniał o tém, co się koło niego działo, zmartwychwstałych kilka chwil szczęścia uśmiechały się ku niemu z ciemnych mroków przeszłości i zaczarowały jego myśli. Ale wnet nadpłynęły inne obrazy, które zasłoniły szczęście i wyszczerzały jadowite zęby; staruszek wstrząsnął się cały, krew uderzyła mu do głowy i zawrzał chęcią zemsty nad niewierną.

W końcu odezwał się za drzwiami głos samego komisarza.

— Od kogo dozorca?

— Od pana komisarza Drozdowicza.

— Po co?

— Przyprowadziłem aresztanta, który ma zrobić zeznanie.

— Przeprowadź go na frontowe schody — zaraz wam otworzą.

Dozorca przeprowadził znowu staruszka na frontowe schody, rzucając pilne spojrzenia na położenie miejsca.

— Tyś drżący — rzekł cicho do starca, gdy wchodzili z podworca do sieni. Jeżeli ci brakło odwagi, możemy wyjść na ulicę: jeszcze jest czas ocalenia się

— Chodźmy, chodźmy do niego — wyszeptał staruszek namiętnym, gorączkowym głosem.

Poszli na górę. Czas jakiś czekali przed drzwiami — chwila ta zdawała im się okropnie długą. Wreszcie otworzono im — weszli do ciemnego przedpokoju. Służąca wpuściwszy ich, zamknęła drzwi na dwa spusty i wyjęła klucz z zamku. Tu dozorca zaraportował przez nią komisarzowi, że komisarz Drozdowicz przysyła aresztanta, który skruszony, chce porobić ważne zeznania, odnoszące się do osób, zamieszkałych w tym cyrkule. Służąca weszła do pokoju. Dozorca spojrzał na starca wzrokiem, którym mu powiedział: nie ma już dla nas nadziei ocalenia, bądź jednak odważny.

Drzwi od pokoju się uchyliły.

— Wejdź — odezwał się komisarz do więźnia.

Dozorca postąpił także naprzód.

— Ty zostań tam — rzekł komisarz sucho i zamknął na klucz drzwi od pokoju.

Tak więc nieznajomy pozostał w ciemnym przedpokoju, z dwóch stron zamknięty, a pałasz i rewolwer, w który był uzbrojony na nic mu się w tém położeniu przydać nie mogły. Przerażenie go ogarnęło. Przeszła mu myśl po głowie, czy przypadkiem staruszek go nie zdradził i nie oddał w ten sposób w ręce wrogów. Nasłuchiwał, czy od strony schodów nie usłyszy żołnierzy idących go schwytać, opatrzył rewolwer i czekał. Gdy żadnego łoskotu nie słyszał z téj strony, zbliżył się do drzwi prowadzących do pokoju komisarza i z natężoną uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

— Więc ty chcesz zrobić zeznanie? spytał komisarz, mierząc więźnia surowym, badawczym wzrokiem.

— Tak — odparł staruszek siląc się na spokój, gdyż wszystkie nerwy grały w nim burzą.

— Jak się nazywasz?

Tu starzec powiedział jakieś zmyślone nazwisko.

— Zkąd wiesz o tém, co chcesz zeznać?

— Byłem okręgowym.

Tu nastało chwilowe milczenie. Komisarz mierzył wzrokiem stojącego przed nim aresztanta i zapuszczał badawczą sondę w niego, jakby go chciał przejrzeć do dna. Starzec wytrzymał spojrzenie bez zmięszania się i niepokoju. Nieznajomy tymczasem był w rozpaczliwém położeniu; drżał o starca, który był za słaby, aby mógł dać radę komisarzowi, przewyższającemu go siłą i wzrostem, a pomocy dać mu nie mógł.

— Co cię skłoniło do tego zeznania? spytał znowu komisarz, nie zdejmując sępiego wzroku z twarzy obwinionego.

— Nadzieja, że tém zmniejszę moją winę i uzyskam przebaczenie.

— Czyś tutejszy? Musisz być tutejszy, bo twarz twoja nie zdaje mi się obcą. Prawda? spytał go przystępując bliżéj — my się już gdzieś widzieli?

Starca przeszedł mróz zimny po kościach, bał się, że jest poznany, chciał już chwycić za sztylet, gdy dalsze słowa komisarza uspokoiły jego obawę.

— Widzisz, mnie dość raz widzieć twarz jakąś, aby ją zapamiętać. Musiałeś choć raz przesunąć koło mnie na ulicy — to wystarczy, abym cię pamiętał. No, ale do rzeczy. Czy pamiętasz nazwiska twoich wspólników?

— Mam ich listę przy sobie.

— Daj ją.

To mówiąc wyciągnął dłoń. Staruszek wsunął rękę do kieszeni, wyjął — i ugodził nagle sztyletem w piersi komisarza. Ten krzyknął, chwycił się za piersi, zachwiał się i upadł; ale upadając zdołał jeszcze chwy-

cić starca za rękę, którą ten podniósł do powtórnego ciosu i pociągnął go za sobą.

Obaj runęli na ziemię z łoskotem, pasując się rozpacznie i tarzając. Nie był to już ten zawiędły staruszek, któregośmy widzieli wprzódy, ale rozdrażniona pantera, czerpiąca niezwyczajne siły w wściekłości swojéj. Oczy nabiegły mu krwią, usta dyszały gorącym oddechem, żyły nabrzmiały jak sine powrozy koło naprężonych muszkułów. Zdawało się, że resztę sił swego życia schował starzec na tę jednę chwilę. Kolanem przygniótł piersi leżącego pod nim wroga i usiłował uwolnić swoją rękę z jego ręki.

Wśród takiego szamotania wypadł mu z ręki sztylet, jedyna jego broń i wpadł między wazoniki stojące pod oknem. Równocześnie na krzyk komisarza wpadła jego żona, a ujrzawszy straszną scenę, rzuciła się ku walczącym i uczepiła się drugiéj ręki napastnika. Próżno rzucał nią o ziemię, odpychał całą siłą — wisiała wciąż jak przyczepiony wąż Laokoona, krępując go i osłabiając. Spętany w ten sposób starzec stracił już odwagę, osłabły opuścił ręce i słabym głosem zawołał:

— Przez Bóg żywy ratunku. . . .

W téj chwili od strony przedpokoju odezwało się silne uderzenie o drzwi, nie za długo powtórzyło się z większą jeszcze gwałtownością i mocą, drzwi pękły i nieznajomy wpadł do izby. Jednym rzutem oka pojął niebezpieczeństwo starca, dobył natychmiast pałasza i ciął w rękę komisarza. Odwinął się i powtórzył cięcie na ręce jego żony. To drugie cięcie było tak silne, że biała ręka komisarzowéj odpadła zbroczona na podłogę. Wtedy starzec oswobodzony z krępujących go rąk, skoczył pod okno, chwycił z gorączkowym pośpiechem

sztylet i zadając nim nowe razy w pierś komisarza, zasyczał z wściekłością:

— Giń łotrze!... uwodzicielu cudzych żon.

Komisarz wyszczerzył na niego wzrok, mgłą już zaszły i zacharczał:

— Kazimierz!

Cała ta scena szeroko opisana odbywała się z tak niesłychaną szybkością, że nie trwała jąk parę minut. Krzyk słyszany z głębi pokoju obudził czujność straży — w sieni dała się słyszeć wrzawa.

— Czas iść — rzekł dozorca z zimną krwią i zadziwiającą przytomnością — wziął za rękę starca, wpatrującego się z osłupieniem na skrwawione trupy, leżące no podłodze — i wyprowadził tylnemi schodami nieprzytomnego.

Na podworcu zatrzymała ich straż.

— Co się stało? spytano.

— Komisarz zachorował — idźcie ratować, ja spieszę po doktora.

Dozorcy rzucili się na schody; nieznajomy tymczasem trzymając starca za kołnierz, wyprowadził go na ulicę i skręcił na Mazowiecką, gdzie czekały już na nich cztery zakryte dorożki. Wsiedli do jednéj z nich.

W téj chwili usłyszeli za sobą krzyk i wrzawę goniących milicjantów.

— Ruszaj — zawołał nieznajomy.

Cztery dorożki pędem rozleciały się w różne strony; dozorcy pogłupieli; nie wiedzieli, w którą biedz stronę. Nakoniec zdecydowali się gonić dorożkę, pędzącą wprost przed nimi.

— Stój! — pastój zawołali.

Dorożkarz wstrzymał konie — zmęczeni dozorcy przypadli do dorożki z odwiedzionemi rewolwerami, zajrzeli w głąb powozu — w powozie nie było nikogo.

X.

Kto zna czujność policyi Warszawskiéj, kto wie, jak liczni dozorcy rozstawieni gęsto po ulicach baczne rzucają oko na przechodniów i przejeżdżających — ten pojmie, że choć ucieczka tak dobrze się udała, niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. Wieść o zamordowaniu komisarza szybko rozleciała się po ulicach i zelektryzowała organa policyjne; w każdéj chwili więc pierwszy lepszy dozorca mógł ich przytrzymać i aresztować. Wiele zależało na pośpiechu, a pospieszać zbytnie nie mogli, by nie zwrócić na siebie uwagi dozorców; nie mogli również obrać najkrótszéj drogi w obawie, aby jeżeli są ścigani, własnym śladem nie odkryli ajentom swojéj kryjówki. W najrozmaitszych więc kierunkach krążyła dorożka po Warszawie, zanim zbliżyła się napowrót do Marszałkowskiéj i skręciła w Chmielną. Zatrzymała się przed oparkanionym domem, do którego weszli staruszek i jego towarzysz. Dozorca stojący na rogu Marszałkowskiéj i Chmielnéj widział ich

wysiadających; ale tego obawiać się niepotrzebowali — dozorca bowiem ów, lubo w służbie moskiewskiéj, należał do tajnéj organizacyi narodowéj. Tak więc mogli się uważać za ocalonych. Dorożkarz natychmiast po ich wyjściu zaciął konie, nawrócił ku kolei i stanął spokojnie na rogu alei Jerozolimskiéj: furtka na ulicy Chmielnéj zamknęła się i dwaj ścigani zniknęli bez śladu przed czujném okiem policyi. Nieznajomy wprowadził staruszka po ciemnych schodach na pierwsze piętro, do sklepionego pokoiku. Staruszek szedł za swoim przewodnikiem machinalnie jak lunatyk — blada twarz jego i sztywne oczy wyglądały jak gipsowa maska, na któréj przerażenie zastygło i znieruchomiało.

— Tu jesteśmy bezpieczni — rzekł przewodnik i puścił jego rękę; poszedł w kąt izby, by zmienić ubranie. Staruszek nie ruszył się wcale z miejsca, w którém go zostawił przewodnik — z ręką wyciągniętą, jak gdyby go jeszcze prowadzono, stał na środku pokoju, jak manekin.

— Zdejm pan to ubranie — trzeba je wyprać, są na niém ślady krwi — odezwał się znowu towarzysz, zbliżając się do staruszka.

Staruszek sztywne oczy zwrócił na ręce i począł dłoniami mazać po rękawie nieprzytomnie i cichym szeptem powtarzał jak dziecko:

— Są na nim krwi ślady — tak, tak, są na nim krwi ślady — jéj krwi.... Ręka jéj odcięta pełzła ku mnie i pisze krwią po podłodze jakieś straszne słowa. Patrz tam, czytaj — o! — Nie mogę czytać. —

Tu starzec począł przecierać oczy i z wysileniem wytrzeszczał je w stronę podłogi.

— Nie, nie mogę przeczytać, krew pisze i maże. Kto tam wie, co napisane? Może przekleństwo. Ale za co? za co?

Czoło starca pofałdowało się zmarszczkami, usta przedłużyły się — stulił ramionami i mówił daléj:

— Za co? To była moja ręka, moja własność. Tę rękę oddała mi przy ołtarzu — Nie, to nie ręka, to żmija, co kąsa. O! biegnie za mną — precz! precz! — zasłonił się rękami i począł nogą kopać, potém w przestrachu chwycił nieznajomego za ramiona i zawołał: uciekajmy!...

— Co panu jest? Przyjdź do siebie — mówił tenże, objąwszy starca w pół i usiłując go uspokoić. — Co panu jest?

Starzec opamiętał się, spojrzał na wołającego, potém na około siebie, usiłował zebrać zmysły i pamięć. Ale równocześnie z powrotem przytomności nastąpiło osłabienie; starzeć bezsilny, bezwładny upadł na ręce towarzysza i szepnął: jestem śpiący.

Nieznajomy dociągnął go do łóżka, rozebrał i położył — a sam zajął się gorliwie zatarciem śladów, któreby ich zdradzić mogły. Wyprał ze krwi ubranie starca, swoje zaś wyniósł pod strych do jakiéjś schówki. Od czasu do czasu zaglądał na starca, czy nie potrzebuje jego pomocy. Już pociemniało na dworze, staruszek nie przebudził się jeszcze. Nieznajomy ubrał się, zapalił małą latarkę i zabierał się do wyjścia; pierwéj jednak zbliżył się do staruszka. Staruszek spał mocno, oddech jego był ciężki, ale równy, usta otwarte — a pot kroplisty świecił na twarzy. Nieznajomy postawił przy nim zapaloną świecę, napisał ołówkiem kilka słów na karteczce i wyszedł na miasto.

Jakież było jego zdumienie i przerażenie, kiedy w pierwszéj cukierni, do któréj wstąpił dowiedział się, że komisarz żyje. Uderzenia sztyletu nieprawną kierowane ręką pokaleczyły go tylko, nie zadając żadnéj szkodliwéj rany. Niebezpieczeństwo więc wróciło znowu i to powiększone;

przypuścić bowiem należało, że policja poinformowana dokładnie przez komisarza, gotowa całą Warszawę przetrząsnąć, aby znaleść winnych. Gdzież więc ukryje starca na czas dłuższy? Przy zobostrzeniach ówczesnych ukrywanie podobne przez czas dłuższy było niemożliwém; potrzeba więc było coprędzéj wyprawić go z Warszawy. Nieznajomy przemyśliwał, w jakiby sposób przyprowadzić do skutku ten plan trudny i rezykowny. Niespokojny i pomięszany, wrócił do domu przed północą. Starzec spał jeszcze — resztki świecy dopalały się przy łóżku. Nieznajomy nie przerywał snu jego; zamknął drzwi starannie na klucz — opatrzył rewolwer, położył go na stole obok siebie i rzucił się na sofę na chwilowy spoczynek.

Następnego dnia wstawszy zdziwił się nieco, że staruszka ujrzał w téj saméj co wczoraj pozycyi śpiącego. Ten długi sen zaniepokoił go nieco, przystąpił do łóżka i wziął go za rękę. Puls bił silnie, pospiesznie. Nieznajomy potrząsł starca za rękę, a gdy to nie pomogło, powtórzył z większą siłą. Starzec podniósł niechętnie i ociężale powieki i spojrzał na budzącego.

— Wstań pan — rzekł gospodarz — spałeś bardzo długo.

Staruszek nie był w stanie trzymać dłużéj oczów otwartych, ciężki sen objął go znowu.

— Jesteśmy w niebezpieczeństwie — rzekł mu towarzysz do ucha alarmując go.

— Późniéj, późniéj — wyszeptał niezrozumiale staruszek — tylko.... się.... przespać.... mu....

Nie dokończył, machnął ręką i usnął.

Taki nienaturalny sen na serjo już zaniepokoił gospodarza; nie zważając więc na niebezpieczeństwo, na jakie się narażał, ukazując się w dzień na ulicy,

pobiegł po znajomego doktora. Opowiedział mu cały stan rzeczy, nie miał bowiem potrzeby taić się przed nim, gdyż ten równie należał do tajnego związku narodowego. Doktór po zbadaniu chorego uspokoił jego obawę, mówiąc, że sen ów jest właśnie zbawieniem dla starca, że prócz silnego osłabienia, innych skutków to mieć nie będzie; dlatego trzeba będzie chronić potém starca od wszelkich gwałtownych wzruszeń i wzmacniać jego siły stosownèm pożywieniem.

Trzy całe doby trwał ten ciężki, uporczywy sen starca; przez ten czas nieznajomy otaczał go prawie synowskiém staraniem, nie odstępując prawie od jego łóżka; a jeżeli zmuszony potrzebą wychodził na miasto, zostawiał zwykle kartkę przy łóżku chorego, aby tenże gdy się przebudzi, nie zostawał długo w niepewności, co się z nim dzieje i gdzie się znajduje. Trzeciego dnia kiedy nocą wrócił do mieszkania, zastał starca siedzącego już na łóżku; staruszek przeciągnął się, aż stawy wszystkie zachrupotały, potém zaspanemi oczami począł rozglądać się w koło siebie, wreszcie zwiesił głowę na piersi, wsparł się łokciem o łóżko i rzekł:

— Czuję się mocno słabym.

— To przejdzie. Doktór mnie uspokoił w tym względzie — ten długi sen ochronił cię od choroby.

— Czy ja długo spałem?

— Trzy dni i trzy noce.

— Trzy dni i trzy noce? Więc to już trzy dni minęły od téj chwili? Czy policja nie wpadła jeszcze na trop?

— I nie wpadnie wcale — komisarz nas nie wydał.

Staruszek roześmiał się ironicznie.

— O nieboszczyków byłem spokojny.

— On żyje.

— Co? — wrzasnął starzec, wlepiwszy w towarzysza wzrok niespokojny, obłąkany — on żyje?

— Żyje; ale nie masz potrzeby obawiać się go — on nasz. Zamach na jego życie dokonany wśród dnia, przy takich ostrożnościach, jakiemi się otaczał, przeraził go i poddał pod rozkazy naszego rządu. Dziś jest jednym z najużyteczniejszych naszych członków; przez niego jesteśmy uprzedzani o aresztowaniach, jakie mają nastąpić, o tajemnicach cytadeli.

Starzec długo nie mógł wyjść z osłupienia, stał jak człowiek, któremu piorun upadł przed nogami — słowa nieznajomego złowrogo brzęczały mu w uszach. On własne życie postawił na kartę, by się zemścić na wrogu swoim — w kilku godzinach przeszedł całe piekło udręczeń, śmiertelnéj obawy, aby tylko zadość uczynić pragnieniom swoim — a tu nagle dowiaduje się, że ten człowiek żyje. Nie chciał temu uwierzyć.

— Wy mnie zwodzicie — rzekł nieprzytomnie.

— Jakiżbym miał w tém cel? Patrz, jeżeli znasz jego pismo, to czytaj. Tu jest jego wyznanie, w którém żałuje swych przewinień i oddaje się nam cały.

— I zdradzi was, jak mnie zdradził.

— Niepodobna. Każde doniesienie podpisuje własném nazwiskiem, ten warunek położono mu, aby się zabezpieczyć od jego zdrady i mieć broń przeciw niemu.

Staruszek chwycił namiętnie papier, spojrzał — potém zacisnął go w rękach, zmiął i z zaciekłością rzucił pod nogi nieznajomego.

— Pan zdajesz niezadowolniony, żeśmy naszém poświęceniem pozyskali sprawie tak użytecznego człowieka?

Staruszek roześmiał się gorzko, ironicznie.

— Ja się mam cieszyć? ja? ja? — Ten człowiek wydarł

mi, co miałem najdroższego w życiu, zburzył mi i zdeptał całe moje szczęście, odjął mi wiarę w przyjaźń, w miłość i ja się mam cieszyć, że ten człowiek nie skonał pod moim sztyletem, że jest ocalony?

— Nie byłbym współuczestniczył z panem w tym zamachu, gdybym był wiedział, że takie pobudki skłaniały pana do tego — rzekł chmurnie nieznajomy. Ja sądziłem, że miłość ojczyzny, że chęć oswobodzenia rodaków od prześladowań tego człowieka, skłoniła pana do tego czynu — a to była tylko zemsta, proste morderstwo.

Starzec niespodziewał się takich słów od młodego człowieka, uczuł się niemi upokorzony, zawstydzony — spuścił oczy ku ziemi i długo nie wiedział, co powiedzieć na swoje usprawiedliwienie — wreszcie się odezwał nieśmiało:

— A cóż was skłoniło do otwartéj i skrytéj walki z wrogiem, jeżeli nie zemsta? Mścicie się za ucisk tylu lat, za straszne pogrzeby, jakie wam Moskwa wyprawia na wałach cytadeli — za tłumy pędzone w sybirskie śniegi — a ja, ja mszczę się za siebie — i w tém cała różnica.

— Gdy tak było — odrzekł nieznajomy uroczyście, spokojnie — wtedy trzebaby załamać ręce z rozpaczy nad Polską, że na ofiarę takiemu niechrześciańskiemu uczuciu rzuca tyle tysięcy ludzi. Nie, nie podnieśliśmy oręża, aby się mścić za przeszłość, ale aby sobie wywalczyć wolność na przyszłość. Wina to wieku, społeczeństwa, że idziemy do téj wolności przez krew, chwytając z kolei za kosę lub sztylet: ale nie mogło być inaczéj; samą siłą ducha nie złamiesz bagneta, co twojéj piersi grozi — na takie zwycięztwa jeszcze nie czas, duch jeszcze za słaby. Wiara w taką moc duchową kosztowała nas już tysiące ofiar — bezowocnie

więc zmieniliśmy broń — zamiast pieśni Tyrteuszowych porwaliśmy za maczugę Herkulesa, by z gadów oczyścić drogę, którą ma przyjść nasza wolność. Ta wielka idea, za którą walczymy, uświęca nas. Bez téj idei czémże byłbym ja, broczący ręce w krwi mego bliźniego? Zbrodniarzem, skrytobójcą — z nią jestem tylko wykonawcą sprawiedliwości. Spełniam wyrok trybunałów narodowych, uprawnionych jak każdy inny — spełniam go bez nienawiści i zemsty i chętnie podam dłoń temu, przeciw któremu niósłem ostrze sztyletu, jeżeli z wroga stanie mi się bratem. Wszak i pan to samo uczynisz, nieprawda?

To mówiąc przystąpił do staruszka, uścisnął go serdecznie za rękę i patrzał z miłością w jego oczy, czekając na odpowiedź. Staruszek pod wrażeniem słów jego stał jakiś czas zamyślony — chwilowo wzruszenie znać było na jego pomarszczonéj twarzy; prędko jednak otrząsł się z pod tego wrażenia, wyrwał z pośpiechem dłoń swoją z ręki nieznajomego i rzekł prędko:

— Nigdy — nigdy.

Nieznajomy utopił w niego oczy z politowaniem i milczał. To milczenie zakłopotało starca, czuł potrzebę usprawiedliwienia się:

— Ty nie wiesz mój młody człowieku, przez jakie okropne cierpienia dobiłem się do téj wczesnéj starości, w jakich boleściach posiwiały moje włosy, ile łez było potrzeba, zanim te oczy zbladły, zanim serce nienawidzić poczęło. Ze wszystkich uczuć, jakie otaczały moją miłość, nie zostało nic, prócz téj nienawiści. Ona była jedynym towarzyszem samotnika, jedyną pociechą moją. Tobie dziwno może, że można tak pokochać nienawiść — a jednak tak jest. Gdym sobie nieraz pomyślał, ile ludzie złego mi uczynili, to jedynie to spra-

wiało mi ulgę, że ich nienawidzę; potęgowałem tę nienawiść w sobie i przywiązałem się do niéj. I ty teraz chcesz, by to uczucie, co wypełniało moje życie, co mi było jedynym druchem, pocieszycielem, bym to uczucie wygnał od siebie? Starość nie pozbywa się swych przywyknień bez ofiary.

— Tém większa zasługa, jeżeli się pozbywa ich z ofiarą. Tylu ludzi poświęca dziś dla sprawy swój majątek, swoje życie, szczęście domowe — a tobie trudno poświęcić nienawiść? trudno przebaczyć temu, który teraz zaprzągł się z nami do wspólnéj pracy.

— Jemu przebaczyć? nigdy, nigdy — rzekł zacięty staruszek. Jeżeli on z wami, to ja....

— Przeciwko wam — dokończył z pół-uśmiechem pobłażliwym nieznajomy. Staruszek się opamiętał.

— To ja — dokończył — nie przeciwko wam, ale i nie z wami. Bądź pan zdrów.

To rzekłszy staruszek wstał i z pośpiechem zaczął się ubierać.

— Gdzie panu tak spieszno, zostań przynajmniéj, aż się dzień zrobi — rzekł ze słodyczą i łagodnością nieznajomy. Rad nie rad musisz pan choć do rana być z nami, być moim przyjacielem.

— Dla pana jestem nim zawsze — rzekł staruszek wzruszony i podał dłoń towarzyszowi.

Ten trzymał długo podaną prawicę, patrzał w twarz starca i rzekł:

— Pan nie jesteś tak zimny, jakim się chcesz wydawać.

Staruszek wysunął prędko dłoń swoją i nie patrząc mu w oczy rzekł:

— Nie mówmy o tém.

Nastała chwila długiego, przykrego milczenia —

nieznajomy wstał, przeszedł się parę razy po pokoju, potém zatrzymując się przed starcem odezwał się:

— Pan chcesz być moim przyjacielem? Więc jako przyjaciela proszę o jednę posługę. Życie moje niepewne, wśród ciągłych niebezpieczeństw, na jakie potrzeba się narażać, mogę się łatwo spodziewać, że lada chwila zmienię tę cichą kryjówkę na kazamaty cytadeli, lub co gorszego jeszcze — a nie chciałbym, żeby wtedy jedna rodzina została bez opieki. Czy nie będzie ci za ciężki ten trud?

— Któż jest ta rodzina? spytał staruszek, który spętany dobrocią gospodarza, nie był w stanie być dla niego takim, jakim był dla innych.

— Jest to młoda kobieta z dzieckiem, mieszkają na Tamce — dam ci ich adres. Jeżeli się dowiesz, że mnie pochwycono, zajmij się losem téj kobiety, bo jest w nędzy. Trzeba jednak, abyś tego dopełniał z całą delikatnością, aby się nie domyśliła, że to wsparcie, jeno zapłata za pracę, którą jéj będziesz pozornie nastręczał. — Oto pieniądze, których użyjesz na ten cel — mówił wręczając mu pakiecik. Nadewszystko potrzeba, aby się nie domyśliła nigdy, że te pieniądze odemnie pochodzą. Pan patrzysz na mnie jak na waryjata, nie możesz zrozumieć téj tajemniczéj zagadki? Powiem ci ja, byś się serdeczniéj zajął tym interesem. — Ja...

Tu zawachał się nieznajomy, jakby mu brakło oddechu — po chwili westchnął i dokończył.

— Ja tę kobietę kochałem dawniéj.

— I porzuciłeś? — rozumiem.

— Nie, poszła za innego.

— Zdradziła cię.

— Nie kochała mnie — to nie jéj wina. Mąż jéj teraz rozpił się, stracił wszystko — rozumiesz teraz?

— I ty ją wspierasz, zajmujesz się nią? —

— Wszak ci mówiłem, że ją kochałem. Ale dość o tém, pamiętaj o mojéj prośbie, zastąp jéj ojca — z tą myślą będzie mi lżéj umierać. A teraz bądź zdrów — może się już nie znajdziemy nigdy.

To rzekłszy uścisnął starca za rękę i odwrócił się szybko ku oknu, by ukryć łzy i wzruszenie. Staruszek uszanował to i wyszedł; wyszedł nawet z pośpiechem, by się coprędzéj wydostać z téj atmosfery nieznajomego, w któréj jego nienawiści ku ludziom tak trudno było oddychać. Idąc ulicą Chmielną ku Nowemu-Światu, myślał ciągle o nieznajomym, o cichém poświęceniu dla kobiety, która go zdradziła i dziwił się i nie mógł pojąć tego. Wśród tych rozmyślań ani spostrzegł, jak prędko znalazł się przed kościołem ś. Krzyża. Lampa oświecająca posąg Chrystusa ciągnącego krzyż, świeciła się jeszcze, choć świt biały już nastał; katakumby pod kościołem już były otwarte — w ciemnych podziemiach paliły się światła koło katafalku. Staruszek z ciekawości zatrzymał się, spojrzał na kartkę pogrzebową przylepioną na murze i zadrżał — przeczytał na niéj nazwisko żony komisarza. Odszedł szybko od tego miejsca; o kilka kroków jednak daléj zatrzymał się, jakby się naradzał i rozważał, wreszcie wrócił się i wszedł do katakumby.

Koło katafalku nie było nikogo — cisza była taka, że słychać było świérczenie palących się gromnic — przy ich migotliwym blasku blada twarz trupa zdawała się ruszać i wyciągać. Starzec stał długi czas nieruchomy, z oczami wlepionemi w trumnę — Bóg wie, jakie tam myśli przeciągały po głowie, na widok tego trupa, z którym tyle wspomnień się wiązało. W końcu ukląkł i począł się modlić. Potém, jakby się wstydził tego chwilowego rozczulenia, wstał prędko i wyszedł.

Koło kolumny Zygmunta skręcił ku Zjazdowi, minął zamek i szedł przez most na Pragę, by odetchnąć nieco wolniejszém powietrzem, bo czuł, że go coś przygniatało.

Zchodząc z mostu spostrzegł, że w stronę, gdzie on szedł, spieszyło mnóstwo ludzi i powozów. Powlókł się za nimi machinalnie i doszedł do stacyi kolei żelaznéj, gdzie zobaczył tłum ludzi. Dowiedział się, że przyczyną zebrania był transport skazanych na Sybir. Skazani stali ścieśnieni w kupie, odgrodzeni od krewnych i znajomych szeregiem żołnierzy. Staruszek obchodził w koło więcéj z ciekawości, jak litości i przyglądał się wynędzniałym twarzom więźniów. Naraz stanął, zgarbiona postać jego wyprostowała się i zesztywniała, zżółkła twarz stanęła w płomieniach, oczy zaiskrzyły się mocno i wpatrzyły w jeden punkt. Tam między skazanymi stał jego syn — wyrodek. Poznał ojca i ze spuszczoną głową, pokorny, błagający patrzał ku niemu. Stary odwrócił się z gniewem i pogardą — drżącemi rękami rozpychał tłum, który mu zawadzał i z gorączkową niecierpliwością starał się wydostać z tego miejsca, uciec od niego jak najdaléj. Zdyszany, zmęczony dobiegł do mostu, tu przystanął nieco, oparł się o poręcz i otarł spotniałe czoło. Już wypoczął dostatecznie, a jednak nie odchodził jeszcze, wachał się i walczył sam ze sobą — uczucie miłości rodzicielskiéj i litości walczyło w nim z jego zakamieniałą nienawiścią i zaciętością. Wstawał pokilkakroć i chciał odejść; ale jakaś siła ciągnęła go napowrót — wrócił się więc, umyślnie zwalniał kroku, czasami przystawał, ociągał się, ale wreszcie doszedł. Nie pchał już naprzód, stanął opodal na boku i przez głowy drugich patrzał. Był roztargniony, ciągle się kręcił niespokojnie, nadeptywał drugim na nogi, potrącał — nie wiedząc wcale o tém.

Zadzwoniono po raz drugi. Więźniowie i ich krewni posyłali sobie wzajemnie ostatnie pożegnanie. Jego syna nikt nie odprowadzał, nikt nie żegnał. Widział go stojącego osamotnionego i ponuro patrzącego w ziemię.

Żołnierze podnieśli karabiny na ramiona i dano znak, by szli ku wagonom — ruszyli się. Staruszek rozepchnął tłum, co go dzielił od więźniów — zbliżył się do nich z gorączkowym pośpiechem i wyciągnąwszy drżącą rękę przez ramię żołnierza zawołał:

— Bądź zdrów Auguście.

Syn uchwycił rękę ojca z namiętną radością, słowa utkwiły mu w gardle, przemówić nie mógł, tylko łzami podziękował za przebaczenie.

Wnet żołdacy rozerwali ich ręce i pognali więźniów do wagonów.

Staruszek długo jeszcze stał na tém miejscu, nieruchomy, zapatrzony. Świst lokomotywy poruszył go, spojrzał raz jeszcze na odjeżdżający pociąg — wśród lasu rąk rzucających z wagonów pozdrowienie, szukał ręki syna. Wreszcie pociąg zniknął, a staruszek powolnym, osłabionym krokiem powlókł się ku domowi.

XI.

Osłabienie z każdém krokiem się powiększało, czuł wielką duszność w piersiach, zamęt w głowie, w oczach mu się ćmiło. Kiedy się dowlókł do ulicy Mostowéj był już tak osłabiony, że musiał się trzymać muru, aby nie upaść; na oczach ciążyła jakby mgła — już ledwie mógł namacać furtkę i poręcz od schodów — wreszcie stracił przytomność i upadł. — Zrobił się hałas w domu, mieszkańcy powychodzili, wniesiono go na górę, ale nikt dłużéj nie zabawił u mruka, bo nie lubiono i wstręt miano do tego zimnego, zamkniętego starca. — Jedna tylko stolarka opiekowała się chorym, który kilka dni leżał bez przytomności w mocnéj gorączce; ledwie na krótki czas odchodziła do swoich zatrudnień.

Jednego dnia, gdy właśnie zajęta była u siebie przyrządzaniem posiłku dla starca, ten wskutek przesilenia choroby przyszedł właśnie do przytomności. Zdawało mu się, że się z jakiegoś ciężkiego, niemiłego snu obudził. Najprzód rozpatrywał się, gdzie jest, po-

znał swoją izdebkę, tylko zauważył, że wygląda schludniéj niż przedtem. Zwrócił oczy na stolik, zobaczył lekarstwa, rozkrajaną cytrynę, resztki jedzenia i ślady starannéj ręki. Usiłował zebrać zmysły i przypomnieć sobie, co się z nim stało, ale nie mógł. Wtem weszła stolarka, niosąc dymiącą się polewkę dla niego. Staruszek wpatrzył się w nią dziwnie, głupkowato.

— Więc to ty? ty tak dbasz o mnie?

— Któżby dbał, pan tu nie masz nikogo.

— Ależ ty kobieto powinnaś mnie niecierpieć, ja nie miałem nad tobą litości.

Stolarka była w kłopocie, co na to powiedzieć; ona czuła, że to co robiła było dobrém, tak jéj kazało serce i religja, ale powiedzieć tego nie umiała. Zamiast odpowiedzi podała mu lekarstwo.

— Kto to przepisał?

— Doktór.

— Czy ja dawno tak leżę?

— Od dwóch tygodni.

Staruszek zrobił wielkie oczy.

— Od dwóch tygodni? I ty wciąż opiekowałaś się mną?

Ta dobroć i troskliwość kobiety, która miała wszelkie prawo nienawidzić go i nieznać, zadziwiła go i zastanowiła. Długo skurczony, jak skaleczony robak leżał na łóżku — wzrok sztywny utkwił przed siebie w podłogę i silił się zrozumieć, co tę kobietę skłoniło, że się nim zajmowała — duch jego pracował nad odgadnieniem tajemnicy przebaczenia. Wśród tego namysłu wyraz jego twarzy łagodniał, oczy rozjaśniały się błogą pogodą, i nigdy niewidziany uśmiech szczęścia rozsiadł się na jego ustach.

— Zacna z ciebie kobieta — rzekł i wziąwszy jéj

rękę poniósł ją do ust, by pocałować. Zażenowana kobiecina chciała cofnąć rękę, ale nie śmiała.

On ucałował z czcią tę pracowitą rękę, potém położywszy ją na swéj pomarszczonéj twarzy rzekł do stolarki:

— Patrz — czujesz? To łzy. Ja już dwadzieścia kilka lat nie płakałem; wszystko zostawało tu w piersiach — i piekło mnie i paliło mnie. O! dziś mi dobrze. —

I rzeczywiście od tego dnia było mu lepiéj i fizycznie, choroba się przesiliła i zdrowie widocznie z każdym dniem się polepszało. Po kilku dniach mógł już wstać i o lasce przechadzać się po izbie. Tego dnia powlókł się zaraz naprzeciwko do stolarki — przesiedział tam wieczór cały kołysząc małą sierotkę i rozmawiając z jéj matką. Jakoś mu tam dziwnie dobrze było; od ciepła chrześciańskiéj miłości, jakie wiało z życia i słów téj prostéj kobieciny, zamrożone serce staruszka odtajało, ożyło — jakby druga wiosna rozkwitała w jego duszy. Kiedy odchodził od niéj, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Pozwól, że ja tu częściéj do was zajrzę pogawędzić, rozweselić się. Będę wam ojcem i przyjacielem, bo ja nie mam nikogo — rozumiesz, nikogo na świecie.

Kiedy wrócił do siebie, był rozpromieniony, szczęśliwy.

— Są dobrzy ludzie — szepnął — dzięki Ci Boże za ten jasny promyk, co padł na moje siwe włosy.

Złożył ręce i chciał uklęknąć do modlitwy. Wtem usłyszał hałas i ruch pospieszny na schodach. Drzwi się otwarły i wpadł do izby nieznajomy, a z nim drugi jakiś człowiek.

— Jesteśmy ścigani, ukryj nas — rzekł zadyszany nieznajomy. Szybko podniósł znajomą sobie deskę z po-

mocą starca i wsunął się w ciemny otwór. Za nim chciał postąpić jego towarzysz.

Staruszek spojrzał na tego człowieka, drgnął cały, krew uderzyła mu do twarzy i krzyknął:

— Julian. —

— Zginąłem — rzekł Juljan z rozpaczą poznawszy w starcu swego wroga.

— Zginiesz — rzekł starzec z naciskiem; puścił deskę i z mściwą radością patrzał na śmiertelną trwogę swego nieprzyjaciela, który zbladł jak ściana, słysząc na dole kroki zbliżających się żołnierzy. Staruszek pastwił się tym widokiem.

Wtém z przeciwka dał się słyszeć śpiew rzewny; to stolarka śpiewała jakąś pobożną pieśń. Staruszek zachwiał się, wyraz jego twarzy zmienił się, zmiękł jak wosk pod wrażeniem téj pieśni — wziął za rękę uwodziciela swéj żony, podniósł deskę i rzekł łagodnie:

— Wejdź!

Potem nakrył go znowu, jakby wiekiem od trumny, usiadł i czekał przybycia żołnierzy.

Wpadli za chwilę pijani z hałasem do cichéj starca izdebki, przetrząsnęli wszystko, przewrócili do góry nogami — i nic nie znaleźli. Wśród czterech prawie pustych ścian izdebki trudno było przypuścić, że się ktoś mógł ukryć. Poszli więc szukać daléj; ale żal im było odchodzić z niczem; poturbowali więc trochę staruszka, a jeden z pijanych żołnierzy odchodząc, uderzył go kolbą w piersi na pożegnanie. Uderzenie to dla starca, co świeżo z ciężkiéj podniósł się niemocy, było śmiertelne. Krew rzuciła mu się wnet ustami, zachwiał się i upadł.

Kiedy stolarka przestraszona hałasem i niespokojna o staruszka wpadła do jego mieszkania, zastała go już

bladego i mocno zmienionego; cień śmierci rozsiadł się już w załomach jego twarzy, zimny kroplisty pot wystąpił na czoło. Chciała biedz po doktora — zatrzymał ją i rzekł ciężko oddychając:

— Już późno. Za chwilę skończy się wszystko. Umrę spokojny, tyś mnie pogodziła ze światem; ty i jeszcze jeden człowiek nauczyliście mnie cierpieć szlachetnie i przebaczać. Tam — pod tą deską ukrywa się człowiek, który zabił moje szczęście, zepsuł całe moje życie — tego człowieka ocal! —

Głos coraz bardziéj cichnął — oczy zaszły już mgłą, ciało ziębło. Staruszek podniósł jeszcze głowę do góry i z wysileniem wyszeptał:

— *„Odpuść nam, jako i my odpuszczamy!“*

KONIEC.

III.

SYRENA.

I.

Wilija Bożego-Narodzenia.

Ogromne śniegi przysypały pola i zawiały drogi; gdzie spojrzeć, wszędzie gładko i biało, jakby białym obrusem nakryto ziemię do dzisiejszéj wieczerzy; kępki świerków zielenią się na niéj niby choinka dla dzieci, a w górze na niebie zapalano już tu i owdzie gwieździste świeczniki. Na czerwoném tle zachodniego nieba czerni się krzyż, wpół już przegniły i zielonym mchem porosły od starości, koło niego kilka krzaków głogowych, z których podlatujące wrony otrząsają strzępy śniegu.

Od krzyża szedł ku wsi przez zaspy śniegu jakiś sołdat w długiéj, podartéj szyneli, z tobołkiem na plecach, wygoloną głowę przykrywała okrągła czapka bez daszka, mająca wiele podobieństwa do miski. Sołdat niemłody już i zmęczony drogą powoli i z trudnością posuwał się naprzód, zostawiając po sobie dziwne ślady w śniegu, które szły za nim jak łańcuch za nogę więźnia. Łańcuch ten składał się z odcisków lewéj stopy

powiązanych ze sobą, niby ogniwami, dziurami, jakie zwykła robić okuta laska głęboko w ziemię wbita. Były to znaki szczudła, które zastępowało prawą nogę, zostąwioną w szpitalu w jednéj forteczce kaukazkiéj. — Zamiast nogi, przyczepiono mu na piersiach małą wstążeczkę kolorową z ołowianym medalem.

Z nadchodzącym zmrokiem mróz się wzmagał, niebo coraz silniéj iskrzyło się brylantowemi połyskami gwiazd, pod nogami śnieg coraz więcéj skrzypiał i chrupiał. Mimo to twarz żołnierza szkliła się od potu, resztką sił zwalczał znużenie, kopał się i grzebał przez śnieg z gorączkowym pośpiechem — a siwe oczy wytężał co chwila ku wiosce w tę stronę, gdzie się chwiały wysokie topole przyprószone śniegiem, poglądał na ten punkt jak żeglarz na szarzejący się zdala ląd. Doszedł wreszcie do mostku, od którego rozpoczynała się wioska, tu oparł się o poręcz, chciał chwilę spocząć, odetchnąć; ale niepokój popchnął go znowu daléj.

Po chatach gorzały już ognie, krwawe ich połyski łamały się na zabrudzonych szybach okienek; żołnierz przechodząc rzucał w nie spojrzenia, widział twarze wesołe koło domowego ogniska; ten widok dodawał mu sił do pośpiechu i gnał go daléj.

— I mnie tam czeka takie ognisko, takie twarze i uśmiechy — za chwilę, nie długo — mówił zdyszanym głosem — idźmy, idźmy!

Koło karczmy zatrzymał go stróż nocny.

— Kto idzie?

— Swój, swój. Posłuchaj ty bracie, czy...

Zawahał się, chciał i bał się zarazem zapytać, pytanie w połowie uwięzgło mu w suchém gardle.

— O cóż chcieliście spytać?

— Czy dziedziczka żyje? — sołdat wyrzucił z po-

śpiechem to pytanie i przerażone, niespokojne oczy zatrzymał na ustach chłopa.

— A jakże, żyje.

Nie chciał pytać już o nic więcéj i prędko poszedł ku dworowi. Gdy się zbliżył do sztachet otaczających ogród, wpośród którego bieliły się mury ozdobnego pałacyku, osłupiał ze zdumienia, przetarł oczy, jak człowiek usiłujący się ze snu wybić, obejrzał się w koło i szepnął:

— Co to jest? — To nie tu.

Ale zobaczył przy drodze murowaną kapliczkę, przed którą lud zwykle majowe odprawiał nabożeństwo, poznał ją po kamiennych schódkach wygniecionych kolanami, po téj zardzewiałéj kracie we drzwiach, ubranéj w uschłe ziele, i rzekł znowu do siebie:

— Jak się tu wiele zmieniło — a ludzie czy także?

Wsunął się przez żelazną bramę do ogrodu, przemknął się cicho między białemi szpalerami i zbliżył się pod jedno duże weneckie okno, z którego jasna kolumna światła padała na ogród. Serce poczęło mu bić gwałtownie; podniósł się na palcach i zajrzał w głąb pokoju. Przed dużém zwierciadłem siedziała młoda kobieta, twarzy jéj nie widział, ale widział odsłonięte ramiona, mające kształty greckiego posągu i białość marmuru oblanego różowém światłem; po ramionach miękkie, czarne połyskliwe włosy, które pokojówka stroiła w téj chwili w girlandę z białych hyacentów. Suknię miała na sobie różową, płonącą. Kiedy służąca odsunęła się nieco na bok, sołdat ujrzał w głębi lustra twarz téj kobiety. Dreszcz i gorąco przeszły po nim, osłupiał z podziwu a zarazem uczuł jakąś tajemną trwogę na widok téj twarzy, która przy swéj piękności niezwyczajnéj miała coś demonicznego; czarne podłużne oczy były jak noc pełne nieodgadnionych tajemnic.

— Nie, to nie moja Paulinka, ona nie mogła być tak piękną. A przytém, gdym ją raz ostatni żegnał, miała włoski jasne! — Ale któż ta? —

Chciał już odejść ku drzwiom, gdy do pokoju wszedł jakiś mężczyzna średniego wieku, twarz jego miała dziki smutek a ruchy były gwałtowne, niespokojne. Wszedłszy stanął we drzwiach, spojrzał ponuro na kobietę siedzącą przed zwierciadłem; potém skinieniem ręki kazał służącéj oddalić się i postąpił na środek pokoju.

— Wieczerza na nas czeka.

— W téj chwili będę gotową — odrzekła słodkim, dźwięcznym głosem kobieta wkładając na szyję sznur pereł.

Sołdat przypatrujący się téj scenie z za okna, nie mógł pojąć dlaczego słodki ton mowy téj cudownéj kobiety podrażnił mężczyznę. Zbliżył się do niéj szybko, chwycił ją gwałtownie za rękę i topiąc w niéj głębokie, wciskające się spojrzenie, spytał stłumionym głosem:

— Dla kogo się tak stroisz? —

Odchyliła w uśmiechu szereg białych zębów, rzuciła na niego spojrzenie błyszczące, ogniste i rzekła:

— Dla ciebie, dla ciebie.

— Kłamiesz. Tyś się dla niego wystroiła, ty wiesz, że on tu dziś przybędzie. Przybędzie, co? —

— Nie wiem o kim mówisz.

Mężczyzna rozśmiał się dziko, spazmatycznie, załamał ręce i syknął:

— O! jak ty udawać umiesz. Powiedz, czy ciebie szatani uczyli téj sztuki?

Gniew przeszedł w wściekłość, przyskoczył ku niéj jak tygrys raniony. Nie wzdrygnęła się ani ulękła, patrzała mu prosto w oczy.

— Więc dla mnieś się ustroiła tak? Dobrze. Ten strój więc do mnie należy.

To rzekłszy, zrucił z jéj głowy gierlandę hyacentów i rzucił ją pod nogi, chwycił za perły, rozerwał, perły jak łzy potoczyły się po jéj piersiach, za gors, na ziemię i dzwoniły po posadzce.

Ona nie rzekła ani słowa, uśmiech czuły, anielski nie zeszedł z jéj twarzy, tylko spojrzeniem palących, czarnych oczów przygniatała tę burzę wściekłości jak muzyk rozszalałe klawisze. Nie mógł znieść tego spojrzenia i spuścił oczy.

— Czy już się zadowolniłeś? — spytała go po chwili łagodnie. — Teraz chodź i przeproś.

I wysunęła naprzód dwoje białych rąk, na których błyskały bransolety. Temi słowami pokonała go do reszty, przygniotła wzdęte bałwany jego gniewu, rzucił się przed nią na kolana i ustami jak pijawka uczepił się jéj rąk.

— Dziecko z ciebie Edwardzie — rzekła z dobrocią kładąc jego rozpaloną głowę na swoich kolanach i topiąc ją między różowe atłasy.

— Irreoltemo! — szeptał mężczyzna — zapomnij o tém co było.

— Nie mówmy o niéj.

— O, ja wiem, że ja jestem zły, bardzo zły dla ciebie nieraz. Ale to dla tego, że cię kocham. Ty nie pojmujesz jak szalona zazdrość męczy mnie o ciebie, jak pali ona mnie i gna niby Erynya. — Pochwyciłem kilka spojrzeń waszych i zbudowałem na nich cały gmach domysłów, które mnie gniotą. O! niech Bóg broni, żeby ten gmach miał zwalić się na was, ludzie nie doszukaliby się trupów waszych wśród tych gruzów. Ty go nie kochasz, prawda?

— Kogo? —

— Brata mego.

Uśmiechnęła się z pobłażaniem i położyła swoje usta na jego ustach. Odsunął się od téj pieszczoty.

— Unikasz odpowiedzi? Pocałunkiem chcesz mi zamknąć usta. Mów, odpowiadaj, mnie potrzeba słów, przysięgi.

— Czy nie słyszałeś jéj przy ołtarzu?

— Prawda. O jaki ja szalony, jak dziecinne me zachcenia. Widzisz, ja zmysły tracę. Nieraz kiedy myśli zapuszczę między czarne podejrzenia, to mi się mąci w głowie, boję się wtedy o mój rozum, bym resztek jego nie stracił.

— To nerwowy rozstrój. Zaniedbujesz się w leczeniu, to mi przykrość sprawia.

— Czy naprawdę tak dbasz o moje zdrowie? — spytał, patrząc jéj z miłością w oczy.

— Ostatnia paczka proszków nie tknięta jeszcze leży u mnie.

Wstała do biórka, otworzyła szkatułkę i wyjęła z niéj jeden proszek.

— Proszę go zażyć, bo inaczéj będę się gniewać.

— Będę ci posłuszny jak niewolnik — odrzekł całując ją w rękę

Zadzwoniła. Wszedł stary, siwy służący.

— Przyrządź panu ten proszek z sokiem malinowym i przynieś tutaj.

Po odejściu służącego wzięła go za rękę, poprowadziła ku kanapie i rzekła:

— Lekarstwo cię uspokoi.

— Twoja dobroć, to jedyne lekarstwo moje.

— To dodatek do lekarstwa — i nachyliła się ku niemu z pocałunkiem.

Wstrząsnął się cały od dotknięcia jéj ust.

— Co ci jest?

— Twoje usta takie zimne Irreoltemo; aż dreszcz mnie przeszedł na wskróś.

Uśmiechnęła się uśmiechem dziwnym, przymusowym.

— To właśnie dobrze, lodu ci potrzeba na twoje gorączki.

— A tobie mojego ognia, mój marmurowy posągu, moja Galateo.

— Pigmalionie — rzekła słaniając się w jego objęcia i czepiając się rękami jego szyi — Pigmalionie! niedobry Pigmalionie.

W téj chwili sanki zadzwoniły przed pałacem. Pigmalion zerwał się i spojrzał bystro w oczy kobiety.

— Ha! na ten odgłos tyś drgnęła, słyszałem jak ci serce zabiło silniéj i z pośpiechem, tyś się domyśliła, że to on!

Chwycił się za włosy, zatargał niemi i zawołał podniesionym głosem z rozpaczą:

— Boże! kto mnie przekona, że ta kobieta mnie nie zwodzi?

Soldat stał cały ten czas za oknem i był swiadkiem sceny, z któréj nie wiele rozumiał. Gdy sanki stanęły przed pałacem, usunął się zpod okna i poszedł ku drzwiom, w których ukazało się światło. Jakiś młody, wysoki mężczyzna w wojskowym mundurze wyskoczył ze sanek, zrzucił z ramion futro na ręce służącego i zniknął w sieni.

— Weźcie tłumoczek i chodźcie za mną — rzekł służący do żołnierza, którego wziął za sługę pułkownika.

Żołnierz odurzony tém wszystkiem, co się w koło niego działo, wziął machinalnie kuferek ze sanek i poniósł go do przedpokoju. Postawił na ziemi, obejrzał się w około, jakby się chciał orjentować, potém zbliżył się do służącego i spytał:

— Powiedzcie mi, moi drodzy, kto tu właściwie mieszka?

— Alboż nie wiecie? Brat waszego pułkownika.

— Brat pułkownika.... no! no! — rozumiem. Ależ tu dawniéj inni ludzie mieszkali; gdzież oni? gdzież ten mały dworek się podział, co tu stał w ogrodzie?

— Więc wy tutejszy, wy znaliście, jak tu dawniéj było? —

— Znałem, znałem, ale przez Bóg żywy powiedzcie, co się stało z dawnymi dziedzicami téj wioski? —

— Smutne rzeczy.

Żołnierz zbladł — drżące wargi posiniały.

— Umarli? —

— Bóg to wie. Pana za jakieś spiski w czterdziestym szóstym roku pojmano w drodze, gdy jechał do Warszawy. Miał wtedy przy sobie małego synka.

— I ten syn nie wrócił do rodziny?

— Nie, nie wrócił. Potém zjechali jacyś starsi tu do nas, i powiedzieli, że wioska należy do rządu, że będzie puszczoną na licytacją. Pani do nóg im się rzuciła — nie prosiła o majątek, prosiła tylko, by jéj powiedziano, co się z mężem stało.

— I nie powiedziano jéj?

— Nie. Ruszali tylko ramionami i mówili: nie wiemy. Kazano jéj w przeciągu miesiąca opuścić wieś — nie czekała tego terminu i w niespełna dwa tygodnie odjechała. — Żal mi było téj dobréj pani, rzuciłem się jéj do nóg, prosiłem, by mnie zabrała z sobą, bom się przywiązał do ich domu jak pies wierny.

— Ty masz rodzinę — rzekła mi na to — ty musisz żyć dla niéj. Rodzina twoja przeklinałaby mnie, jak ja teraz przeklinam tych, którzy mi męża mojego zabrali.

— Więc zostań pani z nami — prosiłem. Prośba

szła z serca, ale ją widać obraziła, bo nie odrzekła nic, odwróciła się odemnie, kazała mi pakować rzeczy do drogi. Dumna była pani.

— I gdzież, gdzież pojechała?

— Pytałem ją o to, odpowiedziała: nie wiem; pójdę szukać pracy, którąbym wyżywiła siebie i moje dziecko.

— Więc ani śladu po nich. Boże, Boże, to okropnie — zaryczał boleśnie stary sołdat.

Służący spojrzał na niego osłupiały, wpatrzył się w niego i zapytał:

— Któż wy więc jesteście?

— Nieszczęśliwy — odrzekł żołnierz — zasłonił twarz rękami, upadł na krzesło i począł płakać.

— Jakto? więc pan jesteś...

Silne pociągnięcie poruszyło dzwonek w téj chwili. Służący nie uważał tego, ukląkł przed żołnierzem ze łzami w oczach, i drżącym głosem rzekł:

— Panie, mój, panie mój złoty.

Dzwonek powtórnie, gwałtowniej zabrzęczał.

— Wołają mnie. Za chwilę wrócę.

Wszedł do pokoju, w którym dwaj bracia siedzieli więcéj milcząc jak rozmawiając.

— Trzecie nakrycie — rzekł pan domu do wchodzącego sługi.

— Nieparzysto — wtrącił służący.

— Rób jak kazałem.

Służący wyszedł.

— Co on chciał przez to powiedzieć? — spytał pułkownik.

— Że jedno z nas trojga umrze tego roku, bo nas dziś nieparzysto będzie przy wieczerzy. Taki jest przesąd ludu — rzekł i popatrzył ponuro na brata.

— Śmieszny przesąd.

— I ja tak myślę, a jednak łamiąc go, doznaję

niejakiego skrupułu, ten przesąd miała i matka nasza. Ty pamiętasz ją Konradzie?

— Jak przez mgłę. Wcześnie oddany do szkoły wojskowéj, tak mało byłem z wami razem. Musiano mnie nie lubieć w domu, kiedy mnie tak wcześnie z niego wydalono.

— Temu przesąd był winien.

— Dziwna rzecz, jestem ofiarą tego, w co najmniéj wierzę, czemu najmniéj się poddaję. — I jakiż przesąd pozbawił mnie miłości matki? —

— W dniu, w którym się urodziłeś, największe nieszczęścia dotknęły naszą rodzinę. Ztąd poczęto uważać cię jak złego ducha naszego domu.

Pułkownik skrzywił usta ironicznym uśmiechem.

W téj chwili drzwi od salonu skrzypnęły, zielona kotara się podniosła, i weszła do pokoju Irreoltema. Nie miała już pereł, ani gierlandy, kilka tylko kwiatków pozaczepiało się o jéj loki, jakby je spinały. Pułkownik wstał na jéj powitanie — brat jego śledził badawczo ich spojrzenia. Nic nie wyśledził. Irreoltema miała oczy spuszczone w ziemię, czarne, płonące oczy nakryte białemi powiekami i ciemną, długą rzęsą. Usiedli do stołu. Gospodarz domu wziął opłatek w rękę i złamał się nim z żoną, potém z bratem.

— Życzę wam szczęścia — rzekł posępnie — a wy mnie co? —

— Ja spokoju — rzekła Irreoltema i do życzenia dodała głębokie, czułe spojrzenie.

Podziękował jéj uściśnieniem ręki.

Irreoltema podała opłatek Konradowi. Pod nakryciem białego opłatka dotknęła jego palca i lekko go ścisnęła. Pułkownikowi krew wystąpiła na twarz, zmięszał się, opłatek upuścił z ręki. — Brat dojrzał to wzruszenie jego, spojrzał na żonę, ale na jéj twarzy

nic nie ujrzał; była spokojna, mile uśmiechnięta. To go uspokoiło. Podczas wieczerzy jednak pilnie ich uważał. Pułkownik siedział po jednéj stronie stołu — mąż po drugiéj, a Irreoltema w środku pomiędzy nimi. Naprzeciw Edwarda wisiało duże zwierciadło w ten sposób, że mógł w niém widzieć w całości postacie żony i brata. Zauważył, że pułkownikowi w rękach zabielił się pod stołem przez chwilę jakiś papier, że nieśmiało i powoli wyciągał ten papier w stronę, gdzie siedziała Irreoltema, że dotknął nim jéj atłasowéj sukni. Irreoltema wtedy drgnęła lekko i spojrzała na męża, oczy ich spotkały się.

— Co tobie jest Edwardzie, zmieniłeś się tak strasznie. —

W téj chwili pułkownik cofnął rękę z kartką.

— Co mi jest? Nic, mały atak do głowy.

— Pójdę przyrządzić ci lekarstwo.

Wstała pospiesznie unikając jego strasznego spojrzenia; wychodząc rzuciła okiem w lustro i domyśliła się wszystkiego.

Po jéj odejściu jakiś czas trwało milczenie, przerwał je Konrad, któremu ono ciężyć zaczynało.

— Dobrą i troskliwą masz żonę — kocha cię.

— Czy tak sądzisz? — Chciałbym, żeby tak było; bo ja ją tak kocham, że gdyby kiedykolwiek przyszło mi ją utracić, nie przeżyłbym tego.

— Młodość jéj zapowiada ci, że ją nie prędko stracisz.

— Ale piękność jéj wznieca obawę moją.

— Dziwaczne przypuszczenia.

— Dziwaczne?

— Dziwaczne i o ile mi się zdaje, niesłuszne.

— Czy tak myślisz? O przekonaj mnie, zaręcz mi słowem, że niesłuszne.

I wyciągnął dłoń ku niemu. Pułkownik zawahał się podać swoją.

— Zkądże ja mam ręczyć?

— On winny, nie ma wątpliwości — pomyślał Edward — ale czy ona także? — Dziś trzeba skończyć tę wątpliwość. — Tak, dziś. Boże! drzę przed tém, co z téj niepewności narodzi się dla mnie.

Potém odezwał się głośno:

— Lekarstwo przy wieczerzy, to śmieszne trochę, wypiję je w pokoju Irreoltemy. Daruj, że zostawiam cię samego, za chwilę wrócimy oboje.

Wyszedł — za chwilę weszła Irreoltema ze szklanką i lekarstwem.

— Gdzież Edward?

— Wyszedł do pani pokoju.

— Nie był tam wcale.

Umilkli oboje i nasłuchiwali przez chwilę; potém pułkownik chciał powstać i zbliżyć się ku niéj — dała mu znak ręką, by został, i cichym szeptem odezwała się:

— Pułkowniku, jesteś nieostrożnym, zgubisz mnie. On widział.

— W jaki sposób?

— To lustro nas wydało. — Milczenie! — nadchodzi.

Drzwi się otworzyły — wszedł służący Antoni niosąc nowe danie.

— Gdzie pan? — spytała Irreoltema.

— Nie wiem, może w swoim pokoju, bo widziałem tam światło.

Irreoltema ze szklanką w ręku postąpiła ku téj stronie.

— Proszę jasnéj pani, czy to nie będzie za dużo tego lekarstwa, przed chwilą dopiero pan zażywał, a doktor kazał...

Resztę słów zamroziło mu w gardle spojrzenie Irreoltemy, spojrzenie to miało w sobie coś tak strasznego, że sługę zimny dreszcz przeszedł — spojrzenie było kłójące jak sztylet, a groźne jak gradowa chmura.

Postawiła szklankę na stole, odwróciła się pogardliwie i rzekła:

— Idź, poproś pana.

Służący wyszedł. W sieni spotkał pana, który go zatrzymał i stłumionym do niego odezwał się głosem:

— Weź ten list; przy końcu wieczerzy wejdziesz z nim i oddasz mi go — posłaniec z poczty go przywiózł — rozumiesz?

Antoni kiwnął głową i znacząco spojrzał na pana.

— Żadnych domysłów, ja tego nie lubię.

Rozeszli się. Edward poszedł do sali jadalnéj — Antoni do pokoiku, w którym zostawił starego żołnierza.

Żołnierz siedział nieruchomy z głową podpartą na obu dłoniach, szklannemi oczyma zapatrzony w płomień świecy. Na twarzy jego było znękanie, przygnębienie, obumarły spokój, w którym nie ma znaku nadziei.

Służący z cicha uchylił drzwi, czas jakiś w milczeniu przypatrywał się z głębokiém współczuciem kalece, potém zbliżył się ku niemu i całując go w rękę, rzekł ze łzami:

— Boże, czy ja się mogłem spodziewać, że was jeszcze kiedy moje oczy oglądać będą.

Żołnierz westchnął ciężko.

— A ja znowu spodziewałem się oglądać ich i nic — nic nie zastałem po nich, żadnego śladu. O! to okropnie. Ostatek sił dobywałem, by się dowlec do nich, przed każdym kościołem, przed każdą figurą, przed każdym krzyżem przy drodze prosiłem Boga, by mi ich oglądać pozwolił zdrowych i przy życiu; radowałem się na tę chwilę, gdy jako żebrak wejdę w mój dom

niepoznany i na kolędę przyniosę im wiadomość o sobie. Los zgotował mi inną niespodziankę.

Spuścił głowę na piersi i płakał.

— O! lepiéj mi było stokroć tam, z daleka. Myśl moja stęchniona wiedziała gdzie ich szukać; nadzieja, że ich ujrzę jeszcze, podtrzymywała mnie i nie pozwalała upaść w rozpacz. — Kiedy kirgiskie kule świszcząc mi koło uszów nie tknęły mojéj głowy, mówiłem sobie: to dla nich Bóg mnie ocala. Piętnaście lat przemęczyłem tak z dnia na dzień z tą nadzieją. Pierwszy wdrapywałem się na auły czerkieskie, syn narodu, co ukochał wolność nadewszystko, nastawałem na tych, którzy bronili swéj ojczyzny — a robiłem to jedynie w nadziei awansu, odznaczenia się, a wreszcie kalectwa, byle wrócić do kraju. I stało się to wreszcie. Z wiosną tego roku Kirgizy zrobili między górami napad na nasz oddział, w ciemnym wąwozie bronić się było niepodobna; pułkownik nakazał odwrót; ale podczas odwrótu syn jego padł ranny. Strzały i ogromne kamienie lecące z góry, groziły nieochybną śmiercią rannemu i temu, ktoby go uprowadzić zechciał. Pułkownik był w rozpaczy, sam draśnięty w nogę, nie mógł nieść pomocy synowi, a żołnierze mimo obietnic nie chcieli. Wtedy przyszła mi szalona myśl rzucić się na pewne niebezpieczeństwo, dziwna wiara, że nie zginę, popchnęła mnie naprzód. Rzuciłem się naoślep — chwyciłem rannego i uniosłem go z kilkadziesiąt kroków do miejsca, w którém już strzały Kirgizów nie mogły nas dosięgnąć. — Słyszałem głośne, radośne „hurra“ Moskalów, witających mój powrót, widziałem pułkownika wyciągającego ku mnie ręce — potém zamgliło mi się w oczach, osłabłem, uczułem ciepło w nodze i upadłem bez przytomności. — Przyszedłem do siebie dopiero w szpitalu — i bez nogi. — Pułkownik stał przy mo-

jém łóżku wzruszony, gładził mnie po włosach i mówił:

— Ty teraz mój druch, tyś mi ocalił Iwanka mojego. Skaż, co ja dla ciebie mam zrobić. Ty będzież porucznikiem, będziesz miał chresty.

Wstrząsnąłem głową i powiedziałem:

— Wolności, powrotu do kraju.

I byłem wolny; jeszcze nie zupełnie wyleczyłem się, a już napierałem się, by mi pozwolono wracać. I wróciłem — i cóż ztąd?

— Nie mówcie tak panie — odrzekł Antoni. — Kogo Bóg tak szczęśliwie ocalił, ten musi być jeszcze potrzebnym na tym świecie. Kto wie, jakie was jeszcze szczęście czeka, Bóg jest wszechmocny. To mówiąc, wziął w rękę opłatek i podał go żołnierzowi.

— Życzę wam panie, by wam Bóg ziścił wasze nadzieje.

— Amen. I ja tobie również.

Antoni się uśmiechnął smutnie.

— Moja rodzina już w grobie, tam ja z nią pokładłem moje nadzieje.

Silne szarpnięcie dzwonka przerwało dalszą rozmowę. Antoni wyszedł — długi czas widać go nie było. Żołnierz chodził po pokoju, potém stanął przy oknie i zapatrzył się w ogród.

Światła zamigotały przed balkonem — zadzwoniły sanki — psy zaszczekały przy bramie.

— Co to jest? — spytał żołnierz wchodzącego sługę.

— Pan mój odjeżdża do Warszawy.

— Dziś? — teraz?

— A teraz. Dobry ten nasz pan, ale dziwak wielki. Szczególniéj od jakiegoś czasu zmienił się dziwnie. — Może i nie bez przyczyny, bo nie jest jakoś szczęśliwy w pożyciu małżeńskiém. Ot i cały sekret.

— Ma taką cudną żonę i kocha go.

— Wyście ją panie widzieli?

— Widziałem.

— I nie przestraszyła was piękność téj kobiety?

— Gdym patrzał na nią, pomyślałem sobie, że nie chciałbym, aby moja Paulinka była do méj podobną.

— A więc widzicie. Ja gdy patrzę na nią, to mi się zdaje, że czart pożyczył sobie twarzy najpiękniejszego z aniołów, by wodzić ludzi na pokuszenie.

— Któż ona jest?

— Córka jakiejś Francuzicy, staréj guwernantki. Mój pan poznał ją na Jasnéj Górze w kaplicy — tam ją widywał w żałobie po matce modlącą się często, rozgorzał ku niéj bardzo, i nie zważając na rady familii ożenił się, bo familja nie życzyła sobie tego związku. By więc uniknąć zajść nieprzyjemnych, wyjechał ze stron rodzinnych i kupił tę wieś, wybudował pałac i tu osiadł.

— Antoni — odezwał się głos w sieni.

Służący porwał z pośpiechem świecę i wyszedł z pokoju. —

Irreoltema i brat odprowadzali odjeżdżającego.

— Więc Edwardzie — odezwała się małżonka wsparta na jego ramieniu — nie wolno wiedzieć tajemnicy twojego odjazdu? —

— Mówię ci, moja droga, że tym listem wzywają mnie do Warszawy.

— Czy listu widzieć nie wolno?

— Dla czegoś go ciekawa?

— Bo on zawiera więcéj niż ty mi powiedziałeś.

— Być może, dowiesz się reszty za moim powrotem.

To mówiąc, wdziewał na siebie paltot.

W téj chwili Irreoltema rzuciła pułkownikowi jakiś niemy, rozkazujący znak.

Pułkownik kiwnął i odezwał się do brata:

— Edwardzie, ja jadę z tobą.

— O nic, proszę cię, zostań. Wszak dopiero przyjechałeś z Warszawy. Zostań. Żona moja nudziłaby się sama.

Głos jego był drżący, niepewny, ruchy roztargnione, gorączkowe, niespokojne. Mówiąc, nie patrzał w oczy bratu, czasem tylko na żonie zatrzymywał spojrzenie długie, badawcze.

— Kiedyż wrócisz? — spytała żona.

— Za kilka dni najdaléj. Bądź zdrowa; wróć do siebie, nie ziąb się. Pożegnał ją i wyszedł prędko do siebie. Irreoltema wróciła do salonu. Za chwilę wszedł pułkownik krokiem pospiesznym, twarz jego była ożywiona, oczy płonące. Poszedł wprost ku Irreoltemie i wziął ją za rękę.

— Przypadek dziwnie nam usłużył.

Odsunęła go gwałtownie i obejrzała się wokoło.

— On odjechał — rzekł Maurycy uspakajając ją.

— Dla tego, że widziałeś go wsiadającego w sanki. Dziecko z ciebie pułkowniku. Kto wie czy w téj chwili nie jesteśmy podsłuchiwani. Jego podejrzliwość nie przebiera w środkach — i bez wahania może wydać żonę na pastwę szeptów i podsłuchów lokajów.

— Więc nigdy chwili rozmowy? Przeczytaj pani przynajmniéj tę kartę.

— Nie chcę jéj. Zostań na swojém miejscu pułkowniku — mów do mnie po francusku — to jedyny parawan nasz. — Co mi miałeś powiedzieć?

— To, o czém już wiesz dawno, że cię kocham, że szaleję.

— Jestem żoną twego brata.

— A powinnaś być moją.

— W tém nie moja wina — opuściłeś mnie bez pożegnania nawet.

— Rozkaz wymarszu był nagły.

— Wkrótce potém zostałam sierotą bez utrzymania, w miasteczku, w którém prawie nikogo nie znałam, nędza zaczęła zaglądać do mego mieszkania, kryłam ją przed ludźmi resztkami szat pozostałych z lepszych czasów. Wtedy zjawił się Edward i ofiarował mi swoją rękę — czyż mogłam jeszcze czekać?

— Prawda, zawiniłem okropnie, konieczność tylko mnie tłómaczy. Wieść o waszém małżeństwie zastała mnie w Peterburgu — o, com ja wycierpiał wtedy! Potém dołożyłem wszelkich starań, aby być tu przeniesionym. I jestem — jestem blisko ciebie, a jest mi stokroć gorzéj. Irreoltemo! — dodał głosem rzewnym, błagalnym — powiedz, czy ty mnie kochasz?

— Jestem żoną twego brata....

Zerwał się z krzesła.

— Och! zawsze to samo. Czemu usta twoje nie chcą mi nigdy powiedzieć tego, co czytam w twoich oczach dla siebie. Powiedz czy oczy, czy usta twoje prawdę mówią? — Cóż i nic mi nie odpowiesz?

— Cóż mam mówić? Tego cobyś pan chciał usłyszeć, ja powiedzieć nie powinnam, a tego, co powinnam, nie chciałbyś pewnie usłyszeć, jestto fatalne, zaklęte koło, z którego wyplątać nas może jedynie przypadek.

— Albo wola. Możesz podać o rozwód.

— Nie znasz go — onby wprzód zabił mnie i ciebie zanimby na to pozwolił. — A przytém jakież powody do rozwodu?

— Więc nie ma wyjścia? Więc chcesz uwiędnąć tutaj otoczona zapyloną siecią jego podejrzeń i za-

zdrości, chcesz przeżyć najpiękniejsze lata twojéj młodości w tym zakącie, w téj pustyni?

Przygryzła wargi, załamała palce i patrząc w ziemię, milczała.

— I nic nie odpowiadasz?

— Cicho! słyszę skrzyp śniegu, ktoś podchodzi pod okno — wyszeptała z naciskiem; potém zmieniła ton mowy i poczęła obojętną rozmowę.

II.

Sledztwo za winnym.

Na drugi dzień przed bramą pałacową stał żołnierz i lokaj Antoni. Żołnierz miał znowu jak wczoraj tobołek na plecach i kij w ręku, był gotowy do drogi. Służący usiłował go zatrzymać.

— Choć przez te dwa święta zostań pan z nami.

— Nie mogę, nie chcę, tu mi gorzéj niż gdzieindziéj; — tu gdzie się ruszę, wszystko przypomina mi moje nieszczęście, każde stąpnienie tutaj boli mnie i kłuje jak kolący oset.

— I gdzież pan pójdziesz?

— Pójdę w świat żebraniną od dworu do dworu, od miasteczka do miasteczka — ku Warszawie — wszędzie, może ich odszukam. Moja włóczęga będzie mi się wydawać podróżą do nich — będę więc szedł ciągle, ciągle, aż dojdę do nich lub do śmierci.

— Przyjmijcie panie choć ten skromny datek na na drogę — rzekł służący, nieśmiało podając mu węzełek.

— Przyjmę, przyjmę, wszak ja żebrak teraz, mnie gardzić nie wolno jałmużną, zwłaszcza z takiém sercem podaną. Może Bóg pozwoli, że się zejdziemy jeszcze w życiu, że ci spłacę tę jałmużnę kieszenią i sercem. Jeżeli znajdę moich, przyjdziemy tutaj pomodlić się pod tą kapliczką jak dawniéj i podziękować tobie. Ale słuchaj mnie Antoni, czy ta jałmużna nie robi tobie uszczerbku?

Służący ruszył ramionami.

— Panie, tę odrobinę zebrałem dla mojéj rodziny. Rodzina teraz w grobie — ja sam.

— Więc Bóg zapłać za to. Idę już — dzwony na kościelnéj wieży zwołują lud na sumę, pójdę, pomodlę się jeszcze — a potém w drogę.

Uścisnął sługę i stukając szczudłem o kamienie, pociągnął ku kościołowi. Antoni patrzał za nim długo — długo; wreszcie łzy zasłoniły mu przed oczami odchodzącego żołnierza, otarł je rękawem i smutny powolnym krokiem wracał do pałacu.

— Pani was wołała — rzekł wybiegając ku niemu chłopiec z kredensu.

Antoni przyspieszył kroku i wszedł do sali, po któréj żywym krokiem chodziła Irreoltema w czarnéj aksamitnéj sukni, od któréj cudnie odbijały alabastry jéj ramion i szyi. Włosy w lekkie skręty zafryzowane z przodu nieco na czoło nasunięte, przewiązane były sznurkiem korali, przy białych uszach kołysały się również koralowe kolczyki, podobne kształtem do spadających kropli krwi. — Służący wszedłszy do pokoju, stanął przy drzwiach i czekał. — Irreoltema zdawała się nie uważać jego przyjścia — chodziła ciągle po sali zamyślona — zwierciadło zwierciadłu podawało jéj wyniosłą, giętką postać; czoło miała lekko sfałdowane między czarnemi brwiami, wzrok w téj chwili posępny.

— Jasna pani mnie wołała? — odezwał się sługa po chwili.

— A, jesteś? Słuchaj, czy stróż nocny nie czuwa już więcéj w ogrodzie?

— Owszem, każdéj nocy.

— Pod oknami salonu i pod mojemi oknami są w śniegu wydeptane stopy ludzkie, widocznie jakiś zły człowiek podkrada się do pałacu. Potrzeba, aby stróż lepiej czuwał; jeżeli potrzeba, dać mu ludzi do pomocy.

Służący się skłonił.

— Idź i poproś pana pułkownika do śniadania.

Po odejściu służącego, stanęła przed zwierciadłem — przejrzała się w niem od stóp do głowy, poprawiła włosów i weszła do jadalnego pokoju, gdzie na nią już czekał pułkownik. Usiedli przy małym stoliku, na którym błyszczała elegancka zastawa do herbaty. Irreoltema nalewała herbatę, pułkownik pożerał oczami jéj piękność.

— O! jakaś ty piękna!...

Dotknął się ustami jéj ręki, w któréj trzymała czajnik.

— Sparzysz się pan.

— Chyba od blasku twoich oczów.

— Zamykam je więc.

To mówiąc, zakryła różowemi powiekami brylantowe ócz swoich połyski i stała tak chwilkę jak posąg bez oczów, uśmiechnięta łekkim uśmiechem, od którego drzały jéj wargi.

Pułkownikowi krew uderzyła do twarzy, zerwał się, przyskoczył ku niéj i objął ramieniem jéj kibić. Odtrąciła go, odrzuciła w tył z gwałtownością, jakiéj się nie spodziewał, wyprostowała się dumnie, oczy jéj rzucały pioruny.

— Co to ma znaczyć, pułkowniku?

Słowa i wzrok targnęły jak cugle rozszalałego ko-

nia, pułkownik z porywczego, namiętnego, stał się nieśmiałym, zawstydzonym.

— Przebacz Irreoltemo, to zapomnienie; nie jam temu winien, ale twoja piękność, która mnie do rozpaczy przywodzi.

— Usiądźmy do herbaty.

Usiedli — przez chwilę panowało milczenie, które przerwał pułkownik.

— Czy pani jesteś obrażoną na mnie?

— Powinnabym.

— Ale nie jesteś — o dobra, anielska.

I wyciągnął ku niéj rękę.

— Siedź pan spokojnie.

— Pozwól się przeprosić — nalegał pułkownik podnosząc się z krzesła — i patrząc w nią modlitewnie, błagalnie. Nachylając się ku niéj, potrącił o stolik i wywrócił go na ziemię z całą zastawą. To go zmięszało.

W téj chwili wszedł służący i ponuro zpod oka spojrzał na tę scenę.

— Niezgrabnym jesteś pułkowniku — rzekła Irreoltema gniewnie, niecierpliwie. — Antoni, nakryj przy wielkim stole.

Służący pozbierał czerepy filiżanek i wynosił z pokoju.

— Kompromitujesz mnie pułkowniku, nawet w oczach służących — rzekła cicho ale z naciskiem Irreoltema.— Czy widziałeś wzrok tego sługi, wyglądał jak szpieg. On się chce czegoś domyślać, a Edward nie wiele sobie robi skrupułu w tym względzie i każdemu donosicielowi chętne ucho poda. Potrzeba nam się strzedz tego człowieka.

— Albo ująć go.

— Przedewszystkiem pułkowniku szanuj mój spokój. Unikaj mnie.

— Takiéj tylko drobnostki wymagasz — rzekł pułkownik z gorzkim, ironicznym uśmiechem. — Może będziesz żądać bym wyjechał, bym cię zupełnie nie widział?

— Może to byłoby najlepiéj dla mnie i dla ciebie, żebyśmy się nigdy w życiu nie zeszli — odrzekła poważnie, smutno, chowając twarz w dłonie.

Pułkownik wstał i żywo przechadzał się po salonie.

Jak się to wszystko skończy — nie wiem; ale to wiem, że zrzec się ciebie nie mogę. Potargam związki krwi, względy światowe.

I podepczesz moją dobrą sławę — dokończyła Irreoltema. Czy to ma mi zapewnić szczęście, którego z twoim bratem nie znalazłam? O pułkowniku — ty kochasz tylko siebie.

— Więc mamże sobie powiedzieć: „nigdy“?

— Czekaj i wierz, jak ja.

— I umrzeć z tą wiarą. —

— On chory... szepnęła półgłosem odwracając się od niego. Słowa te rozeszły się po sali jak ciepły oddech zarazy, którą niesie z sobą grobowe milczenie. Pan pułkownik uczuł, że mu się duszno zrobiło w atmosferze tych słów, choć one zwiastowały mu szczęście. Szczęście jego i miłość wydały mu się w téj chwili jak robactwo, co się z trupów wylęga i trupami żywi. Irreoltema sama zlękła się ciemnéj, grobowéj przepaści, jaką jéj słowa otworzyły przed jéj nogami — a bardziéj jeszcze tego, że temi słowami zdemaskowała przed nim zbrodnicze tajemnice i nadzieje swéj duszy — usiłowała naprawić to — załamała ręce i zawołała:

— Boże, com ja wyrzekła! Do jakich zbrodniczych myśli wiedzie mnie ta miłość.

— Nie odwołuj tych słów — rzekł Maurycy biorąc ją za rękę — są obrzydliwe, jak zgniły owoc, ale w nich chowa się nasienie naszéj przyszłości. Kąsając wędzidło konieczności, będę czekać, karmiąc się temi słowami.

— Przedewszystkiem potrzeba, abyś jak najrzadziéj tu bywał, abyśmy już nigdy więcéj nie zostali ze sobą, jak teraz. Stanowczo nie, — rozumiesz?

— Będę ci posłuszny. Ale te chwile jeszcze do mnie należą.

— Czy nie widziałeś śladów nóg jego pod oknami sali? Patrz! on tu był wczoraj — albo on, albo ktoś przez niego nasłany. Potrzeba nam mieć się na ostrożności. Dziś wieczór będziesz chory i nie wyjdziesz do sali — rozumiesz. Musimy odsunąć wszelkie podejrzenie.

— O! nie uwierzysz, jak mi to będzie trudno być tak blisko ciebie i nie widzieć cię.

— Zobaczysz mnie w dzień znowu — rzekła, podając mu dłoń z wdzięcznym uśmiechem.

Tego wieczora pułkownik rzeczywiście został w swoim pokoju. Irreoltema również nie wychodziła ze swego. W sali jadalnéj więc było pusto — od czasu do czasu tylko Antoni się zjawiał, dobywając z kredensu talerzy. Stary służący miał skłonność do monologów, taka gawęda ze sobą samym zastępowała mu poniekąd towarzystwo ludzkie.

— On osobno, ona osobno — mruczał stawiając szklanki na tacy — ztąd tylko mitręga większa. Człowiek się przecie rozerwać nie może. Czy się gniewają, czy co? może pani zła za stłuczone saskie filiżanki — ona się w nich kochała, a tu pułkow... a to co?

Urwał rozmowę i spojrzał w okno.

— Wszelki duch. —

Na ciemném tle szyb zdawało się Antoniemu, że zobaczył jakąś twarz bladą, ale wyraźnie. Ledwie bowiem miał czas spojrzeć, gdy zjawisko znikło. Antoni stanął i nasłuchiwał — postąpił ku oknu, przyłożył rękę do szyby, do czoła, zasłaniając w ten sposób oczy od światła lampy i wpatrywał się w ciemności. Zdawało mu się, że za altaną w topolowéj alei coś się czerniło, ale nie był pewny, czy to pień drzewa, czy człowiek. Przypomniał sobie to, co mu pani rano mówiła o stopach ludzkich pod oknami.

— W tém jest coś nieczystego — rzekł znowu do siebie. Ale czemuż psy takie spokojne, czyby je kto potruł; bo oni i to umieją. Trzeba wyjść — pójdę — zobaczę — przekonam się.

Chciał odejść, gdy spojrzał na czajnik i szklanki przygotowane.

— Masz tobie — a herbata? — Więc po herbacie pójdziemy śledzić ptaszka.

To rzekłszy wyszedł do dalszych pokojów. Po chwili na szybach okna zabieliła się znowu taż sama twarz — i znowu skryła się w ciemnościach. Zmarznięty śnieg zaskrzypiał — jakiś cień czarny zarysował się na ścieżce ogrodu — znikł za altaną i znowu się cofnął w aleję topolową. Uschłe wysokie gałęzie topoli chwiały się i szeleściały szamotane silnym wiatrem, przez szczeliny przelatujących chmur błyśnie czasami na chwilę światło księżyca, wpada w aleję niby duch biały w długiéj szacie i znika. W tém niepewném półświetle widać za jedném drzewem człowieka, który z założonemi rękami stał i miał oczy wytężone w stronę pałacu, ku oświeconym oknom. Był to Edward. Podejrzenia skłoniły go do téj włóczęgi nocnéj; zdawało mu się, że tą drogą rozstrzygnie niepewność trawiącą jego duszę, że pozornym wyjazdem oszuka czuj-

ność kochanków. Wstydził się téj roli, jaką wziął na siebie, nie chciał, aby ktokolwiek domyślił się tego, nawet woźnica. Kazał mu więc zajechać przed dom leśniczego, tam napisał list i wysłał go z nim na stacją kolei, rozkazując mu czekać na jakiegoś pana, który miał nadjechać pociągiem z Warszawy.

Ja rozmyśliłem się, nie pojadę i wrócę końmi leśniczego. Ty czekaj z listem dwa lub trzy dni: jeżeli ten pan nie nadjedzie — wracaj. Przed leśniczym zaś zamaskował swój pobyt w jego domu tém, że doktorzy zalecili mu ruch, chce więc zapolować w tych stronach i zabawi tu dni parę. Obrał sobie na mieszkanie małą izdebkę od strony lasu i udając zmęczenie, pożegnał wcześnie gospodarza. Nie spał jednak. Przez okno wysunął się cichaczem na pole i w godzinę potem był już pod oknami pałacu. Plan jego zdawał mu się doskonały. Widzieliśmy, jak instynkt i przebiegłość kobiety umiały go przeczuć i udaremnić. Marznąc pod oknami nie usłyszał nic, prócz obojętnéj rozmowy, po któréj rozmawiający rozeszli się. To go uspokoiło, chciał już nawet wejść do żony, rzucić jéj się do nóg i przeprosić za podejrzenia. Ale podejrzliwość radziła mu czekać jeszcze. Wrócił więc na leśniczówkę tą samą drogą, którą się był wymknął i położył się w łóżko. Resztę nocy przebył okropnie; silna gorączka wskutek przeziębienia męczyła go widzeniami pełnemi dziwolągów, krwawych scen i fantastycznych karykatur. Podejrzenia jego upostaciowała chorobliwa fantazja w jakieś gady niedźwiadki, polipy, które żonę jego i brata i jego samego obejmowały w duszące uściski, cięły w kawały nożycami, pełzały po nich — i utworzyła się z tego jakaś straszna mięszanina kawałków ciał tarzających się w prochu, wśród obrzydliwych stworzeń, szukających się nawzajem — a jego głowa okręcona

splotem wężów, podskakiwała co chwila i śledziła zakrwawionemi oczami, w którą stronę poruszają się członki jego żony, które poznawał po śnieżystéj białości — z kim się zrosną — z nim, czy z jego bratem, szukał jéj twarzy, jego oczów, w którą stronę się zwracają. Dojrzał ją, twarz ta z wysileniem pełzała ku niemu, wykrzywiała się w dziwnych grymasach, pozieleniała i przedłużyła się w głowę węża, który otworzył pysk i jadem nań bryzgał. Gadzina ta jadowita miała czarne, węgielne oczy jego żony. Wzdrygnął się i krzyknął. Bielejący ranek uwolnił go od tych męczących półsnów, ale nie polepszył jego zdrowia. Był osłabionym, rozstrojonym, w głowie czuł jakiś zamęt i ciśnienie, które ztępiło jego myślenie. Na twarzy był mocno zmieniony. Leśniczy przestraszył się stanem jego zdrowia — chciał poséłać do dworu z uwiadomieniem — zabronił.

— Nie potrzeba, rzekł — niepokoić żony mojéj — jest to chwilowy atak, który przejdzie.

Rzeczywiście pod wieczór było mu lepiej; zazdrość jak każda namiętność daje sztuczną siłę, elektryzuje najsłabszy organizm. Tą siłą podtrzymywany wyczekiwał niecierpliwie wieczora, co chwila spoglądał na zegarek, nasłuchiwał, czy w domku leśniczego uspokoiło się wszystko. Godziny wlekły się powoli, ślimaczo, w drugiéj izbie nie spano jeszcze. Edward dla skrócenia czasu wziął jakąś starą książkę ze szafki, przewrócił kartki, trafił przypadkiem na jakąś starą niemiecką balladę. Z początku czytał ją obojętnie, machinalnie — uderzyło go jednak kilka porównań, treść ballady była jakby zwierciadłem jego życia. Przysiadł się i z zajęciem czytał następującą balladę.

Dwaj Bracia.

I.

W księżycową noc lutnista młody
Wyszedł z domku swego i siadł w borze,
Westchnął, zagrał — i wody w jeziorze
Podniosły się z westchnieniem — a z wody
Wyszła w blaski księżyca ubrana
Rusałeczka lekka do młodziana —
W kwiaty strojna — i jakby powoje
Ramionami spletli się oboje.

Księżyc na nich patrzał się przez liście,
I zazdrościł młodemu lutniście —
„Moja luba“ — szeptał młodzian drżący,
Czemu patrzysz się tak w kwiat ten śpiący
U nóg twoich? Zdeptaj go nogami,
Bo mi zazdrość zmarszczką czoło orze,
Że ty kwiat ten bardziéj kochasz może
Niż mnie. Zdeptaj, luba, kwiat nogami —
Rusałka się z lutnisty roześmiała —
Kwiat zdeptała — ani nań spojrzała.

„Moja luba“ — szeptał znów słowami
Miłosnemi — „czemu w twarz księżyca
Tak się patrzysz? On ci siadł na lica,
I całuje usta promieniami.
Nie patrz luba w niebiosów kobierce,
Nie patrz w księżyc, bo mi pęknie serce
Od zazdrości. Zasłoń cieniem siebie,
Niech ten księżyc nie patrzy na ciebie“.
Rusałeczka się z lutnisty śmiała —
Twarz schyliła — w księżyc nie patrzała.

„Moja luba“ — znowu zaszeptały
Jego usta — czemu twoje oczy
Zapatrzyły się tak w piersi białéj?
Zasłoń, zasłoń szatą gors uroczy,
Bo mnie zazdrość spali, że ty może
W téj urodzie cudnéj, w twym ubiorze —
Bardziéj niżli we mnie zakochana.
A Rusałka z zazdrości się śmiała,
Obróciła oczy na młodziana,
I miłośnie w oczy mu patrzała.
On ją chwycił za rękę, za białą —
Drżał, bo w piersiach jego szczęście grało.
Ale księżyc, co skrył w chmurach głowę,
I zdeptane nogą kwiatu liście,
I wzgardzone piersi lilijowe
Przysięgały mścić się na lutniście.

II.

Znów noc jasna — brat lutnisty młody
Chodząc z pieśnią wesołą po borze,
Przyszedł zwolna nad jeziora wody.
Cicho plusły wody na jeziorze —
Wypłynęła Rusałeczka blada,
I słuchała jego pieśni rada!

A zdeptany kwiat na srebrnych rosach,
I płynący księżyc po niebiosach,
Cichym szeptem Rusałkę kusiły:
„Patrz, ten taki ładny, taki miły —
Kochaj, kochaj“ — szeptały do ucha.
Rusałeczka zamyślona słucha,
Żal tamtego było jeszcze trocha,
Bo myślała sobie — „on mnie kocha“ —

Wysunęły się piersi łabędzie,
I szeptały: I ten kochać będzie.
Więc Rusałka wyszła do młodziana,
Cała w blaski i w kwiaty ubrana.
Księżyc zajrzał w dom lutnisty zcicha,
Podejrzeniem w okno zaszeleści —
— Gdzie brat? Może Rosałeczkę pieści....

On się zerwał — pobiegł. Nad jeziorem
Słyszał śmiechy, szepty pod jaworem.
Zżółkł, zkamieniał — z rozpaczy oniemiał —
Ale w oczach łez dla bólu nie miał.
Potem poszedł w las, gdzie było gęściéj —
Siadł przy drodze i czekał na brata.
Ostry sztylet ściskał mocno w pięści —
Czekał, słuchał — chwile szły jak lata.
I zdeptany przyszedł k'niemu kwiat —
Szepnął w ucho: wszakże to twój brat,
I drugiego już nie będziesz miał,
Choćbyś płacił krwią, choćbyś łzy lał.

Słuchał — łzami zalał się rzewnemi —
Księżyc z za chmur wysunął się prawie;
Sztylet błysnął — coś jęknęło w trawie,
Coś czerwoną krwią polało ziemię.

A lutnisty brat z Rusałką młodą
Śmiejący się siedzieli nad wodą,
I zdeptany kwiat i księżyc biały,
I drzew liście z lutnisty się śmiały.

Edward skończył czytać — oparł czoło rozpalone na ręce i utopił oczy w płomieniu świecy.

— Kto mi podsunął tę balladę — i to teraz właśnie. Kto? człowiek, czy przypadek? Głupia ballada — rzekł i rzucił książkę na ziemię. Wstał i chodził koło stołu.

— Wszakże to twój brat
I drugiego już nie będziesz miał.

Stanął i patrzał na książkę leżącą pod jego nogami. Naraz ocknął się, spojrzał z pośpiechem na zegarek, wdział futerko — i otworzył z cicha okno. Nie wyszedł jednak zaraz, chwilkę zawachał się, namyślał nad czémś — wrócił się, rozpiął korzuszek, wydobył z za pasa pistolet, położył go na stole i wyskoczył oknem.

Widzieliśmy, jaki był skutek téj drugiéj wycieczki nocnéj. Napróżno po kilka razy zbliżał się pod okna jadalnéj sali — nie zobaczył w niéj nikogo. Gubił się w domysłach, co się stać mogło.

Podsunął się pod okna żony, ale story tak szczelnie je zasłaniały, że nie podobna było nic a nic zobaczyć, cofnął się więc w aleję — i czekał. Wtém zobaczył od strony pałacu kilku ludzi idących wprost ku niemu. Nie wiedział co począć ze sobą, namyślał się chwilę — potém chyłkiem przesunął się przez aleję i zasłonięty krzakami, schował się za altanę. — Tu ukryty usłyszał następujące słowa:

— Zajdźcie od sztachet drogę — obstawcie dobrze przejście i potém zróbcie obławę przez cały ogród. — Był to głos Antoniego.

— Obława na mnie, w moim własnym ogrodzie — pomyślał Edward. — Gdyby mnie znaleziono — o ucieczce już ani myśleć.

Zadrżał na tę myśl, postanowił uniknąć skandalu jakim bądź kosztem. — Służący zbliżał się ku altanie — Edward wyszedł na ścieszkę i zastąpił mu drogę.

— Na rat...

— Cicho, to ja, twój pan.

Antoni osłupiał i zdumiony patrzał na pana.

— Cofnij tę głupią obławę — a potém przyjdź tutaj — czekam cię w altanie.

To rzekłszy, schował się. Zostawszy sam ze sobą, uczuł się upokorzonym tą rolą, jaką odegrał przed chwilą wobec sługi. Co mu powiedzieć — jak wytłomaczyć to niespodziewane zjawienie się nocą w ogrodzie?

Za chwilę wrócił Antoni — stanął u wejścia altany i w milczeniu oczekiwał, co mu pan powie. Edward nie wiedział jak zacząć.

— Dla czego — odezwał się wreszcie — w jadalnéj sali nie ma nikogo?

— Pan pułkownik podobno słaby, a pani kazała sobie podać herbatę do swojego pokoju.

— Czy widziałeś pana pułkownika w gościnnym pokoju?

— Przed godziną.

— A teraz?

— Mowił, że wcześniéj się spać położył; więc nie poszedłem.

Edward ruszył się z miejsca, chwycił służącego za rękę i nachylając się ku niemu, usiłował w ciemnościach rozpoznać wyraz jego twarzy.

— Stary, ty wiesz coś?

— Co takiego?

Pytanie opamiętało zazdrosnego.

— Antoni — rzekł spokojniejszym głosem — byłeś mi wiernym dotąd, umiéj być i milczącym. O tém coś widział i słyszał ani słowa przed nikim — rozumiesz? Czy byłeś potem w pokoju mojéj żony?

— Nie kazała mi wracać więcéj.

— A zastawa do herbaty?

— Kazała mi ją zabrać jutro.

— Jutro? W tém coś jest. — Idź teraz, ja ci każę — idź wprost.

— Ależ pani zakazała.

— To nic.

— Zamknięte może.

— Prawda. — Słuchaj, weź ten klucz, jest on od drzwi prowadzących z mego pokoju do wązkiéj sionki. Na odwrotnéj ścianie namacasz drzwi drugie nie zamknięte, prowadzące do staréj biblioteczki, która dotyka do pokoju pani. W kaflowym piecu jest w różne floresy wyrabiany otwór, przez który można zajrzeć do drugiego pokoju — rozumiesz. Idź, tylko ostrożnie, lada nieostrożne stąpnięcie, stuknięcie może cię zdradzić. Potrzeba być zręcznym i cichym. Idź i zobacz — ja tu czekam na ciebie.

Antoni wziął klucz i wyszedł z altany.

Edward rzucił się na kanapkę.

— Przed służącym odkrywać to, czego ja sam radbym nie widzieć — no to podle z méj strony. Ale darmo — ja potrzebuję czyjéjś pomocy — sam nie mogę podołać. Jeżeli podejrzenia moje pokażą się niesłuszne, pieniądzmi kupię jego milczenie i odprawię — tak odprawię — nie mógłbym mu w oczy patrzeć, a ona nie mogłaby mu rozkazywać.

Wstał, wyszedł przed altanę — patrzał i nasłuchiwał. Przy pospieszném biciu jego serca czas wlókł się za powoli — leniwo. Antoni nie wracał.

Podług rozkazu pana służący cicho i ostrożnie skradał się do biblioteczki. Wśród ciszy, jaka panowała w całym domu, długiego potrzebował czasu, aby bez najmniejszego łoskotu pootwierać drzwi, nie potrącić wśród ciemności o żaden sprzęt; dobre więc upłynęło pół godziny zanim stanął przy otworze kaflowego pieca.

Zaparł dech w sobie, nachylił się i zajrzał do sypialni pani.

Przy stoliku, na którym stała lampa, siedziała Irreoltema; była sama. Odblask zielonéj umbrelki trupią bladość nadawał jéj pięknéj twarzy; oczy takie płonące, iskrzące, mowne, w téj chwili były zimne, jak wypalone węgle, któremi ktoś rachunki pisze po ścianie. Utkwiła je nieruchomo w posadzce i przygryzając wargi, zdawała się coś głęboko obmyślać i kombinować. Zimny rachunek w twarzy pięknéj kobiety, zrobił na służącym wrażenie jaszczurki, co się wsunęła między róże i wystawia z sykiem żądło. — Już zabierał się do odejścia, by zdać panu czekającemu zapewne niecierpliwie pod altaną relacją i uspokoić go, gdy jedna rzecz zatrzymała go jeszcze na dłużéj i zajęła jego uwagę. Irreoltema wstała, zbliżyła się do biórka, wyjęła z niego małą misternie kością słoniową wykładaną szkatułkę i postawiła ją na stoliku obok lampy. Nachyliła się ku niéj i wyjąwszy z za gorsa maleńki kluczyk wiszący na gumowym sznureczku, zabierała się do jéj otworzenia. Naraz zatrzymała się, niespokojnie obejrzała się i poszła ku oknu. Tu starannie poprawiła story, aby nie zostawić żadnéj szparki, przez którą ciekawy wzrok mógłby się wcisnąć w głąb pokoju. Następnie przeszła ostrożnie pod drzwi. Chwilkę małą nasłuchiwała uważnie, potém obróciła klucz w zamku i wyjęła go zasłoniwszy starannie dziurkę. — Te przygotowania zwróciły uwagę służącego, obudziły jego czujność i podejrzliwość, począł więc baczniéj ją śledzić i czekał. Irreoltema wróciła do szkatułki, otworzyła, wyjęła z niéj niebieski papier w kilkoro złożony, rozwinęła i położyła przed sobą. W papierze był jakiś biały proszek. Następnie wzięła z biurka drugą szkatułkę niezamkniętą. Antoni poznał, że to była szka-

tułka, z któréj pani udzielała mu lekarstwa dla pana. Wyjęła z téj szkatułki kilka proszków, rozwinęła je i do każdéj dozy dosypywała owego proszku z niebieskiego papieru. Służący patrząc na to, począł snuć w duszy straszne domysły.

— A gdyby tak było? — pomyślał sobie i cierpnął cały z przerażenia przypatrując się téj kobiecie, jak z zaciśniętemi ustami, z blado-zieloną twarzą bez drżenia i wzruszeń zajęta była swoją robotą.

Jest we wzroku człowieka jakaś siła magnetyczna, która działa na nasz ustrój nerwowy nawet wtedy, gdy oczy nasze i uwaga w inną skierowane są stronę, co więcéj, sprawdzone jest doświadczeniem, że nawet śpiący uczuwają siłę utkwionych w nich oczów i budzą się, jakby potrąceni niewidomą ręką wzroku. — Taką siłę musiało mieć spojrzenie sługi wpatrującego się z przerażeniem w panią, bo Irreoltema naraz drgnęła i błyskawicowe spojrzenie skierowała w otwór pieca kaflowego; dojrzała w ciemności wśród szklących floresów kafli dwoje błyszczących przenikliwych oczów, zbladła skoczyła jak hyena w tę stronę i krzyknęła głośno:

— Kto tam?

Służący osłupiał z przestrachu i usunął się na bok w ciemności, by nie być widzianym.

Irreoltema wpatrywała się w ciemność — nasłuchiwała. Najmniejszym szmerem nie zdradził służący swéj obecności, a ciemność pokoju była mu dostateczną osłoną. Naraz usłyszał jak jego pani z szybkością i gwałtownie otworzyła drzwi od swego pokoju. Z pospiechem więc wymknął się z biblioteczki, zamknął za sobą drzwi od sionki — przebiegł szybko na palcach przez pokój pana i ledwie zdołał dostać się do przedpokoju i usiąść, gdy Irreoltema stanęła przed nim. Była

pomięszana i blada, czarne oczy zpod zmarszczonych brwi rzucały dzikie, złowrogie spojrzenia. Wobec jéj niepokoju służący silił się być ile możności najspokojniejszym; usłyszawszy wchodzącą, przymknął lekko powieki udając zdrzemnięcie.

— Kto tu był? — spytała Irreoltema budząc go.

— Kto taki? gdzie?

— Czy nikogo tutaj nie widziałeś? — Nikt tu tędy nie przechodził?

— Nie, pani.

— Kłamiesz.

— Dlaczegóż miałbym kłamać?

— Dawno tutaj siedzisz?

— Od godziny?

— I nikogo nie widziałeś? — spytała zbliżyjąc się ku niemu i topiąc w niego spojrzenie ostre jak sztylet. Spojrzyj mi w oczy.

Antoni nie mógł nigdy znieść i wytrzymać siły tego spojrzenia, które chłodem i pogardą gniotło go ku ziemi; dziś jednak chłód ustąpił przed niepokojem — miał więc nad nią przewagę czystego sumienia i nie wahał się spojrzeć jéj czysto, głęboko w oczy, tak, że je spuścić i odwrócić się musiała.

— Weź światło i chodź za mną do pokoju pana.

Wszedłszy tam, rozglądała się pilnie naokoło.

— A te drzwi gdzie prowadzą?

— Do sionki.

— Z któréj jest wyjście jakieś. —

— Na ogród.

— Innego nie ma? Wszak jakiś pokój musi dotykać do méj sypialni?

— Jest biblioteczka.

— Jest więc.

Postąpiła spiesznie naprzód i chwyciła za klamkę.

— Co, to zamknięte?

— Tak.

— Otwórz.

— Nie mogę. Klucz jest u jasnego pana.

Zastanowiła się chwilkę — potém rzekła:

— Więc ktoś od ogrodu wejść musiał. Wyraźnie widziałam. — Źle pilnujecie domu, jakieś włóczęgi zakradają się i straszą mnie. — Czego się tak wpatrujesz przez okno w ciemności?

— Szukam śladów; ale droga wiodąca do sionki zasypana śniegiem, na którym ani śladu stopy ludzkiéj.

— Byłożby to przewidzenie? — rzekła do siebie kładąc rękę na czole. — Nie, to niepodobna — wyraźnie widziałam. — Antoni, idź i przejrzyj dobrze dom, czy się kto nie zakradł.

— Któżby mógł.

— Kto? Ja nie wiem. Są źli ludzie, ja się boję. Idź, pozamykaj drzwi wchodowe.

To rzekłszy, odeszła powolnym krokiem zamyślona.

Służący pokręcił głową.

— W tém coś jest, ona nie napróżno się boi.

Urwał swój monolog i nasłuchiwał pilnie odchodzącą, któréj oddalanie się można było poznać po zamykanych kolejno drzwiach. Kiedy ostatnie się zamknęły — Antoni ostrożnie wyszedł na dwór.

Nie długo po tém dwie męskie postacie wsunęły się cichaczem do pałacu.

III.

Zmylone tropy.

— Pani już wstała? — spytał pułkownik wchodząc do jadalnéj sali.

— Nie jeszcze — odrzekł Antoni krzątając się koło zastawy do herbaty. — Czy nalać panu pułkownikowi?

— Nie potrzeba. Zaczekam.

Wziął gazetę i rzucił się niedbale na kanapę. Od czasu do czasu przerywał pytanie i niecierpliwie spoglądał na zegarek.

— Jednak to już dość późno — odezwał się po chwili.

— Już na sumę dawno przedzwonili.

— Może pani chora? — słaba?

— Nie. Służąca nic o tém nie mówiła. Pani wysłała ją do kościoła, więc musi być zdrową.

— A ty nie poszedłeś do kościoła?

— Służba nie pozwala, panie pułkowniku.

— Wszak wszystko już przyrządziłeś — nie będziesz potrzebny — możesz iść.

— Ale pani....

— Usprawiedliwię cię przed panią. Pani nie będzie ci miała pewnie za złe, że dopełniasz obowiązków religijnych.

Służący skłonił się i wyszedł. Po jego odejściu pułkownik spojrżał znowu na zegarek i nasłuchiwał. Potém zerwał się gwałtownie i pobiegł ku drzwiom prowadzącym do pokoju Irreoltemy. Chwycił za klamkę i już ją miał nacisnąć, gdy drzwi się otwarły i ujrzał przed sobą Irreoltemę. Była bledszą niż wczoraj, pod oczami ciemne doły świadczyły o źle przespanéj nocy.

— A to co? — spytała wstrzymując spojrzeniem pułkownika.

— Pani tak długo każesz czekać na siebie.

— A pan czekać nie lubisz?

— Każda chwila w tym domu bez ciebie wydaje mi się straconym czasem. A pani tyle mi ich odkradasz. Sądziłem, że równie jak ja będziesz się spieszyć, by nagrodzić stracony wczorajszy wieczór.

— Usnęłam późno w nocy.

— I żal ci było poświęcić trochę snu dla mnie — rzekł z ironią pułkownik. — Kiedy ja płonę, goreję, kiedy przyspieszonemi uderzeniami serca liczę niecierpliwie chwile twéj nieobecności, ty spokojnie dosypiasz swoje godziny, jak gdyby chwile naszego widzenia się nie były policzone. O Irreoltemo, przez litość nie bądź taką.

Ukląkł przed nią i przycisnął dłoń jéj do rozpalonych ust. Wyrwała ją z pospiechem.

— Co pan robisz? lada chwila może kto wejść.

— Nikt nie wejdzie, w całym domu nie ma nikogo, tylko my, my sami — rzekł obejmując jéj kibić i tuląc do siebie. — Irreoltemo! nikt nie zamąci nam téj chwili

szczęścia. Niech ona nagrodzi mi długie męki, jakie ponoszę dla ciebie.

Gwałtowne otwarcie drzwi przerwało dalszy wylew uczuć.

Kochankowie spojrzeli w tę stronę.

— Mąż — krzyknęła Irreoltema — odepchnęła pułkownika od siebie i postąpiwszy szybko ku Edwardowi, objęła jedną ręką jego szyję — a drugą wskazując na klęczącego pułkownika, rzekła z siłą:

— Mężu, uwolnij mnie od widoku tego człowieka. On zelżył mnie, żonie swego brata śmiał mówić o miłości.

Edward osłupiał; tego co zaszło, nie spodziewał się wcale. Wprowadzony nocą do domu przez służącego, oczekiwał dziś niecierpliwie pod drzwiami zejścia się kochanków; chciał z piorunami stanąć przed wiarołomną żoną i powiedzieć jéj: podła! chciał pastwić się widokiem jéj przestraszonéj twarzy, zdemaskowanéj miłości — a tu naraz ta żona rzuca mu się na piersi, błogosławi chwilę jego przyjścia, nazywa wybawcą swoim i wzywa go, by bronił jéj honoru. To téż nie mógł przyjść do siebie z podziwu, osłupiałemi oczami patrzał to na nią, to na brata, zmięszanego również tą sceną — w głowie mu się pomięszało. Chwycił się oburącz za czoło i zawołał znękanym głosem:

— Przez Bóg żywy, niech mi kto z ludzi powie, czy ta kobieta mnie nie zwodzi?

— Niech on ci to powie — rzekła — z pospiechem rzucając pułkownikowi wraz z słowami rozkaz w spojrzeniu.

— Jam winny — rzekł ponuro pułkownik — jeżeli zechcesz zadosyćuczynienia — dam je, kiedykolwiek i gdzie ci się podoba.

— Więc nie dosyć ci hańbić żonę, chcesz jéj zabić

męża — zawołała z uniesieniem Irreoltema. — Edwardzie, na miłość twoją ku mnie zaklinam cię, tyś się z nim bić nie powinien.

Te słowa rozstrzygnęły wątpliwość Edwarda, uśpiły jego podejrzenia. Przycisnął żonę do piersi z miłością, a bratu rzucając groźne spojrzenie, pokazał ręką drzwi i rzekł:

— Precz!

Pułkownik ze spuszczoną głową, zmięszany, upokorzony opuścił salę.

W chwili jego odejścia Edward z ukosa śledził żonę, spodziewał się na jéj twarzy dopatrzeć choćby słabe oznaki wzruszenia. Nic nie zobaczył. Marmurowa twarz Irreoltemy nie drgnęła, nie zarumieniła się, a oczy pogardliwe spojrzenia rzucały na uwodziciela.

Gdy się drzwi zamknęły, Edward wziął żonę za rękę i całując ją, odezwał się:

— Przebacz mi Irreoltemo moją niewiarę i podejrzliwość.

— Który to już raz?

— Dręczę cię tém — to prawda; ale wierz mi, że najwięcéj dręczę siebie. Kiedy jestem przy tobie — uspokojony twemi słowami, jestem szczęśliwy; ale gdy sam jestem, podejrzenia wyłażą z serca jak gadziny zpod grobowych kamieni i gryzą mi serce okropnie. Nie czuję się godnym twéj miłości — dlatego w nią uwierzyć mi trudno. Gdybym miał pewność, że mnie nie kochasz — możebym cierpiał wiele, ale koniec końcem przecierpiałbym, przebolał i zapomniał może. Ale to szamotanie się między nadzieją i zwątpieniem — to jest męczące, straszne.

— Czegóż więc chcesz odemnie?

— Ja sam nie wiem. Zdawało mi się, że uwożąc cię z Warszawy, osiadając w téj samotni, będę zupeł-

nie szczęśliwym; los i tu nasłał udręczyciela. A kiedy tego braknie teraz, to moje własne serce będzie mi nasyłać nowych, będzie mi szeptać, że ty się tu nudzisz ze mną, że ciebie takie pustelnicze życie nie zadawalnia, żem cię zrobił nieszczęśliwą. — Ha, jaki ja dziwny — sam siebie nie cierpię za to.

— Nie mówmy już o tém. Ale tyś słaby. Czoło twoje zimne, a ręce rozpalone i wilgotne.

— To z nieprzespanych nocy i zaziębienia. Czuję się zmęczonym. Pójdę do siebie spocząć nieco.

Tu pocałował ją w rękę. Irreoltema z troskliwością i czułością wzięła go pod rękę i zaprowadziła na spoczynek. Niezadługo wróciła do sali pospiesznym krokiem, na twarzy znać było znudzenie i przesyt. Rzuciła się na kanapę i odetchnęła.

— Och, to męka takie życie. Kiedyż się uwolnię od tego człowieka?

Skrzywiła się cierpko jak po wypiciu gorzkiego lekarstwa i z tym wyrazem na twarzy zamyśliła się o czémś głęboko.

— Więc on się ukrywał w domu — szeptała do siebie po chwili — więc téj nocy to on był?

Wzdrygnęła się.

— Jeżeli on widział, jeżeli się domyślił. Jeżeli będzie chciał robić próby na mnie? — Boże!

Wstała żywo, potém sięgnęła ręką do kieszeni, wyjęła z niéj flaszeczkę i potrząsając nią, rzekła:

— To mnie ocali, a jego podejrzenia uspokoi.

Skrzypnięcie drzwi przestraszyło ją, odwróciła się ku nim z pospiechem.

— Pan prosi pani do siebie — odezwał się Antoni unikając spotkać się z jéj wzrokiem. Zadrzała lekko i szła. Za odchodzącą spojrzał służący szyderczo i rzekł:

— Złapałaś się we własne sidła — poszedł za nią

na palcach i stanął pod drzwiami pokoju, w którym następująca odbywała się rozmowa:

— Irreoltemo — mówił Edward — nie wiem czemu, ale dziś ogarnia mnie jakaś trwoga na widok tego lekarstwa, które stoi przedemną. Chciałbym je użyć, bo czuję tego potrzebę, a boję się. — Pomoż mi odpędzić tę śmieszną trwogę — spróbuj pierwéj sama.

Irreoltema była blada jak ściana, a siliła się do uśmiechu, drżącą ręką sięgnęła po szklankę i przytknęła ją do ust. Przez ten czas Edward nie spuszczał z niéj oka, widział jéj pomięszanie, drżenie. Poskoczył ku niéj z wściekłością i ściskając ją za rękę, zawołał:

— Ha, więc boisz się tych leków, któremi mię karmisz od tak dawna.

— Co? — odrzekła dumą marszcząc brwi. Rzuciła na niego z wysoka spojrzenie pogardliwe, potém odwróciła się, przechyliła szklankę i jednym tchem wypiła.

Kiedy postawiła szklankę, Edward już był u nóg jéj, tarzał się jak robak zgnieciony, całował jéj nogi i przepraszał. Korzystała z téj chwili, dobyła z kieszeni flaszeczki i wychyliła ją szybko. Otarła z czoła krople zimnego potu, spojrzała w zwierciadło, i uspokojona usiadła. Edward czołgał się za nią po podłodze i jęczał.

— Irreoltemo, daruj mi to czarne, obrzydliwe podejrzenie, nie odemnie ono wyszło. Zaraz dowiesz się o wszystkiém.

Zerwał się i zadzwonił. — Wszedł Antoni.

— Idź i zawołaj rządzcy. — Służący wyszedł.

— Wiesz, to ten łotr śmiał mi podsunąć myśl taką, on mnie przestrzegał. O zemszczę się na nim okropnie — tylko ty mój aniele nie karz mnie za to.

Milczała i patrzała na niego poważnie.

W téj chwili wszedł rządzca — za nim służący.

— Tego łotra — zawołał z uniesieniem Edward — wskazując na służącego — wyprowadzić i osmagać. Sto kijów, a potém precz ze dwora!

IV.

Domek na ustroniu.

Przez jednę ze znaczniejszych ulic Warszawy pędziła cwałem dorożka, w któréj siedział jakiś wojskowy wyższéj rangi; poznać to można było po błyszczących złotem szlifach, które się trzęsły na jego ramionach. Dorożka zatrzymała się przed jedną kamienicą i wojskowy wyskoczył z niéj szybko, wbiegł po schodach na pierwsze piętro i pociągnął silnie za rękojeść dzwonka. Drzwi się wnet otwarły — wojskowy wszedłszy, zrzucił futro na ręce służącego i spytał:

— Doktor w domu?

— Wyjechał na wieś do chorego, ale wróci popołudniowym pociągiem, co chwilę go się spodziewam. Może pan zatrzyma się w jego pokoju.

To mówiąc pchnął drugie drzwi prowadzące do kancelaryi doktora. Pułkownik wszedł tam i usiadł. Twarz jego nosiła ślady zniszczenia, jakie zostawia po sobie choroba lub wielkie zmartwienie, przeciągła się

w ostre rysy, usta cierpko się zacinały, zapadłe oczy miały ponury blask lamp pogrzebowych, a na policzkach czerwienił się chorobliwy, gorączkowy rumieniec. W cierpieniu jego była gwałtowność, niepokój. Nie dosiedział długo na miejscu, spojrzał na zegarek, wstał i chodził po pokoju. Dla skrócenia czasu rozglądał się po obrazach, z których kilka było roboty doktora. I patrzenie go zniecierpliwiło — odwrócił się i chodził znowu. Koło okna zatrzymał się czas jakiś; wśród gęstych bluszczów, które się zieleniły po lewéj stronie, wisiał jakiś blady sztych w dużych złotych ramach, sztych był dość lichy i zdawał się być nie wart tych ram bogatych i tego romantycznego ustronia wśród bluszczów, chybą, że był jakąś cenną pamiątką lub w oryginalny sposób robiony. Pułkownik chcąc się o tém przekonać, przysunął się bliżéj i dotknął się obrazu. W dotknięciu przekonał się, że nie był nawet oszklony i nie dość dobrze przystawał do ram, chciał go więc poprawić, gdy wtém sztych przechylił się i spadł na ziemię — odsłaniając olejny obraz cudownéj roboty i delikatności. Pułkownik spojrzał — i cofnął się w tył ze zdumienia i zachwytu. Obraz przedstawiał portret młodéj dziewczynki z kwiatkiem w ręku, do którego zbiega motyl o błyszczących tęczowych barwach. Dziewczynka ślicznéj urody, miała twarzyczkę alabastrowéj białości, bez rumieńca, gdzie niegdzie lekko błękitną żyłkę przeciągniętą; na odkryte ramionka spadały w artystycznym nieładzie rozrzucone czarne włosy, ustka otwarte lekko, a czarne, bezdenne oczy przyćmione długiemi rzęsami, goniły motylka, którego kwiatkiem nęciła ku sobie, a podniesioną rączką usiłowała złapać.

Pułkownik spojrzawszy na obraz zawołał: Irreoltema. Tak złudne podobieństwo było dziewczynki na obrazie z kobietą, któréj rysy nosił w sercu. Ale zkąd

ten obraz tutaj? Kto jest ta dziewczynka — czy to jéj portret, czy tylko przypadkowe podobieństwo?

Pułkownik zadawał sobie szybko te pytania stojąc osłupiały przed portretem. Nie miał jednak czasu odpowiedzieć sobie na nie, zebrać myśli, ani napatrzyć się obrazowi, bo w téj chwili w przyległym pokoju słyszeć się dały kroki i głos doktora. — Pułkownik zasłonił prędko portret sztychem i zwrócił się ku drzwiom, przez które właśnie wchodził gospodarz mieszkania.

Był to człowiek młody jeszcze latami, ale poważny w obejściu i spokojny w ruchach. — Duże myślące czoło powiększały znacznie od przodu przerzedzone jasne włosy, nosił długą blond brodę — a niebieskie oczy nieco w głąb wsunięte pod cień sklepionego czoła, miały spojrzenie łagodne, ale pewne i stanowcze. Wszedłszy powitał pułkownika serdecznóm, mocném uściśnieniem ręki; poczém wpatrując się w jego twarz, rzekł z współczuciem:

— Co się tobie stało pułkowniku, jesteś mocno zmieniony, tyś chory? i wziął go za puls.

Pułkownik odsunął rękę i rzekł z udanym spokojem.

— Owszem, zdrów jestem. Nie po radę lekarską przyszedłem do ciebie. Mam inny interes. — Usiądź.

Siedli pod oknem na kozetce. Pułkownik wziął z biurka nóż od papieru i bawiąc się nim, rozpoczął:

— Mówiłeś mi nie dawno konsyliarzu, że żyjemy na wulkanie, że każda chwila może przynieść z sobą wielkie, niespodziewane zmiany — wspominałeś mi coś o tajnych związkach organizacyi — odzywałeś się do mnie nie jak do pułkownika, ale jak do syna téj ziemi, na któréj się urodziłem.

— Odmówiłeś mi wtedy pułkowniku. Zrobiłeś to czego się najmniéj spodziewałem po tobie.

— Miałem swoje w tém powody, może i zasady

Wychowałem się w innych pojęciach, daleko od kraju; ludzie, których wy nazywacie wrogami, najezdnikami, byli moimi kolegami i przyjaciołmi, stan żołnierski moją ojczyzną. Zdradzić tych, wśród których żyłem, złamać przysięgę żołnierza, wydawało mi się zbrodnią.

— Dziś widocznie zmieniłeś zdanie.

— Nie mówmy o tém. Przyszedłem ofiarować wam moje usługi, chcę należeć do organizacyi.

— Ojczyzna zyskuje w tobie syna — zawołał z radością doktor.

— Mylisz się. Nie zmieniłem na włos moich przekonań; co czynię, czynię ze wstretem, honor mój odwraca ze wstydem oczy od słów moich i rumieni się za mój postępek.

— Dalibóg, nie rozumiem cię pułkowniku.

— I ja siebie mało rozumiem. Czuję czczość, nudę, pustkę tutaj — w sobie, chcę burzy, walki — rzucam się więc wbrew moim przekonaniom, wbrew wszystkiemu — chcę się szamotać — i zginąć. Samobójstwem się brzydzę — szukam więc śmierci u was.

— Mowa twoja bezbożna pułkowniku.

Pułkownik wstał i rozśmiał się dziko, jałowo:

— Bezbożna? Ha, doskonały jesteś doktorze. Chcesz nabożnisiem zrobić tego, który zatracił nawet pamięć, gdzie w jego duszy stał posąg wiary. Jest w waszym kościele jakaś uroczystość — nie pamiętam kiedy, podczas któréj zasłaniają kirem krzyże, wywracają świeczniki na ołtarzu, — to obraz mojéj duszy; zedrzyj kir, a zobaczysz w nim miasto krzyża ciemną pustkę, któréj nawet hamletowskie zapytanie nie zapełnia, nie rozjaśnia. — Nic — tabula rasa. Pisałem na niéj od czasu do czasu różne nazwiska — i ręką doświadczenia, rozczarowania zcierałem je po kolei, dziś kreski

i pokrzywione rysy zostały po nich, jak blizny po starych ranach...

— I czy z tém jesteś szczęśliwy, żeś odrzucił i podeptał to, w co inni wierzą?

— Czym szczęśliwy? Gdybym nim był, czyż rzucałbym się w takie szaleństwo, do jakiego mnie teraz wiedzie rozpacz i zwątpienie?

— Więc zejdź z téj drogi, na któréj nie znalazłeś spokoju.

— Dziecko z ciebie doktorze. Czyż można wiarę odtworzyć sobie, wmówić w siebie, pożyczyć, kupić? Nie. Młodość i nieświadomość podają nam do ust pełną czarę tego nektaru, co się wiarą nazywa, kto ją wychyli do dna, uczuje na spodzie mętną gorycz doświadczenia i pusty czerep w dłoni. Drugi raz cud się nie powtórzy.

— Jestem starszym od ciebie pułkowniku, a nie widziałem dna téj czary.

— Bo cedzisz z niéj napój po kropelce. Wiara jak każda namiętność techce nerwy dotąd, póki nie zadowolnimy jéj zupełnie — wtedy następuje przesyt.

— Na Boga, co mówisz pułkowniku: wiara u ciebie namiętnością?

— Namiętnością, uczuciem, nazwij to jak chcesz, mniejsza o nazwę, dość, że rzecz prawdziwa.

Doktor spojrzał na mówiącego i pokiwał smutnie głową.

— Chorym jesteś pułkowniku?

— Źleś powiedział, jestem trupem zabalsamowanym, który ma wszystko co na zewnątrz znamionuje człowieka, ale wewnątrz nie ma nic — nic.

— Więc to nic, tę ruinę człowieka chcesz oddać na ołtarz ojczyzny?

Taką ofiarę odrzucić musimy.

— Będę ślepym wykonawcą waszych rozkazów,

będę zabijał gdy każecie, spiskował, zdradzał mój rząd — czegóż więcéj chcecie odemnie?

— Serca całego.

— Dam wam odwagę, jaką ma człowiek, który chce umrzéć; będę się rzucał na największe niebezpieczeństwa, dokonywał niepodobnych rzeczy — i za to nie żądam wdzięczności, miłości waszéj, sławy, ani męczeńskiéj palmy — od was nic, nic nie chcę, a od tych, którym przysięgałem, chcę stryczka lub kuli. Za tak małą cenę — czyż możecie odrzucić moje usługi?

— Powinniśmy. My walczymy w imieniu najświętszéj sprawy, bo sprawy wolności; ludzie więc, którzy téj idei mają być apostołami, powinni ile ich sił i możności, stać się jéj godnymi życiem, duchem, słowem.

— Czy skrytobójcy, co się rzucali na nas są takimi apostołami? spytał pułkownik z ironicznym uśmiechem.

— To nie byli skrytobójcy, oni w jasny dzień rzucali się na naszych prześladowców, których posiłkowały armije bagnetów i szubienice cytadeli, oni dawali życie za życie. A zresztą to najciemniejsza strona naszych czynności, którą okoliczności położenie nasze jeżeli nie rozjaśniają zupełnie, to przynajmniéj w części usprawiedliwiają; ale mamy inne, piękniejsze, od których wzrok odwracasz. W organizacyi naszéj są ludzie, którzy mogli cieszyć się w cichości odrobiną szczęścia domowego, opływać we wszystko; a jednak ci ludzie wyrzekli się tego wszystkiego — dla drugich, przestali żyć dla siebie. I ty z tymi ludźmi pełnymi zaparcia się, poświęcenia, ofiar, chcesz stanąć w jednym szeregu, ty, który na ofiarę przynosisz resztki życia ocalone od strzału pistoletu? Czyż wstyd nie spaliłby ci twarzy pułkowniku, gdybyś się między nimi znalazł?

— Gdzież więc zawlec, gdzie rzucić te resztki ży-

cia, które noszę z obrzydzeniem jak zbłocone łachmany?

— Oczyść je miłością dla kraju, w ogniu téj miłości i poświęcenia dusza twoja oczyści się i wyjdzie świecąca jak złoto.

— Ty wierzysz w takie odrodzenie?

— Wierzę, zwłaszcza u ciebie. To co mówisz o czczości, przesycie, jest czczą deklamacją, w tobie jest życie, ale jakaś ciężka boleść przygniotła je. Tyś nie przeżył, aleś odrętwiał pod jakimś ciosem. Czy można zajrzeć w głąb twoich tajemnic? Nie ciekawość, ale przyjaźń mnie tam wiedzie.

— Nie, nie, — dajmy temu pokój, nie mówmy o tém — rzekł pułkownik zerwawszy się z krzesła. Mówisz tak, bo nie znasz mnie. Przekonywać cię nie będę.

— Ty cierpisz bardzo — rzekł doktor biorąc rękę pułkownika, którą mu ten wyrwał z pośpiechem.

— Nie, nie, mylisz się — odrzekł i zwrócił rozmowę na co innego.

Po chwili usiadł i odezwał się:

— Ale, ale, czyj to obraz? Tu pokazał na obraz wiszący wśród bluszczy.

— To jakiś stary sztych — odrzekł doktor mięszając się.

— Ja nie o sztych się pytam, ale o to, co się po za nim ukrywa.

— Więc widziałeś?

— Przypadek odsłonił mi tę tajemnicę. Kto jest ta dziewczynka?

— Towarzyszka moich lat dziecinnych.

— Któż malował ten portret?

— Ja sam.

— W Petersburgu gdyśmy się poznali nie widziałem u ciebie tego portretu.

— Zrobiłem go późniéj.

— A więc z pamięci?

— Tak, z pamięci.

— Musiała ci być drogą pamięć téj dziewczynki?

— Z nią wiązały się wspomnienia mojéj młodości. Mieszkaliśmy w jednym domu, bawialiśmy się razem. Najulubieńszą jéj zabawą było wychodzić na dach i po szczycie jego chodzić z rozpiętemi jak skrzydełka rączkami. Gdym ją tak widział kołyszącą się na szczycie dachu lubo nie zbyt spadzistego, truchlałem z trwogi i przerażenia, wtedy ona klaskając w ręce śmiała się ze mnie i mówiła: nie bój się, ja lubię wysoko chodzić, jak będę starszą — to będę jeszcze wyżéj się spinać. Gdy mówiła tak, musiałem jéj wierzyć, bo ta mała miała dziwną władzę nademną i zrobiła mnie swoim niewolnikiem. Byłem zawsze na jéj usługi; nieraz całemi godzinami wpatrywałem się w nią ze szkodą łaciny; ona wtedy zdawała się nie widzieć tego, ale gdym chciał odchodzić zabraniała — zostawałem więc i przylgnąłem bardzo do tego dziewczęcia, choć nieraz widziałem w jéj charakterze rysy, które mnie strachem przejmowały. I tak pamiętam raz uwiązała gołębia i jastrzębia na jednym sznurku przywiązała je na końcu wysokiego drążka sterczącego w ziemi i usiadłszy opodal przypatrywała się z zajęciem i upodobaniem nierównéj walce, a potém rozpacznemu szamotaniu się jastrzębia, który w końcu bezsilny zawisnął na sznurku. Ta mała drobnostka tak utkwiła w mojéj pamięci, że tyle lat nie zdołały jéj zatrzeć w pamięci.

— I długo byliście tak z sobą?

— Dwa lata. Potém ja wyjechałem do Warszawy, następnie do Petersburgu.

— A ona?

— Poszła za mąż.

— I nie widzieliście się potém więcéj?
— Owszem, widziałem ją przed kilkoma godzinami.
— Więc ona jest tu — w Warszawie.
— Nie, na wsi. Byłem u nich, leczę jéj męża.
— Imię téj kobiety?
— Pułkowniku, bawisz się ze mną w udawanie. Wszak musiałeś w tych dziewczęcych rysach poznać znajomą ci kobietę? Dla tego właśnie powiedziałem ci wszystko, byś w tym zasłoniętym obrazie nie widział tajemnic, których nie ma.
— Więc to Irreoltema?
— Tak.
— I ty jesteś lekarzem mego brata?
— Już od jakiegoś czasu.
— A nie wspominałeś mi nic o tém.
— Było to życzeniem Irreoltemy; prosiła również bym przed jéj mężem nie wydawał się z twoją znajomością. Nie wiem jakie ma w tém powody, ale uczyniłem zadość jéj żądaniu.

Pułkownik słuchał w roztargnieniu ostatnich słów doktora. To, o czém się dowiedział, było tak niespodziewane, dziwne, że sprawy sobie z tego zdać nie umiał. Jemu się zdawało, że opuściwszy dom brata, wyszedł z zaklętego koła wpływu téj kobiety, i jak błędny kometa roztrąca się wśród nieznanych światów, aż nagle ujrzał, że to koło aż tutaj rozszerzyło swe kręgi, że i tu są ludzie, którzy ją znali, znają — a może co więcéj. Podejrzenie jak gadzina ukąsiło go w serce, spojrzał badawczo w oczy doktorowi i spytał:

— Więc ty kochasz tę kobietę?

Doktor spuścił oczy w ziemię i milczał. — Pułkownik zawrzał cały, zerwał się i przystąpił ku niemu.

— Kochasz ją? — A ona?
— Zkąd to pytanie? Zapominasz pułkowniku, że

ona ma męża. Gdyby była wolną, nie wiem, czy zdobyłbym się na powiedzenie jéj, na zdradzenie się przed nią z moją miłością — a cóż dopiero teraz. Są miłoście bez słońc, bez gwiazd, bez nieba — powiedział poeta. Do takich należy moja. A ciebie tylko przypadek zaprowadził w tę ciemne tajemnicze kryjówki, w których zamurowałem miłość moją żywcem jak Antigonę.

— A gdyby przypadek usunął przeszkody dzielące cię od niéj? — spytał pułkownik i niecierpliwie zawisnął wzrokiem na ustach doktora wyczekując odpowiedzi.

— Gdyby się tak stało.... tu zamyślił się doktor.

— To cóż?

— To stworzyłbym sobie nowe, nieprzebyte przeszkody, bo o ile kocham tę kobietę, o tyle się jéj boję. Jest to dla mnie piękność straszliwa, na którą z uwielbieniem i zachwytem patrzeć mogę, ale nie umiałbym z nią żyć, pieścić się i być szczęśliwym. Dawniéj gdy matka opowiadała nam powieści o duchach, doznawałem podobnego wrażenia. W téj kobiecie jest demoniczność, która pociąga — i oddala zarazem.

— Nie zupełnie rozumiem cię doktorze — sądziłem, że medycyna inne ci dała pojęcia o miłości. U mnie miłość — to rozkoszne drżenie nerwów, ciągła irrytacja. Taki stan gorączkowy — to się u mnie nazywa życie, po za tém nic. Popędzać krew w żyłach tém namiętném uczuciem lub ziewać — jedno z dwojga. Mnie teraz zostało to drugie.

— Nie zgodzimy się nigdy w zapatrywaniach.

— Mniejsza o to, nie chcę być apostołem zapatrywań, które mnie samemu nie zbyt wystarczają do szczęścia.

Rozmowa na chwilę się przerwała; doktor porządkował papiery, pułkownik brzękał palcami po szybach. Po niejakim czasie odwrócił się i zapytał:

— Jakże znalazłeś mego brata — doktorze?

— Bardzo źle. Nie sądziłem, że użycie morfiny, którą mu przepisałem tak zgubnie podziała na jego organizm; skutki tego są zbyt widoczne: cofnąłem więc to lekarstwo.

— Cóż mu więc jest?

— Dawniéj była bezsenność, nerwowy ból głowy. Teraz nastąpiła jakaś ociężałość, stępienie myślenia i pamięci; a częste wybuchy gwałtowne, do jakich zdaje się być skłonnym, pogarszają ten stan jeszcze bardziéj. Ten przebieg choroby u niego jest mi trochę niewytłomaczonym.

— I długo w podobnym stanie żyć może?

— Przy starannéj kuracyi pociągnie czas jakiś.

Znowu umilkli na czas jakiś. Tą razą doktor przerwał milczenie.

— Więc cóż pułkowniku — możemy rachować na siebie, na twoje przywiązanie do kraju, na twoje poświęcenie?

— Co mnie obchodzi kraj? Jeżeli się nauczę żyć — to będę żył tylko dla siebie.

— Taka mowa grzechem, a takie życie zbrodnią. Wiesz co powiedział poeta:

Bo kto używa
Żywota, obok potoku
Którym sprawy Boże płyną,
Kto chce spokojny z rodziną
Swoją kość gdzieś gryść na boku,
Wiejskich kosztować słodyczy,
Choć się nie policzą ludzie,
To się Bóg z takim policzy.

W téj chwili głośny krzyk i łoskot upadającego pod drzwiami ciała przerwał dalszą rozmowę. Doktor

zerwał się i poskoczył ku drzwiom, otworzył je i zobaczył młodą kobietę w pół omdloną, która zdyszanym i zmęczonym głosem ledwie mogła wyrzucić z piersi prośbę:

— Ratujcie!

Doktor chwycił omdlałą wpół, podniósł z ziemi i cucącemi środkami przywołał do przytomności. Młoda kobieta otworzyła oczy, spojrzała niemi spokojnie w koło i zatrzymała je na doktorze.

— Gdzież ja jestem?

— U doktora.

Przeciągnęła ręką po czole jakby usiłowała zebrać myśli i szepnęła cicho:

— Bogu dzięki.

— Czy pani potrzebujesz rady lekarskiéj? — zapytał podając jéj krzesło.

— Nie, chroniąc się tutaj, nie myślałam, że trafię do doktora; szukałam tylko uczciwych ludzi i ich obrony przeciw podłym.

Tu zwróciła z przestrachem oczy na drzwi.

— Co się pani stało?

— Jakiś człowiek nadużył mego zaufania — okropnie nadużył.

Usiadła i odetchnęła cicho — potém daléj mówiła:

— Wracałam ze Starego-Miasta, gdy wtém koło kolumny Zygmunta przypadkowe poślizgnięcie się pozbawiło mnie latarki. Nie wiedziałam co począć — truchlałam na myśl, że mogę być aresztowaną. W téj chwili jakiś młody człowiek z latarką przypiętą jak róża do surduta, przechodził koło mnie — w jednéj chwili przyszło mi postanowienie, do którego tylko śmiertelny przestrach mógł skłonić kobietę — powierzyłam się jego opiece i prosiłam, by mnie zaprowadził do matki. Z uśmiechem, który mnie dreszczem przejął, podał mi rękę

i prowadził przez różne ulice. Zwróciłam jego uwagę że źle idziemy, że mieszkam w ustronnéj części Chmielnéj. Nic nie odpowiadał, czasami tylko nachylał się ku mnie, a wtedy oczy jego jakimś szatańskiem błyszczały światłem. Trwoga niewymowna ogarnęła mnie czegoś, nie zdradzałam jéj jednak słowami, udawałam ufność i spokój. Gdy naraz ten człowiek skręcił do jakiejś dużéj narożnéj kamienicy, nie daleko stąd.

Gdzie mnie pan prowadzisz? spytałam.

Tu mieszkam, odrzekł i pociągnął mnie za sobą. Wyrwałam z całą siłą na jaką się zdobyć mogłam moją rękę zpod jego ramienia i nie dbając już o to, na co się narażam, poczęłam biedz co tchu. Zdawało mi się, że mnie to ocali. Ale ten nikczemnik nie mogąc mi nadążyć, krzyknął na dozorcę policyjnego, by mnie aresztował. Strwożona wpadłam do tego domu, a słysząc jego kroki za sobą, biegłam aż tutaj.

— Więc nędznik aż tutaj śmiał za panią gonić? — spytał doktor, i wziąwszy pospiesznie kapelusz, wybiegł z pokoju. Tuż przed drzwiami zderzył się z jakimś wysokim mężczyzną.

— Kto tu? — krzyknął groźnie.

— Czy pan jesteś doktór N.? — spytał nieznajomy.

— Tak.

— Jestem Teodor W. pański naczelnik w organizacyi narodowéj.

— Wiem o tém.

— Przed chwilą weszła do tego domu kobieta młoda, do któréj mam pewne prawa. Ta kobieta weszła w te drzwi, do pańskiego mieszkania. Pozwolisz pan, że ją z sobą zabiorę.

To mówiąc, postąpił ku drzwiom o krok daléj. Doktór w gwałtownym ruchu zastąpił mu drogę.

—Ani kroku daléj.

— Jestem przełożonym twoim, żądam posłuszeństwa.

— I będę nim, gdzie idzie o sprawę kraju, ale nie tam, gdzie się targasz na cnotę kobiety. Bezcześcisz sztandar, pod który się zaciągnąłeś, hańbisz sprawę, któréj jesteś organem. Gardzę tobą i nie znam cię.

— Nie na kazania tutaj przyszedłem — rzekł nieznajomy pogardliwie, i chwyciwszy silną ręką doktora, chciał go odsunąć na bok i sam wejść do pokoju. Ale doktór był przygotowany na ten ruch, oparł się nogą o drzwi i tak silnie uderzył całém swém ciałem nieznajomego, że ten zachwiał się, zatoczył i spadł na schody.

Doktór nie czekał aż wstanie; wrócił do pokoju i rzekł:

— Pułkowniku, trzeba nam odprowadzić tę panienkę — matka jéj może być niespokojną.

Młoda kobieta podziękowała mu za te słowa łagodném spojrzeniem.

Za chwilę wyszli — doktór podał rękę kobiecie, i idąc z nią, upatrywał przed domem nieznajomego. Nie było go już. — Zawołał na doróżkę i wsiedli.

— Gdzież mam panią odwieść, pytał doktór z uszanowaniem swéj towarzyszki.

— Ulica Chmielna — na końcu — zresztą ja sama pokażę.

Doróżka unosiła ich pędem przez ulice pełne świateł ruszających. Rozkaz rządu moskiewskiego nakazywał już wtedy noszenie latarek, przez co każda ulica miała taki pozór wieczorem, jakby przez nią kondukt żałobny przechodził.

Osoby siedzące w powozie milczały. Naraz panienka odezwała się:

— Tutaj.

— Stój — krzyknął doktor na dorożkarza; potém wyskoczył i podał rękę wysiadającéj kobiecie.

Uliczka, na którą zajechali, była pusta prawie; po jednéj stronie ciągnął się mur długi, przy końcu którego mała furtka była. Przed tą właśnie furtką zatrzymał się powóz, panienka zadzwoniła: nie długo czekali, jakaś stara służąca wnet otworzyła furtkę — panna podziękowała doktorowi za opiekę serdeczném uściśnieniem ręki, skinęła głową jego towarzyszowi i zniknęła w ogrodzie.

— A to romantyczna awantura — odezwał się pułkownik, który dotąd jako niemy świadek się zachowywał. — Ratujemy jakąś piękną nieznajomą, odwozimy w odległe ustronie, w jakieś zaklęte a przynajmniéj zamknięte ogrody — ona znika — wszystko jak w średniowiecznych romansach. Pfe, wstyd mnie za ciebie doktorze. Trzeba było choć trochę pamiętać, że jesteśmy w Warszawie i spytać choć o jéj nazwisko.

— A to po co?

— No, bo przecież spodziewam się, że pójdziesz jutro spytać się o jéj zdrowie; ciekawym więc jak będziesz się pytał o nią; przeczucie może być wcale błędnym przewodnikiem, a pytać się: — czy tu mieszka piękna nieznajoma, którą wczoraj ocaliłem — to znowu nie uchodzi.

— Ja tam wcale nie pójdę.

— Tak? Ta rybia piękność widocznie nie przypadła ci do gustu. Podzielam całkiem twoje zdanie i ja nie lubię takich osyanicznych piękności o bladych twarzyczkach, błękitnych oczach, i cichéj i pogodnej duszy. Kobieta, któréj wzrok mnie nie pali, dotknięcie nie sprawia febrycznych dreszczów i bezsennych nocy, nie jest u mnie pięknością.

Doktor skrzywił się nieznacznie na te słowa.

— Nie zrozumiemy się nigdy, pułkowniku. Nie

pójdę tam, boby to wyglądało, że przychodzę po nowe podziękowania, że chcę korzystać z przypadkowéj znajomości.

Doróżka zatrzymała się przed mieszkaniem doktora, który pożegnawszy pułkownika wysiadł i poszedł do siebie. Wrócił dziwnie zamyślony. Jakkolwiek przed chwilą mówił pułkownikowi, że nie chciałby korzystać wcale z téj przypadkowéj znajomości, jednak zdawało mu się to niepodobném, aby ta tak dziwnie zawiązana znajomość mogła się urwać zaraz w pierwszéj chwili i to na zawsze. Z lubością zatrzymywał się pamięcią na téj chwili, w któréj blada twarz nieznajoméj oparta na jego ramieniu lekkim rumieńczykiem dawała znaki życia, w któréj podnoszące się powieki odsłoniły jéj jasne, cudne oczy. Spojrzenie tych oczów podziałało wtedy na niego, jak ciepłe promienie wiosennego słońca, gdy padną na zamrożoną ziemię. — Długo chodził po pokoju myśląc o niéj. — Kiedy przechodził koło okna firanka trącona jego ramieniem poruszyła się, bluszczowe listki przebudzone tém poruszeniem drgnęły i dotknęły obrazu wiszącego w ich ukryciu. Sztych lekko tylko założony zsunął się na ziemię z szelestem. Doktor odwrócił się i zmięszał ujrzawszy nagle odsłoniony portret Irreoltemy. Twarz jéj wśród kołyszących się bluszczów zdawała się ożywiać i ruszać. — Wrócił ku oknu i stanął przed portretem. Pierwszy raz dzisiaj portret ten wydawał mu się mniéj pięknym. Twarz białą porównał do gipsowéj maski zdjętéj z najlepszych posągów starożytnych, oczy do otworów czarnych bezdennych przepaści, w którą człowiek bez trwogi spojrzeć nie może — jakieś zimno marmurowe wiało na niego od portretu. Mimowoli zrobił porównanie między portretem, a ową blondynką. Pierwsza wydała mu się, jak księżycowa noc na cmentarzu, wśród któréj czło-

wiek doznaje silnych wrażeń zachwytu i przestrachu, druga jak pogodny wieczór nad cichą wodą pod pachnącemi lipami ozłoconemi słońcem, w którym człowiek siada w progu chaty, słucha dzwonka co dzwoni na Anioł-Pański i mówi: jak mi dobrze. — Doktor zasłonił portret i odszedł do stolika — ku lampie. Potrzebował światła, by niém żywić te jasne, ciepłe promienie, co teraz rozjaśniały jego duszę; piękna blondynka wciąż stała mu na oczach a w miarę jak się w nią wpatrywał twarz jéj ożywiała się, karminowe wązkie usteczka rozchylały się do uśmiechu i wprawiały w ruch dwa dołeczki wdzięków. Wreszcie refleksja rozpędziła to jasne widziadło.

— Na co się to zda — pomyślał sobie — marzyć o dziewczęciu, które o mnie już pewnie zapomniało. Jak ona była milcząca ciągle, na jéj twarzy znać było wyraźnie chęć pożegnania nas jak najprędzéj — jak skwapliwie wybiegła z powozu i —

Tu uwagi doktora zatrzymały się. Przypomniał sobie, że odchodząc z takim pośpiechem, nie zapomniała podać mu ręki na pożegnanie, że ta rączka lubo nieśmiało go dotknęła, jednak serdeczném uściśnieniem podziękowała mu za opiekę. Ten uścisk nawrócił znowu myśli jego do nieznajoméj blondynki i w marzeniach o niéj doktor usnął.

Na drugi dzień wstał wcześniéj niż zwykle, ubrał się z pośpiechem i wyszedł na ulicę. Ranek był pogodny i świeży — dymy z kominów prościuteńkim słupem podnosiły się w niebo zabarwione na różowo wschodzącém słońcem. Nie była to jeszcze godzina wizyt u pacjentów, doktor więc postanowił przejść się trochę ku rogatkom Mokotowskim. Potém jednak zdawało mu się to za daleko i skręcił w ulicę Chmielną. Minął Szpitalną, Marszałkowską i nie zatrzymując się

szedł aż tam, gdzie domy coraz rzadsze, a natomiast parkany drewniane i mury ciągną się wzdłuż ulicy. Jest to przejście z miasta do wsi; powietrze tutaj czystsze, nieba więcéj pokazuje się oczom, a daléj widno już szerokie pole.

Doktór zwolnił kroku, uważniéj przypatrywał się domkom, czasami zatrzymywał się i oglądał. Nie było to proste gapienie się, doktór szukał furtki, przed którą wczoraj wysiadła nieznajoma. Nie miał żadnéj w tém myśli, chciał tylko wiedzieć, gdzie ona mieszka, zbliżenie się do murów, wśród których ona przebywa, było dla niego wielką przyjemnością. — Trudno mu jednak było odszukać furtki, było ich bowiem kilka podobnych. Wśród tych oględzin, jeden domek zwrócił jego uwagę. Za murem w ogrodzie stał niewielki domek o jedném piąterku — drewniany, z rzeźbionym misternie ganeczkiem i takąż facjatką. Dwa okienka ubrane w geranijki i miesięczne róże, osłonięte białemi firaneczkami z zieloną klatką, wyglądały skromnie zpod cienia ganeczku. To ciche, milutkie mieszkanko bardzo spodobało się doktorowi; wyobrażał sobie jak mile musi być mieszkańcom tego domeczku w lecie, gdy nagie teraz i przyprószone śniegiem gałęzie zazielenią się i oplotą ganek, gdy woń białych kwiatów napełni powietrze.

Gdy tak wpatrywał się w ten domek — z ciemnéj sionki wyszły na ganeczek dwie kobiety. Pierwsza z nich niosła książkę do nabożeństwa, podała rękę drugiéj, starszéj i obydwie zeszły ostrożnie po schódkach. Za chwilę brzęknęła furtka i kobiety wyszły na ulicę. Doktór nie widział wprawdzie twarzy ani jednéj, ani drugiéj, ale przeczucie kazało mu wierzyć, że jedną z nich jest owa nieznajoma, a druga jéj matka; wszakże wczoraj wspominała coś o matce. Nie czekał więc już dłużéj, ale szedł powoli i zdaleka niepostrze-

żony za owemi dwiema kobietami, które nie zatrzymując się nigdzie, zdążały prosto do kościoła ś. Krzyża. Doktór wszedł za niemi i stanął przy drzwiach wchodowych, mając na oku klęczące przed wielkim ołtarzem. Długi czas upłynął zanim powstały i zwróciły się do odejścia. Doktór zadrżał, jakieś błogie, dziwne uczucie przeszło go, w jednéj z kobiet poznał nieznajomą blondynkę, druga była o wiele starszą, ale miała te same rysy, tę samą pogodę oblicza, jakiś anielski spokój wiał od tych istot. Doktór z czcią patrzał na nie

Gdy się zbliżały do kropielnicy, blondynka spostrzegła doktora stojącego pod chórem i uprzejmie skinęła mu głową, potém nachyliwszy się ku matce, coś jéj pocichu do ucha szeptała. Matka obejrzała się i zbliżywszy się do pomięszanego i nieśmiałego, odezwała się:

— Więc to panu mam podziękować za obronę od napaści mojéj pieszczotki? Błogosławię przypadkowi, który mi pozwolił to uczynić, bo Helenka wczorajszym wypadkiem tak była pomięszana, że podobno zapomniała podziękować panu. — Bóg ci zapłać.

— Pani dobrodziejko — każdy na mojém miejscu byłby... mówił zakłopotany doktór kłaniając się co chwila.

Matka podała dłoń, uścisnęła serdecznie i wyszła wraz z córką, która odchodząc miała jeszcze dość czasu spojrzenie i ukłon dodać do podziękowań matki.

Doktór był wzruszony, odurzony tém spotkaniem, nie wiedział co się z nim działo, doznawał tego uczucia, jakie ma człowiek, gdy mu się śni, że lata po powietrzu: tak mu było lekko, — dobrze. Szczęście to rozrzewniło go, ukląkł i począł się modlić gorąco, wśród modlitwy przyszedł mu na myśl drewniany domek na ustroniu, umajony zielonemi drzewami, ozłocony słońcem, a w tym domku dwie twarze pogodne, święte prawie i modlił się, by to wszystko nie odbie-

gło od niego jak sen złudny, by mógł kiedy wejść do tego nieba na ziemi. — Z rozpromienioną twarzą wstał od modlitwy i wyszedł z kościoła. Naraz dziwny widok uderzył jego oczy. Całą szerokość ulicy wypełniał tłum ludu, wśród którego jęki i lamenty kobiece głośno się odzywały. Doktór stojąc na podwyższeniu, mógł dokładnie przypatrzeć się wszystkiemu i nie długo potrzebował szukać przyczyny narzekań. Otoczeni żołnierzami i bagnetami szli środkiem ulicy rekruci. Twarze ich wynędzniałe i smutne, głowy ogolone na dół zwiesili, ubranie na nich dziwaczne z resztek domowéj odzieży i z żołnierskich starych czapek i szyneli, w chodzie ich znać było znużenie wielkie. Na przodzie szedł jakiś mieszczanin w długiéj kapocie, w kobiecych trzewikach i okrągłéj żołnierskiéj czapce. Ubiór tak dziwaczny mógłby rozśmieszyć każdego, gdyby nie ten błędny wyraz oczów, z których płynące łzy dziwne floresy popisały na brudnéj twarzy. Ten płaczący człowiek trzymał na ramieniu skrzypce i grał. Drugi obok niego w połatanéj sukmanie z gołą głową, od któréj odstawały duże uszy, uderzał co chwila w bęben zawieszony na sznurze. Bęben ciężył mu widać, bo aż się zgarbił i idąc ciągle się potykał. — Okropną była ta mieszanina pstrokatych twarzy, muzyki, łez i smutku. — Byli to rekruci, których z prowincyi przygnano do Warszawy — rozkazano im śmiać się, weselić i grać, bo nazajutrz miało stać w dziennikach urzędowych, że przyprowadzono do Warszawy nowy transport rekrutów, który z ochoczą muzyką przeciągał przez ulice okazując radość i zadowolnienie, że im się nadarza sposobność służenia najjaśniejszemu carowi. O lamentach i rozpaczy dzienniki zamilczą, a żołnierze tłumili je częstemi uderzeniami kolby. — Był to widok rozdzierający serce. — Doktorowi patrzącemu

na to zrobiło się nagle tak smutno, jakby wiatr z mogiły wionął na niego, ten widok zasłonił mu jak czarna chmura to niebo, w jakie wpatrywał się tam w kościele klęcząc pod chórem. Wstyd go było, że prosił o szczęście dla siebie, gdy tylu ludzi jest nieszęśliwych, że marzył o spokojném życiu w kraju burz i nieszczęść.

Ta scena uliczna przypomniała mu, że jako członek organizacyi ma dzisiaj sessyją. Pospieszył więc do chorych, aby ułatwiwszy się z niemi, mógł na naznaczoną godzinę stawić się na umówione miejsce. Jakże się zdziwił, gdy przyszedłszy tam, zastał drzwi zamknięte, na jego pukanie nikt nie odpowiadał. Odszedł więc dziwnie zaniepokojony i pełen domysłów. Na dole spotkał jednego z członków, który zażądał od niego zwrotu upoważnienia nadającego mu prawo zbierania składek i werbowania ludzi do organizacyi.

— Jakiż powód tego? Czy jakie zmiany w rządzie?

— Nic nie wiem. Mam rozkaz i jestem mu posłuszny.

Doktór ruszył ramionami, dobył za rękawa niebieski papier opatrzony pieczęcią rządu i oddał żądającemu.

— I ja więc będę posłuszny — rzekł. — Nie wiem dla czego cofacie zaufanie, jakieście we mnie położyli, wierzę, że słuszne do tego macie powody. Nie wchodzę w nie. Ale gdy zapotrzebujecie mnie znowu, chętnie stanę na wasze usługi.

To rzekłszy, podał rękę temu, do którego mówił. Ten nie przyjął podanéj ręki, odwrócił się i wyszedł na ulicę.

Doktór nie mógł wyrozumieć tego postępowania jakieś złe przeczucie ogarnęło go, przyszła mu na myś wczorajsza scena z Juliuszem N., który może oszczer stwem mści się na nim za to. Ale wnet odrzucił te domysł od siebie. Nie mógł on przypuścić, aby tan

gdzie idzie o sprawę tak świętą, tak wielką, mógł ktoś osobistemi powodować się urazami i zawiścią.

— Nie, to niepodobna. — Mógłby mnie wyzwać, mógłby mi szkodzić innym sposobem, ale nie użyłby pewnie środków, które służą świętéj sprawie, dla nasycenia prywatnéj zemsty. Jest jakieś nieporozumienie. Może zmiana w organizacyi, może większa centralizacja władzy.

Uspokojony tém tłomaczeniem, udał się do siebie. W sieni spotkał jakiegoś starego żołnierza o kuli, który rozmawiał ze stróżem.

— A oto właśnie idzie pan doktór, o którego się pytacie — rzekł stróż, pokazując na wchodzącego.

Żołnierz zmięszał się tém niespodziewaném przyjściem.

A czegóż to chcecie? — spytał doktór.

— Jestem niezdrów, przyszedłem po radę — bąknął niezrozumiale.

— Nie jest to wprawdzie godzina, w któréj przyjmuję; ale chodźcie.

Poszedł na górę. Żołnierz za nim, sztukając szczudłem po schodach — wzrok tego ostatniego był dziwnie niepewny, ruchy jakieś niespokojne. — Gdy weszli do kancelaryi — żołnierz sięgnął głęboko do kieszeni i gwałtownym ruchem postąpił naprzód. Coś błysnęło w jego ręku. W téj chwili doktór odwrócił się ku niemu — żołnierz cofnął się i znieruchomiał.

— Co wam brakuje? — Pokażcie puls.

Żołnierz schował to co trzymał i machinalnie podał rękę.

— Puls bardzo przyspieszony, gorączka mocna. Musieliście się czem zmartwić, lub o coś mocno zaniepokoić. — Apetyt macie?

Żołnierz chciał odpowiedzieć, ale głos zaschł mu w gardle, z trudnością przełknął ślinę i odpowiedział:

— Nie mam.

— Nie jest to nic niebezpiecznego. Zaraz zapiszę wam lekarstwo.

To mówiąc, usiadł do stolika. — Przez ten czas żołnierz patrzał na piszącego wzrokiem okropnie dziwnym, twarz jego żółta i sterana to nabiegała krwią, to bladła, muszkuły twarzy drgały i zmieniały się co chwila, a ręka niespokojnie sięgała do kieszeni i nie mógł jéj dobyć ztamtąd, jakby go coś więziło i przytrzymywało. — Zbliżał się zcicha i oddalał znowu.

Doktór nie widział téj walki, tego dziwnego wewnętrznego jakiegoś pasowania się. Napisał receptę, wstał i podając żołnierzowi, rzekł:

— To lekarstwo i trochę spokoju mój stary, a będzie wam lepiéj. — Jeżeli macie jakie zmartwienie wielkie, to szukajcie rady w kościele — Bóg wam więcéj pomoże niż ja. Ufajcie mu.

Żołnierz drżącą ręką wziął od niego receptę, niespokojne oczy nabiegły krwią i załzawiły się mocno. Żołnierz zapłakał.

— Co wam to mój stary? — spytał doktór dobrotliwie.

— Nic, nic.

I zabierał się do odejścia. Doktor patrzał na odchodzącego wzrokiem zdziwienia, nie mogąc pojąć jego postępowania, jego niepokoju i wahania się.

— Wy jeszcze czegoś chcecie — może jesteście biedny? co? — odezwał się stojąc przy drzwiach.

Żołnierz rzucił mu się do nóg, zaryczał z płaczu i rzekł:

— Darujcie mi, darujcie.

— Ale co ja ci mam darować mój stary, rzekł doktór, podnosząc go z ziemi.

Tego ja wam powiedzieć nie mogę. Ale — tu obej-

rzał się w koło i dodał pocichu — uciekajcie, bo wam grozi niebezpieczeństwo.

— Od kogo? Mają mnie aresztować?

— Nie, nie, niebezpieczeństwo zkądinąd uderzy.

To rzekłszy, wyszedł spiesznie z pokoju.

Po jego odejściu doktór rozmyślał nad ostrzeżeniem jakie mu dał. Nie był on tchórzem, ale to niebezpieczeństwo, które tak tajemnie mu zagrażało gdzieś z ukrycia, którego powodu nie wiedział — poczęło go niepokoić trochę. Gdyby ktoś stanął przeciw niemu z bronią w ręku, nie uląkłby się wcale, ale nie wiedzieć zkąd i od kogo cios uderzy, i obawiać się w każdéj chwili nieszczęścia — było męką dla niego. Dziwne domysły występowały na widnokrąg jego duszy jak czarne chmury, zbierały się w jednę masę zapowiadającą burzę, ołowiane ciężkie powietrze przygniatało mu piersi. W drżącym głosie żołnierza, w jego płaczu była prawda, któréj nie mógł nie wierzyć, był przekonany, że stał się ofiarą czyjejś intrygi lub nieporozumień. A co go najwięcéj bolało to to, że ani usprawiedliwić się nie mógł przed nikiem, ani oddalić od siebie pozory, które go potępiać się zdawały. Bo i przed kimżeby to uczynił, kiedy jakaś ręka z zakrytą twarzą groziła jego życiu. I to kiedy? — Wtedy, gdy to życie poczęło się wyjaśniać od uśmiechu i łagodnego spojrzenia kobiety. Może znalazłby jeszcze odwagę stracić życie, ale stracić to szczęście, które się do niego uśmiechało, wyrzec się go — zdawało mu się okropném. — Idąc w ślad za swemi przypuszczeniami padł na domysł, że jedynie fałszywe oskarżenie Juliusza mogło sprowadzić na jego głowę jakieś niebezpieczeństwo. — Udał się więc na zwykłe miejsca schadzek spiskowych, chciał im zajrzeć w oczy, zdemaskować podłość tego człowieka wobec wszystkich

i ocalić siebie. Ale w tych miejscach nie znalazł nikogo; widocznie obawiano się go jako złego człowieka i zmieniono miejsce. Rozpacz go ogarnęła, nie wiedział co począć. Wiedział o szerokiém rozgałęzieniu podziemnéj organizacyi; wiedział, że ukryć się przed nią nie podobna; czuł, że jest otoczonym ludźmi, którzy już bacznie śledzą jego kroki, którzy czychają na sposobną chwilę, by się rzucić na niego. Znał z doświadczenia jak się odbywają podobne wyroki, często niewinni ludzie padali ich ofiarą jedynie dla tego, że rząd podziemny, zmuszony kryć się, nie mógł wytaczać procesów, otwierać trybunały, słuchać obrony. — Wszystko zależało od zdania i dobréj woli kierowników. A jeżeli wśród nich wcisnął się zły człowiek który nadużyje téj świętéj władzy, gdzież ucieczka przed nim? Kto wstrzyma jego rękę? — Religija odpowiadała mu: Bóg. Tak Bóg; ale kto wróci krajowi ofiary niewinne, kto ocali sprawę skalaną nieczystemi rękami?

Te myśli zasmuciły doktora. Ze zwieszoną głową szedł poważnie przez ulicę, zdążając do swego mieszkania. Chciał się zaopatrzyć w jakąś broń, by wrazie napadu nie dać się zarznąć jak bydlę ofiarne.

Kiedy się zbliżał do bramy, zauważył, że dwóch ludzi przechadzało się koło niéj, którzy zdawali się czekać na kogoś. Nie wiele trzeba było domyślności, aby poznał na kogo czekają. Wejście do domu groziło wyraźnem niebezpieczeństwem. Zwrócił się więc w stronę placu teatralnego i poszedł na Senatorską ulicę. Skręcając ku Żabiéj ulicy, obejrzał się. Dwaj mężczyzni szli za nim pilnie mając go na oku. Nie było wątpliwości, że za nim idą. W pierwszéj chwili ogarnęło go takie oburzenie, że chciał dozorcy policyjnemu kazać aresztować swoich prześladowców, ale wnet odrzucił tę niegodną myśl, którą mógł tylko zhańbić siebie, wtrą-

cić jeszcze w większe podejrzenia, ale nigdy ocalić, bo znał szerokie ramiona spisku. Usiłował więc tylko jakim zręcznym obrotem zmylić trop i zniknąć z oczu ścigającym, którzy w miarę zbliżającego się zmroku coraz groźniejszymi byli dla niego. Zdwoił więc kroku, przeszedł prędko Saski ogród, wyszedł bramą prowadzącą na Królewską ulicę, wsunął się w zaułki otaczające ewangielicki kościół i w kilku minutach znalazł się koło szpitala dzieciątka Jezus. Tu umyślnie zatrzymał się czas jakiś koło sztachet, wytężając pilnie wzrok w stronę Mazowieckiéj ulicy, czy przypadkiem nie zobaczy tych dwóch ludzi. — Nie pokazali się wcale. To go uspokoiło, odetchnął swobodny i powolniejszym już krokiem poszedł ku Chmielnéj. Zostawały mu dwie drogi: jedna w lewo by wrócić do domu pierwéj zanim pógoń wróci na stanowisko; ale znowu być tak blisko jéj domku i nie iść, nie zobaczyć choć światełka w jéj oknie — to było trudném dla niego, obrał więc drogę na prawo; jakaś nieprzeparta siła ciągnęła go do tego domku na ustroniu, którego ciche mieszkanki były dla niego w téj niespokojnéj i mętnéj chwili gwiazdami zapowiadającemi pogodę. — Niezadługo znalazł się pod znajomą furtką, przeszedł na drugą stroną ulicy, by lepiéj ztamtąd zobaczyć małe okienka za rzeźbionemi słupkami. Okienka były oświetlone, ale ciemne story tak szczelnie je zasłaniały, że nawet cień żaden nie zarysował się na nich. Pomimo to doktór nie miał ochoty odchodzić; tu czuł się bezpiecznym, jak żeglarz w przystani; patrząc w okna za któremi siedziała teraz pani jego serca, czuł się o wiele spokojniejszy i zapomniał o troskach i niebezpieczeństwach, które czyhały na niego. Zakryty cieniem jakiegoś starego muru stał nieruchomy jak posąg, zamyślony i marzący.

Naraz usłyszał na pustéj ulicy odgłos kroków kilku

ludzi. W pierwszéj chwili przyszło mu na myśl, że został odkryty, że odkryto znowu ślad jego, ale wnet uspokoił się, widząc trzech jakichś ludzi zupełnie do tamtych niepodobnych, którzy chyłkiem, jakby sami przed kimś ukryć się chcieli, postępowali wzdłuż muru. Koło furtki zatrzymali się, jeden z nich pchnął lekko drzwiczki, które się wnet otwarły i trzej ludzie zniknęli w ogrodzie. Za chwilę usłyszał ich kroki na ganeczku, w sionce pokazało się światło i ludzie ci weszli tam.

To zaniepokoiło doktora do najwyższego stopnia. Co miały znaczyć te późne odwiedziny? Miałyżby te kobiety oszukiwać tylko świat pozorem cnoty i skromności? Straszne domysły, jakie tylko zazdrość podszepnąć zdoła, opadły jego duszę i dręczyły ją. Usiłował rozwiązać zagadkę i nie mógł. Najłatwiéj było iść za śladem tych ludzi, podejść aż pod same okna i zaspokoić ciekawość, ale na to nie pozwalała szlachetność jego. Pasował się więc i męczył ze sobą. Ale jakież było jego zdumienie, gdy po niedługiéj chwili znowu czterech ludzi zbliżyło się ku furtce i weszło do domku w ten sam sposób co poprzedni. Doktór patrzał osłupiały i gubił się w domysłach. Ci ludzie widocznie byli oczekiwani, kiedy furtkę zostawiono w nocy otworem. Chciał korzystać z téj sposobności i zajrzeć choć o tyle do ogródka, by mógł rozpatrzeć się w położeniu domku, poznać bliżéj miejsca, w których ona mieszka, pracuje i marzy. Chciał więc przejść na drugą stronę ulicy i wychylił się z za muru. Struchlał — o kilka kroków od niego, stało owych dwóch ludzi, którzy go dzisiejszego dnia tak uporczywie ścigali, a którzy teraz ujrzawszy go, zbliżyli się natychmiast ku niemu. Nie było czasu namyślać się, doktór jednym skokiem przesadził ulicę i pobiegł do furtki.

W chwili, kiedy chwytał za klamkę, zgrzyt klucza

w zamku dał się słyszeć i drzwiczki pchnięciu jego stawiły opór, równocześnie dwa sztylety ugrzęzły w jego piersiach. Ranny chwycił za dzwonek i szarpnął nim silnie, potém zachwiał się, upadł w tył i przerażającym głosem zakrzyknął:

Ratunku! ratunku!

W téj chwili światła w oknach zgasły, jakiś tłumiony, niewyraźny ruch dał się słyszeć na ganku i w ogrodzie; potém wszystko ucichło; światło nanowo ukazało się na ganku — stara służąca zeszła po schodach do furtki i spytała:

— Kto tam?

— Ratunku! ratunku — jęczał głos za murem.

Na ten głos dwie kobiety wyszły z domku na ulicę nieść pomoc; światło latarki padając na ziemię, oświeciło rysy leżącego; Helenka krzyknęła:

— Mamo, to on.

Doktór nie słyszał już tych słów, oczy miał zamknięte, sine usta nie poruszały się oddechem, czoło było zimne.

— Nie żyje — szepnęła matka.

— Może tylko omdlał — mówiła drżącym głosem córka — trzeba go ratować — on mnie ocalił.

Z trudnością wniesiono bezwładne ciało do małéj izdebki na górze, posłano po doktora. Córka tymczasem rozpięła suknie chcąc opatrzyć rany. Jeden sztylet zostawiony przez mordercę sterczał jeszcze. U rękojeści sztyletu wisiała przywiązana kartka, na któréj stało napisane:

„Wyrokiem Rządu podziemnego doktór E. za zmowy z wrogami i denuncjacją organizacyi narodowéj skazany jako zdrajca na karę śmierci“.

Helena upuściła papier i upadła na ziemię bez duszy.

V.

Komentarz do poprzedniego rozdziału.

Dla zrozumienia wypadków opisanych w poprzednim rozdziale potrzeba nam poznać bliżéj owego człowieka, z którym doktór miał tak niefortunne zajście o nieznajomą blondynkę. — Zajście to wystawiło go w bardzo niekorzystném świetle, i wstrętne budzić musiało wrażenie; jednak jak to zaraz obaczymy, była to więcéj wina nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, niż złego charakteru.

Juliusz Nuryn był dziwnego usposobienia, a dziwactwo to miało swój główny powód w dumie, jaką żywił ten człowiek w piersiach swoich. Chciał stanąć wysoko, odznaczyć się czemś, zasłynąć, nauka zdawała mu się najwłaściwszą drogą do tego — rzucił się więc do niéj z gorączkową namiętnością, noce całe można go było widzieć zgiętego nad księgami, pożerającego chciwie oczami najnowsze dzieła prawnicze. Pomimo jednak tego mozołu, téj olbrzymiéj pracy, nie mógł awansować ze skromnéj posady, jaką zajmował w trybunale; ludzie mniej uzdolnieni ubiegli go, i prześci-

gnęli, a to głównie z tego powodu, że Juliusz liczył tylko na siebie, na swoją zasługę, nie szukał wstawiennictwa, protekcyi, nie umiał się kłaniać, nadskakiwać, a ponura jego i milcząca figura wstrętnym i niemiłym go robiła w biórze w oczach przełożonych. Ta niesprawiedliwość uczyniła go jeszcze więcéj ponurym, milczącym, towarzystwo ludzi rozdrażniało go tylko i męczyło — bo mu przypominało jego małość, jego upokorzenie; z skarbami ogromnéj wiedzy siedział jak głodny Arab, z workiem pereł na puszczy, a wszystkie warstwy społeczeństwa, wobec których stał niżéj, przygniatały dumnego marzyciela, jak żywy grobowiec. Nieraz, kiedy wracał z Saskiego ogrodu lub z innego miejsca tłumnych zebrań, rzucał się z jękiem na posłanie, tarzał się konwulsyjnie i targał włosy z rozpaczy, że wśród téj masy ludzi on zginał jak robak w prochu, wściekało go to, że nikt nie wie, iż on żyje, że nikt wiedzieć nie będzie, gdy umrze; podczas gdy inni ludzie mniéj może wartający niż on, przesuwają się przed oczami tłumu błyszcząc bogactwem, zaszczytami. Niesłychana ta duma w młodym człowieku miała jedynie na swoje usprawiedliwienie jego sieroctwo. Nuryn był sam, sam w najliteralniejszém znaczeniu tego słowa. Nie znał matki, ani ojca, ani brata, ani siostry, ani dalekich, ani bliskich krewnych — jedném słowem był: sam. — Rodzinne ognisko, które jedynie ludziom wystarcza, do którego tylu wraca po doznanych zawodach w życiu i szuka przy niém szczęścia i spokoju, to ognisko nigdy nie płonęło dla niego. — Jego domem był świat, jego rodziną społeczeństwo; chciał więc dać znak o sobie temu społeczeństwu, powiedzieć mu jakimś czynem: żyję, jestem — a tego zrobić nie mógł pomimo najgwałtowniejszych wytężeń myśli i duszy. Pragnienia wielkości, sławy paliły go, wyciągały du-

szę jak na torturach to podnosząc ją w górę nadzieją, to obciążały kamieniem zwątpienia i strącały w przepaść. Były chwile, w których na całą przyszłość swoją rzucał silne pogardy i wtedy życie było dla niego błahe i bez ceny. — W takiéj chwili przelatywały koło jego uszów kule moskiewskie w pamiętnym dniu 27 Lutego. Przysłuchiwał się strzałom z twarzą spokojną i martwą. Około niego padła jedna z pięciu ofiar. O śmierci tego człowieka wiedziała nie długo cała Warszawa, cała Polska, a w kilka dni i Europa cała. — Blada i ponura twarz Nuryna rozpłomieniła się na tę wiadomość. Płynąc wśród fali ludu odprowadzającej pięć trumien na miejsce wiecznego spoczynku, zazdrościł tym, co w trumnach leżeli z czerwonemi ranami. Gdyby nie te rany, ci ludzie byliby umarli nie znani, chyba w małém kółku bliskich; jedna chwila uwieńczyła im ich imiona w historyi męczeńskich dziejów, jedyny wielki czyn był ten, że pozwolili się zabić, a raczéj, że ich zabito, może mimo ich woli. To rozważanie wzbudziło znowu w jego duszy śpiące marzenia o sławie, o odznaczeniu się. Odtąd należał do wszystkich demonstracyj narodowych, narażał się dobrowolnie. Demonstracje jednak były małoznaczące, krwawa scena 27 Lutego nie powtórzyła się — a demonstracje kończyły się aresztowaniem. Nadzieje Nuryna poczęły słabnąć i duch na nowo zapadać w ponurą noc zwątpienia. Mógł wprawdzie Herostratowym czynem uratować swe imie od zapomnienia, ale na to był za szlachetnym.

Nadszedł nareszcie 8 Kwiecień. W procesyi, która ciągnęła na nieochybną śmierć, znajdował się i Nuryn. Szedł naprzód z pragnieniem śmierci: gniewały go tylko te tłumy, które z nim razem szły, rozdzierać na kawałki palmę męczeńską, którą on chciałby całą dla siebie zatrzymać. On radby był teraz odepchnąć w tył

tę całą masę ludzi, wszystkie strzały dla nich przeznaczone wziąść w piersi swoje i umrzeć za wszystkich dla siebie. Miał nadzieję, że w stanowczéj chwili strach zrobi mu tę przysługę. — Nadeszła ta chwila, czarne lufy karabinów spojrzały groźnie na tłum idący, ale nikt się nie cofnął; chwilowa tylko cisza zapanowała, jakby anioł śmierci przeleciał nad ludem i znaczył swoje ofiary; potém wszyscy ze śpiewem padli na kolana. Nuryn przeląkł się tego, widział, że przyjdzie umrzeć nieznanym, jak żył nieznany, przeląkł się téj śmierci, wyrwał się z tłumu jak szalony i z okrzykiem: „Niech żyje Polska!“ — leciał ku gęstym szeregom żołnierzy. Nie chciał umrzeć jak inni, chciał odznaczyć się, chciał przynajmniéj téj sławy, aby po śmierci zapytano o nazwisko tego, który z taką odwagą rzucił się naprzód. Błysnął ogień, dym zasłonił żołnierzy, Nuryn uczuł niezwyczajne ciepło w piersiach, w oczach mu się zamgliło i zachwiał się. W téj chwili jakiś wyrobnik, który za nim wyrwał się także, chwycił omdlałego w silne ramiona i uniósł w bezpieczne miejsce, do mieszkania jednego z tych, którzy wtedy już rozmyślali o zużytkowaniu tego zapału, jaki ogarniał naród i zorganizowaniu ruchu ku wyraźniejszym i bardziéj określonym celom. — Nuryna przypuszczono do narad i organizacyi, jego szalona odwaga, którą wzięto za wypływ wielkiéj miłości dla kraju, otworzyła mu tam przystęp i zjednała zaufanie.

Nie było to bez wpływu na niego wśród téj pracy, która w głębokiéj tajemnicy nurtować musiała jak kret pod ziemią, duma jego nie wiele miała widoków, chyba gdzieś w dalekiéj przyszłości i to bardzo niepewnéj, bo lada chwila więzienie lub szubienica mogły jéj kres położyć. Przy tém obcowanie z ludźmi, którzy z takiém bezgraniczném poświęceniem rzucali się na naj-

większe trudy, narażali się na ciągły niepokój i niebezpieczeństwo, nie mając na widoku żadnego zysku prócz śmierci, ostudził w nim bardzo gorączkę sławy, duma jego wobec tych ludzi rumienić się i zasłonić z wstydu musiała; sam przed sobą nie śmiał wspominać téj chwili, w któréj ta duma wyrwała go z tłumu i pędziła na śmierć. W tym tłumie zginęło wtedy tylu ludzi, nazwiska ich wraz z ich ciałami potonęły nieznane w falach Wisły. To bezpretensjonalne poświęcenie, było mu ciągłym wyrzutem. Wszystkie te okoliczności wpłynęły korzystnie na jego zmianę, obudziły w duszy jego wszystkie szlachetniejsze popędy.

Pomimo tego nie zmienił trybu życia. Wypełniając ściśle obowiązki w zakresie powierzonéj mu władzy, unikał jak dawniéj towarzystw, żył samotny i zamknięty. Nawet uczucie, które rozjaśnia najpiękniejsze dusze, nie odemknęło dotąd zapartych wrót jego serca. — Nuryn nie znał miłości, nie zbliżył się nigdy do kobiety. Może nieraz w marzeniach młodego odludka przewijał się jaki ideał, ale go nigdy nie szukał na ziemi, nie myślał o jego urzeczywistnieniu. I tutaj duma była mu zaporą. Nuryn nie był piękny. Ciemna cera przy rzadkich jasnych włosach, jasnozielone oczy nadawały jego twarzy wyraz mdły, pospolity, nie zwracający na niego oczów żadnéj piękności. Wiedział o tém dobrze i dla tego nie silił się nigdy o zdobycie żadnego serca kobiecego, będąc z góry przygotowany na niepowodzenie. Wszelkie więc marzenia o miłości, wszlkie iskry, co przebiegają po nerwach młodego człowieka, gasił obawą pogardy i upokorzenia.

Naraz stało się, że przypadek, (jeżeli to tak nazwać chcecie) zbliżył go do kobiety, co więcéj oddał mu ją w opiekę. Tą kobietą była to owa nieznajoma blondynka. Trudno opisać, co się działo z Juliuszem,

kiedy poraz pierwszy w życiu uczuł dotknięcie kobiecéj ręki. Jakieś nerwowe drzenie, jakaś dziwna błogość ogarniała go i mięszała mu zmysły. Nie wiedział co się z nim dzieje, nie umiał sobie zdać z tego sprawy; uśmiech i rozrzewnienie przebiegały na przemian po jego ciemnéj twarzy. Jakiś dziwny, niewytłumaczony pociąg uczuł do téj kobiety, nie widząc nawet jéj oblicza, obecność jéj robiła na nim to wrażenie; jakiego doznaje człowiek, gdy po długiéj męczącéj drodze wejdzie między rodzinę i odpocznie; całe jego dotychczasowe życie wobec téj chwili wydawało mu się jak zimna noc, od któréj ze strachem odwracał oczy, a zwracał je ku swojéj towarzyszce, jakby się chciał przekonać, czy ta istota, co taką w nim zrobiła przemianę, ma ludzkie rysy. — Kiedy kobieta owa zwróciła mu uwagę, że idzie złą drogą, że powinien ją odprowadzić do matki, zadrżał na myśl, że będzie musiał rozstać się z nią; to zdawało mu się w téj chwili niepodobieństwem. Zdawało mu się, że kiedy ją wypuści z rąk upadnie w jakąś otchłań ciemną, bezdenną jak ptak, gdy mu strzał skrzydła połamie. — Jakiś szał opanował go, pragnął lecieć z ową nieznajomą gdzieś daleko, w przestrzeń bez końca, i coraz silniéj cisnął jéj rękę swojém ramieniem, coraz szybszym posuwał się krokiem i nieprzytomnie instynktowo prawie biegł z nią jak skąpiec ze skarbem do swego mieszkania. Silne szarpnięcie ręki ocuciło go z tego szału, nieznajoma uciekała przed nim, widział ją niknącą w ciemnościach i zrozpaczonym głosem zawołał: trzymajcie!

Wiemy jaki był skutek jego wołania; uciekająca kobieta schroniła się na los szczęścia pod opiekę doktora, a biegnący za nią Nuryn wstrzymał się dopiero przy drzwiach, za któremi znikła jego ofiara. — Zmę-

czony i osłabiony oparł się na poręczy, spojrzał nieprzytomnie w koło siebie i spytał: co się z nim stało? Rozpacz go ogarniała, że może ostatni raz widział tę kobietę. To zdawało mu się niepodobieństwem. Chciał ją jeszcze zobaczyć, chciał rzucić się do nóg i prosić o przebaczenie, chciał się wytłomaczyć, że nie żadna brudna namiętność ciągnęła go do niéj, ale jakieś święte wielkie uczucie, którego nazwać nie umiał, chciał ją prosić, by nim nie gardziła, by mu wolno było ją widywać. — To postanowienie było tak silne, że aby je uskutecznić, gotów był odważyć się na wszystko. Postąpił więc ku drzwiom, na których była przybita tabliczka porcelanowa z napisem: Doktór R..... To nazwisko było mu dobrze znane, doktór był jego podwładnym w organizacyi. — Więc doktór znał tę kobietę, może to jego kochanka, kiedy z taką pewnością biegła po schronienie do jego mieszkania, więc inny człowiek cieszy się miłością téj kobiety, u któréj on chciał sobie tylko pobłażanie wyżebrać i kilka dobrych spojrzeń, coby go szczęśliwym uczyniły. — Bytność jéj w domu doktora zdawała mu się uwłaczającą jego własnej godności, czuł się sam przez to dotknięty na honorze i urażony. Dla czego? Tego sam nie wiedział, ale go irrytowało i wściekało. — Namiętnie chwycił za klamkę i chciał wejść, gdy w tém doktór ukazał się we drzwiach. — Słyszeliśmy ich rozmowę, wiemy jaki był jéj koniec. — Juliusz Nuryn upadając ze schodów, uderzył głową o żelazną poręcz i skroń jego zakrwawiła się raną. Nie uważał na to, nie ten cios go bolał, ale ów, który zadano jego dumie. Być zepchniętym od rywala szczęśliwego, od podwładnego, zdawało mu się hańbą niezmazaną niczém, upokorzeniem strasznem. Gryżąc palce z bólu, przemyśliwał nad sposobami zemsty, pragnął zdeptać jak robaka tego,

który poranił jego miłość własną, wzburzona głowa najszaleńsze tworzyła pomysły. Odłożył jednak na późniéj przez wzgląd na nieznajomą. Domyślał się, że kiedy jéj tak pilno było do matki, więc przed nocą jeszcze będzie musiała opuścić mieszkanie doktora, wahać się jednak będzie zapewnie wyjść, dopóki on tam stać będzie. — Wyszedł więc z kamienicy i przeszedłszy na drugą stronę ulicy, oczekiwał w ciemnościach, mając oczy wytężone w stronę mieszkania doktora.

Nie długo czekał, wnet na jasnéj sieni zaczerniły się trzy cienie, kobiety i dwóch mężczyzn. Któż był ten drugi? Nuryn niepostrzeżony zbliżył się ku nim. Twarzy drugiego mężczyzny dojrzeć nie mógł, ale widział metalowe guziki i błyszczące złote szlify. Obecność wojskowego w towarzystwie téj kobiety i doktora zastanowiła go mocno. Nie spuszczał ich z oka i trzymając się w pewnéj odległości, postępował za nimi. Naraz ci, których śledził, wsiedli do doróżki. — Nuryn w téj chwili obejrzał się, czy nie zobaczy drugiéj, którąby mógł zabrać dla siebie. Nie było. — A tymczasem doróżka ruszyła z miejsca. Nuryn jak tygrys raniony skoczył za nią i biegł szalonym pędem przez ulicę. Byłby niechybnie dogonił, gdy na skręcie w ulicę Chmielną, żołnierz stójkowy przytrzymał go, mając w podejrzeniu jego bieg pospieszny i pomimo jego oporu i szamotania się, zaprowadził go do cyrkułu, a lubo tam po małém wyjaśnieniu z jego strony uwolniono go natychmiast, jednak to mu się na wiele nie przydało, stracił bowiem ślad mieszkania nieznajoméj.

Zły i wzburzony wrócił do siebie. W przedpokoju przy dopalającym się ogarku świecy siedział oparty o ścianę jego służący i drzemał zwiesiwszy głowę na piersi. Służący miał na sobie długą żołnierską szynelę, z pod któréj stérczało drewniane szczudło. — Czytel-

nicy domyślą się zapewne, kto był ten żołnierz; trudniéj jednak domyśleć się w jaki sposób dostał się w służbę do Nuryna.

Jak słyszeliśmy, żołnierz postanowił sobie o żebranym chlebie puścić się na włóczęgę i szukać zgubionych śladów rodziny; liczył w tém wiele na szczęście, na Opatrzność. Pieniędzy, które mu ofiarował sługa jego nie tknął, uważał je jako pożyczkę, do któréj tylko w najgorszym razie udać się zamyślał; schował więc starannie tę trochę grosza, która może mu będzie potrzebną jako zapomoga dla jego rodziny, jeżeli ją znajdzie w biedzie i niedostatku. — Z tą myślą wędrując po wsiach i miasteczkach, doszedł aż do Warszawy. Tu postanowił dłuższy czas się zatrzymać, mając nadzieję, że może w tym tłumie wijącego się ludu rozpozna znajome twarze, które mu tak żywo stały w pamięci. Doszedł do miasta w roli żebraka, co jak wiadomo, nie jest dozwoloném w Warszawie, i nie wiedząc o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża, wyciągnął rękę po jałmużnę do jednego z przechodniów. Przechodniem tym był Nuryn, który wracał zamyślony z jakiejś samotnéj przechadzki. — Wyciągnięta ręka żebraka ocuciła go z zamyślenia, spojrzał na ogorzałą twarz żołnierza, na jego potargany szynel i wyjmował dla niego jałmużnę. Ale w téj chwili stójkowy, który uważał tę scenę, zbliżył się i zaaresztował starego żołnierza.

Żołnierz jeszcze nie domyślał się dla czego i osłupiałym wzrokiem patrzał zdziwiony na stójkowego.

— Cóż ja zrobiłem, że mnie aresztujecie? — spytał.

— Żebrać nie wolno.

— Ależ to nie żebrak, to mój służący, któremu właśnie daję pieniądze na sprawunki — rzekł przytomny Nuryn. — Wasylu chodź.

Stójkowy spojrzał niedowierzająco na Nuryna i Wasyla, uwierzyć jednak musiał i cofnął się. — Stary kaleka poszedł za swym zaimprowizowanym panem. Gdy przyszli w ustronne miejsce, Nuryn zwrócił się do niego i rzekł:

— Teraz możesz iść gdzie ci się podoba. — Jesteś bezpieczny.

Żołnierz sztywnemi patrzał na niego oczami i nie ruszał się.

— Ale nie żebraj więcéj — dorzucił Nuryn — bo cię znowu zaaresztują.

— A cóż zrobię? — spytał żołnierz ruszywszy ramionami.

— Więc jesteś bardzo biedny?

Żołnierz kiwnął głową.

— I nie masz rodziny — dzieci?

— Nikogo.

Nuryn chwilę się zamyślał — potém rzekł:

— Jeżeli chcesz służyć u mnie i być wiernym — to chodź.

Od téj chwili żołnierz pozostał w służbie Nuryna z imieniem Wasyla. Służba nie była ciężka i dużo zostawiała Wasylowi wolnego czasu, którego używał na włóczęgę po całéj Warszawie dla odszukania swéj rodziny. Ta myśl stała się manią jego życia, z każdym dniem coraz silniéj go owładała, a kiedy znużony daremnemi poszukiwaniami, zwątpiały tracił nadzieję — to sny łudzące wracały mu ją znowu i gnały go do dalszéj włóczęgi. — Chodził po kościołach, po ogrodach, po ulicach, zaglądał do domów, czytał nazwiska mieszkańców w nadziei, że kiedyś trafi na ślad swéj rodziny. Nieraz miał chęć zapytać swego pana, czy nie słyszał co o niéj; ale Nuryn był zawsze milczący, nie lubiał kiedy mu przerywano pracę, kiedy ktoś chciał

się z nim zapuszczać w dłuższą rozmowę. — Rozkazy jego były krótkie, stanowcze. — Jednego dnia przyszedłszy do domu, zawołał Wasyla do siebie, kazał mu palić w piecu, tymczasem sam chodził po pokoju, puszczając z fajki gęste kłęby dymu i wyrzucał z siebie krótkie zapytania.

— Wasyl, tyś za jakieś polityczne przestępstwo był wzięty do wojska?

— Tak panie, było to....

— Mniejsza o to. — Więc ty dobry Polak?

— Czyż mógłbym.

— Jesteś dobry Polak? — przerwał mu Nuryn — kochasz swój kraj?

— Tak.

— Chciałbyś go widzieć wolnym?

— Boże, któżby nie chciał, ale to próżne ma...

— Powstanie jest bliskiém. Wasyl, czy chciałbyś należeć do organizacyi.

Żołnierz osłupiał na tę niespodziewaną nowinę; choć o tém już dość wyraźnie rozchodziła się wieść po Warszawie, ale żołnierz nie znał nikogo, nie wiedział téż o niczém. — Nuryn inaczéj tłomaczył sobie to długie milczenie sługi.

— Nie chcesz? Może szynela moskiewska przerobiła twą duszę. Idź. Możesz mnie wydać.

Staremu żołnierzowi krew uderzyła do głowy z oburzenia; podnosił się z ziemi, oczy mu się zaiskrzyły, pięści zacisły i odezwał się:

— Choć jestem panie twym sługą, ale ci nie wolno znieważać mnie takiém przypuszczeniem.

Nuryn nie obraził się ani zmięszał tém hardém postawieniem się sługi, twarz jego zimna, blada, nie zmieniła wyrazu. Spokojnie zbliżył się do Wasyla i kładąc rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Więc chcesz należeć?

— Duszą i ciałem.

— Wykonasz przysięgę, że wiernie wypełnisz każdy rozkaz rządu narodowego?

— Wykonam — rzekł Wasyl z gotowością i zapałem.

— To dobrze.

Na tém urwał rozmowę małomowny Nuryn, a następnego dnia zaciągnął swego sługę w liczbę spiskowych.

Było to właśnie na kilka dni przed owém zajściem z doktorem, po którém Nuryn tak wzburzony i gniewny wrócił do domu. — Wasyl czekając na niego, zdrzemnął się trochę. Łoskot nagle otwierających się drzwi, obudził sługę, zerwał się na równe nogi i stanął przed Nurynem. — Ten nie patrząc na niego, wszedł do pokoju i długo chodził tam i napowrót gryząc paznokcie i marszcząc brwi. Żołnierz stał przy drzwiach czekając rozkazów.

Nuryn spojrzał na niego ponuro i spytał cierpko:

— Czego stoisz.

Wasyl zamiast odpowiedzi, podał mu mały zwitek niebieskiego papieru.

— Od kogo?

— Od naszych.

Juliusz rozwinął papier, zbliżył się do lampy i przeczytał następujące słowa:

„W dniu wczorajszym odbyły się znowu liczne rewizje i aresztowania, policja moskiewska odkryła całą jednę gałąź organizacyi. Nie ma najmniejszéj wątpliwości, że denuncjacja wyszła z łona saméjże organizacyi; poszlaki pewne podają w podejrzenie doktora R. Poleca się więc okręgowemu Juliuszowi N. zwrócenia bacznéj uwagi na podejrzanego i dania o nim jako o podwładnym swojéj opinii. A jeżeli taż będzie potępia-

jącą, w takim razie spieszne usunięcie niebezpiecznego indywiduum będzie staraniem rządu.

Juliusz zadrzał z radości przeczytawszy kartkę, która tak w samą porę przychodziła jego zemście na pomoc. Życie jego rywala było teraz w jego rękach, nie wahał się ani na chwilę z potępieniem go — zwłaszcza, że pozornie słuszność stawała po jego stronie. Co znaczyć miały tajne schadzki doktora z wojskowym, który w dość bliskich z nim zdawał się być stosunkach. Na tém jedném podejrzeniu osnuwał cały gmach domysłów; przypuszczenie rządu i jego własna nienawiść były dzielnemi robotnikami. — Spojrzał na zegarek, nie była jeszcze tak późna godzina; zapalił latarkę i wyszedł pospiesznie na ulicę.

Wasylowi rozkazał nie czekać na siebie.

Nad ranem dopiero wrócił; bezsenność i znużenie robiły twarz jego straszną i odrażającą; na śniadéj cerze siedziała trupia bladość, jakby kto stearyną pomazał bronzowy posąg. — Wszedłszy do mieszkania, zbudził Wasyla i kazał mu się prędko ubierać. — Gdy służący stanął przed nim i wpatrzonym w niego wzrokiem oczekiwał rozkazów. — Nuryn nie śmiał mu w twarz spojrzeć i spuściwszy oczy w ziemię, odezwał się urywanym głosem:

— Wasylu, czy pamiętasz przysięgę jaką uczyniłeś rządowi narodowemu?

— Pamiętam.

— Powinieneś być posłusznym jego rozkazom.

— Wiem.

— Czy wiesz, gdzie mieszka doktor R.?

— Nie.

— Trzeci dom ztąd — z gankiem. Wchodzi się frontowemi schodami, drzwi są wprost schodów, na drzwiach tabliczka z jego nazwiskiem.

Przestał — żołnierz milczał uporczywie słuchając dalszych rozkazów.

— Nie słyszałeś? — spytał Nuryn niecierpliwie.

— Słyszałem. ale.....

— Doktór zdradził nas.

— Więc cóż mam mu powiedzieć?

— Masz go zabić — rzekł gwałtownie Nuryn i rzucił sztylet na stół.

— Ja tak nigdy nie zabijałem.

— Życie tego człowieka uczyni kilkadziesiąt familij nieszczęśliwemi.

Wasyl wziął żywo nóż i wyszedł.

Wiemy już jaki był rezultat jego wyprawy; wrócił z niéj do Nuryna czekającego na niego w niepokoju, wrócił z oczami mokremi od łez, wzruszony cały.

— I cóż? — spytał Nuryn, skoczywszy naprzeciw niego jak tygrys z roziskrzonemi oczami. — Czy już?

Wasyl pokazał mu nóż świecący, niezafarbowany, i rzucając go na ziemię, rzekł:

— Ja nie mogłem zabić tego człowieka — on nie jest tak złym.

— Psie jakiś — zakrzyczał rozwścieklony Nuryn, przyskakując do niego z zaciśniętemi pięściami.

Stary żołnierz spokojnie stał, ani drgnął powieką i poważnie patrzał na rzucającego się w gniewie.

— Panie, rzekł do niego tonem rzewnym — czy możecie na pewne przysięgać, że to ten człowiek was zdradził?

Słowa te jak zimna woda bryzgnęły na rozpaloną namiętnością zemsty twarz Nuryna; podważyło mu sumienie jak kamień grobowy, zpod którego ruszy się naraz robactwo.

— Cóż ci powiedział na swoje usprawiedliwienie ten człowiek?

— On się nie usprawiedliwiał, w oczach jego czytałem niewinność. Postanowiłem go ocalić na własną odpowiedzialność i ostrzegłem go o niebezpieczeństwie.

— Ty śmiałeś to zrobić? — Teraz jesteśmy zgubieni, ten człowiek poświęcił nas wszystkich swéj zemście. Precz podły gadzie z mego domu, którego przytuliłem na to tylko, aby kąsał. Precz!

To rzekłszy w furyi przyskoczył do starego kaleki i podniósł rękę do uderzenia. W téj postawie znieruchomiał — jakieś dziwne, niepojęte uczucie ogarnęło go — postać żołnierza miała w téj chwili wyraz tak uroczysty, poważny i groźny, że Nuryn zadrżał, ukorzył się przed nim ze wstydem. — Ręka opadła w dół, twarz oblaną rumieńcem odwrócił ku oknu i rzekł zmienionym głosem:

— Dobroć twoja Wasylu zgubić nas może. Ten człowiek bądź co bądź, musi zginąć. — Kiedy tobie brakło odwagi, znajdą się inni.

To rzekłszy, wyszedł z domu i nie wrócił aż późno w noc.

Wasyla nie było jeszcze w domu; Nuryn nie uważał jednak tego, wszedł bowiem w towarzystwie przykrych myśli, które całą jego uwagę zajęły. Parę godzin przedtém doniesiono mu, że doktór R. nie żyje. Spełniło się więc to, co chciał; jednak wiadomość ta zamiast go zadowolnić i uspokoić, przeraziła go i obudziła gryzące wyrzuty sumienia. Nuryn w gruncie nie był złym człowiekiem, pod szorstką pokrywą jego dumy spały szlachetne instynkta; to téż śmierć człowieka, który padł głównie za jego sądem, zaciężyła jak ołów w sumieniu Nuryna, obudziła w nim skrupuły, czy słusznie wydał wyrok potępiający, czy nim wtedy powodowały wyłącznie względy na sprawę publiczną. Niestety! na wszystkie te pytania musiał od-

powiedzieć sobie: n i e i uczuł się winnym. Dotąd zemsta zaślepiała go — teraz ugasił ją we krwi człowieka, którego nienawidził — przejrzał jasno i zadrżał przed sobą samym. Dziwny niepokój go ogarnął, samotność przerażała go, cisza nocna panująca w pokoju wydawała mu się straszną — nie śmiał spojrzeć po za siebie, zdawało mu się, że krwawe widmo niewinnie zamordowanego musi być gdzieś blisko niego i grozi mu.

— Wasyl! — zawołał w przestrachu.

Nikt nie odpowiadał.

— Wasyl — powtórzył Nuryn zmieszany milczeniem. — Wasyl obstawał za tym człowiekiem, Wasyl chciał go ocalić. Teraz po spełnionym czynie widział, że byłby dobrze zrobił, gdyby poszedł za radą sługi. Pragnął więc z nim rozmawiać, w téj rozmowie znaleść uspokojenie i rozgrzeszenie.

On zwykle taki milczący, ponury — teraz czuł potrzebę ludzkiego głosu; to téż kiedy usłyszał na schodach kroki, ucieszył się i wcale nie myślał karcić sługi za tak długą nieobecność.

Drzwi się otwarły z łoskotem i wszedł, a raczéj wtoczył się do izby Wasyl, z wzrokiem szklannym, policzkami rozrumienionemi jak karmazyn; okrągła czapka kipiała nad lewém uchem z fantazją, minę miał gestą. Nuryn spojrzał z zdziwieniem na starego, nigdy nie widział go w podobnym stanie. Ten wzrok pana otrzeźwił nieco sługę — stanął, wyprostował się i chwiejąc się, czekał z trwogą co daléj będzie. Nuryn jednak nie łajał przeciw zwyczajowi; ale wstawszy przystąpił do niego i kładąc rękę na ramieniu, odezwał się:

— Wasyl, co się z tobą stało?

Serdeczny ton tych słów przeszedł jak iskra po

ciele starego żołnierza — wzruszył go i Wasyl rozpłakał się głośnym płaczem.

— To z rozpaczy tak, panie. Piję na frasunek — rzekł i machnąwszy ręką, potoczył się na stołek pod ścianę.

— Mój Boże, ani ja dzieci, ani ja żony — lamentował daléj — i czemu, czy ja gorszy od drugich? — Hę? — A czemu tamci tacy szczęśliwi, tak im dobrze było w lichéj izbinie — byli razem.

— O kim mówisz Wasylu?

— O kim? Albo ja wiem. Jakiś rzemieślnik z poczerniałą twarzą, z spracowanemi rękami siedział przy stole — dzieci jak pijawki czepiały się miłośnie jego nóg i rąk — żona nalewała mu posiłek i uśmiechała się do niego — widziałem to wszystko przez okno z ulicy. Mój Boże, jak szczęśliwy musi być ten człowiek — ma rodzinę. A ja nikogo, nikogo — dodał zrywając się i ściskając pięście. Ta i poszedłem pić na frasunek, bo dla kogo mnie żyć? Zapiję się, zapomnę i zgniję gdzie pod ławą w szynku, pies po mnie nie zapłacze. Nikogo nie mam, nikogo.

Załamał ręce i tłukł głową o ściany.

— I ty narzekasz, lamentujesz głupcze — rzekł Nuryn z bolesną ironiją — a co ja mam powiedzieć? Ty przynajmniéj możesz powiedzieć, żeś miał żonę, że przyciskałeś kiedyś twe dzieci do piersi — żeś miał choć trochę, choć odrobinę szczęścia, żeś zakosztował rodzinnego życia. A ja całe życie jestem sam — ani znam uścisku matki, ani widziałem twarzy ojca. Rozumiesz ty stary, co to jest. Tak sam, jak palec.

— Sam, sam — mruczał niezrozumiale żołnierz, którego powieki już senność obciążała.

Nuryn nie uważał tego i mówił daléj:

— Znaleziono mnie na gościńcu porzuconego, pła-

czącego — obcy ludzie chowali, poszturchali, bili i jeść dawali — ot zwyczajnie jak przybłędzie, jak znajdzie A jednak nie skarżę się, bo i po co? Kto mi powie, gdzie moi rodzice?

Ponury wzrok Nuryna zaszklił się w téj chwili łzami, zakrył twarz rękami i zawołał z jękiem:

— Boże, gdybym ja mógł wiedzieć gdzie oni, gdybym ja mógł uścisnąć matkę moją, tę matkę co mnie porzuciła jak szczenię — a którą ja przecież tak kocham w myślach moich, w snach moich. Nie tąkby przy niéj szło mi to życie jak teraz. Patrz Wasyl! — to jedyna pamiątka po niéj — ten szkaplerz. (Tu wyjął z za nadrza stary, wytarty płatek sukienny). Ludzie, którzy mnie znaleźli na drodze mówili mi, że ten szkaplerz wisiał wtedy na moich piersiach. Może to jéj ręce szyły na nim dzień i rok moich urodzin. To téż wytarłem go do szaréj nitki pocałunkami memi; i chowam jak relikwije święte.

— Patrz Wasylu — i powiedz, który z nas szczęśliwszy?

Ale Wasyl już nic nie widział i nie słyszał. Głowa odurzona trunkiem upadła ciężka na piersi — a mocne chrapanie było jedyną odpowiedzią na pytanie Nuryna.

VI.

Sielanka wśród burzy.

Niezwyczajnie zaczął się u nas rok 1863. — natura potargała swoje odwieczne prawa i przybliżyła nam wiosnę. Już w połowie lutego ciepłe promienie słońca topiły śniegi i ogrzewały ziemię, na któréj rozpoczął się krwawy dramat powstania. Tę wczesną wiosnę wszyscy brali za szczęśliwą wróżbę, nie jedną modlitwą dziękowano Bogu za tę pomoc cudowną, zesłaną naszym odziałom tułającym się po lasach. Niestety, niezadługo nadzieje nasze pochowały się wraz z promykami słońca; nastała znowu zima, zawody i zwątpienie; lecz to już nie należy w zakres naszéj powieści.

Otóż w jednym pięknym dniu téj zwodniczéj wiosny, w domku ustronnym przy ulicy Chmielnéj otwarto jednę połowę okienka dla świeżego powietrza i ciepłego słońca. Przy okienku za geraniją i firankami widać było dwie głowy kobiece pochylone nad robotą, jedna

jasna miała z grubych warkoczy przetkanych czarną aksamitką rodzaj wieńca nad czołem; drugiéj ciemne włosy rzedniejące już środkiem głowy, okrywał czarny tiulowy czepeczek. Była to Helenka i jéj matka. Pierwszej twarzyczka obok zwykłéj bladości miała wyraz głębokiego smutku; powieki miała zmęczone jakby płaczem lub bezsennością, i dość mizernie wyglądała. Obie kobiety pracowały z zajęciem i nie pragnęły wcale przerywać milczenia; było coś między niemi, co zamykało usta i rwało rozmowę. — Naraz Helenka przerwała robotę, opuściła rączki na dół i pilnie czegoś nasłuchiwała. Brzękła furtka w ogrodzie.

— Zapewne doktór wyszedł — rzekła żywo.

— Zapewne, odrzekła matka obojętnie, poważnie.

Za chwilę zaskrzypiały schodki prowadzące z ogrodu na ganek i stara służąca weszła na górę. Zaledwie otworzyła drzwi do pokoju, Helenka zwróciła się do niéj żywo i spytała:

— I cóż doktór powiedział?

Matka spojrzała na córkę wzrokiem napominającym i nieco surowym; Helenka jednak nie uważała tego, zapatrzona na służącą i niespokojnie wyczekując jéj odpowiedzi.

— Powiedział, że gorączka jeszcze kilka dni potrwa, ale już niebezpieczeństwa nie ma.

— A czyś go się nie pytała — odezwała się matka — czy chorego można już kazać odwieść do jego mieszkania.

— Zabronił stanowczo.

Matka zmarszczyła brwi, córka zwróciła na nią spojrzenie pokorne, błagalne.

— Mamo — odezwała się — czy tak bardzo żałujesz, żeś dała pod swoim dachem schronienie temu nieszczęśliwemu?

— Podłemu — odrzekła matka półgłosem i niecierpliwie poprawiła się na stołku.

Helenka spuściła na dół głowę i umilkła.

— Nie, dłużéj go tutaj trzymać niepodobna, wyglądamy jak wspólniczki tego zdrajcy.

— Doktór mówił — odezwała się służąca — że wszelki ruch grozi choremu śmiercią.

— Słyszysz mamo? O, ty nie będziesz tak okrutną dla tego człowieka, który ci ocalił córkę — prosiła całując jéj ręce.

— A zdradził tylu.

— Co nam w to wglądać. Mężczyźni się biją, walczą, zdradzają, nienawidzą, więżą — kobieta kochać tylko i pomoc i pociechę nieść winna — to jéj przeznaczenie.

— Ależ on zgubi nas. Wszak wiesz, kto tu u nas bywa; jeżeli ten człowiek przyszedłszy do zdrowia podpatrzy ich tajne schadzki tutaj,— zgubi ich i nas.

— On nie jest takim złym człowiekiem — rzekła Helenka z przekonaniem.

— A tą kartka u sztyletu.

— Może to pomyłka jaka straszna — a może... kto wie, co go pchnąć mogło do tego kroku.

— Tyś go już rozgrzeszyła.

— Przebaczyłam mu tylko, bo wszak mnie tak uczyłaś. A temu człowiekowi przebaczyć było mi łatwiéj, niż komu innemu.

Matka spojrzała badawczo na córkę.

— Helenko! odezwała się surowo.

Helenka zarumieniła się i spuściła oczy.

— Marto, proszę cię, nie mów mi już więcéj nigdy o tym człowieku. Oddałam ci go zupełnie. Czuwaj nad nim. Skoro przyjdzie do sił i przytomności, każesz go odwieść do jego mieszkania. Ja nie chcę o nim wie-

dzieć. I Helenka nie powinna także — dodała z przyciskiem.

Na tém urwała się rozmowa o doktorze R., który od czasu owego strasznego wypadku leżał w dolném pomieszkaniu małego domku na ustroniu bez przytomności i jakiś czas nawet bez nadziei życia. Widzieliśmy, jak niechętnie udzieliła mu przytułku matka Helenki, kobieta surowych zasad, posuniętych do egzaltacyi. Dla niéj świat cały dzielił się na szlachetnych i podłych; dla pierwszych miała bezgraniczne uwielbienie, dla drugich pogardę. Helenka lubo w tych samych zasadach wychowana, odstępowała jednak od nich nieco; wrodzona słodycz i łagodność zrobiły ją tolerantką; usprawiedliwiała wiele i wiele przebaczyć umiała. Téj słodyczy charakteru zawdzięczał doktór R. opiekę, jaką doznawał w domu tych kobiet. On jednak sam nie wiedział o tém, gdzie się znajduje; raz dla tego, że silna i nieustająca gorączka trzymała go wciąż w nieprzytomnym stanie — a powtóre, że ani Helenka, a tém mniéj jéj matka nie pokazały się w mieszkaniu chorego. Helenkę takie postępowanie wiele kosztować musiało; ona tak skłonna do litości, do niesienia pomocy, nie mogła jéj nieść temu, dla którego miała nawet pewne obowiązki. Zadawała jednak ten gwałt sobie, czyniąc wolę matki. — I dziś nie rozpoczynała już więcéj rozmowy o doktorze, nie zdradziła się niczém, że ją jego zdrowie obchodzi.

Ale kiedy matka wieczorem usnęła — Helenka wstała z przed łóżka, przy którém klęcząc modliła się, cichaczem wysunęła się do sionki, zeszła ostrożnie po schodach na dół — do izby Marty. Stara służąca drzemała na ławie oparta o piec. Helenka zbudziła ją, dotykając z lekka jéj ramienia.

— I cóż, byłaś u niego? — spytała.

— Byłam przed chwilą panienko — śpi.

— Czy to prawda, co doktór mówił, że nie ma niebezpieczeństwa? — Powiedz Marto czy mnie tylko nie zwodzisz?

— Nie — ma się znacznie lepiéj od owéj nocy, w któréj go panienka widziałaś rzucającego się w gorączce i rozrywającego bandaże na piersiach.

— O, to była noc okropna. Com ja wtedy cierpiała moja Marto.

— I mnie go żal było, bo to zdaje się dobry człowiek. Nie wiem co nasza pani ma przeciw niemu.

— Zarzucają mu wiele rzeczy, a najgorzéj potępił się tém, że go spotkano pod naszym domem śledzącego schadzkę spiskowych. — Wszystko mówi przeciw niemu, prócz mego serca. — Chodźmy Marto pod okno zobaczę jak się ma — to mnie uspokoi.

Wyszły na ogród — Helenka odsunęła gałązki krzaków otaczających ścieszkę i podeszła pod okno. — Marta stanęła za nią.

W pokoiku, w którym paliła się przyćmiona nieco lampa — leżał chory; na twarzy miał silne, gorączkowe rumieńce, oddychał szybko i głośno, robiąc przytém piersiami, od czasu do czasu jakieś bezładne, urywane słowa wyrzucał z siebie. Wśród tych słów Helenka, stojąca za oknem z zapartym oddechem, usłyszała swoje imię.

— To imię — rzekła pocichu Marta — często wymawia.

Helenka zapłoniła się, udała, że nie słyszy słów staréj sługi i nie odpowiadając na nie, odeszła od okna.

— Już iść muszę, żeby mama nie spostrzegła mojéj nieobecności; ale ty Marto czuwaj przy nim. Czy doktór zapisał nowe lekarstwo?

— Kazał powtórzyć tę maść.

— Poczekaj — sama mu ją przyrządzę.

Weszła napowrót do izdebki służącéj, zakasała rękawki i zabrała się do rozsmarowania maści; potém wyjęła z kieszonki zawiniątko jakieś i rzekła:

— Tu są bandaże i szarpie.

Potém pocichu wysunęła się z izby i wróciła na górę. Księżyc przez gieranie i firanki zaglądał do pokoju i posrebrzał podłogę i puste łóżeczko, na którém Helenka zamyślona usiadła. Długo jeszcze potém siedziała w tém srebrzystém oświetleniu, z rączkami założonemi na kolanie i zamyślonemi oczami.

— O czém ona dumała?

Bóg wie jakie tam obrazy i myśli przesuwały się po główce dziewczyny marzącéj przy świetle księżyca, to tylko pewne, że wszystkie kołowały koło tego jednego pytania: o jakiéj Helence mówił chory przez sen.

Tymczasem na dole inna odbywała się scena. Twardy sen chorego był przesileniem choroby, po którym przytomność wracać poczęła. Chory obudziwszy się, z zdziwieniem spojrzał w koło, ujrzał się w nieznaném sobie zupełnie miejscu — sam; a jednak z całego otoczenia mógł się domyślać, że staranna ręka jakaś czuwała koło niego. Spojrzał w okno — zobaczył nagie gałęzie drzew, odbijające się na tle jasnéj nocy — ogród. Chciał się podnieść, ale nie mógł, — rany w piersiach zabolały go. Wtedy przypomniał sobie dopiero ów wieczór nieszczęsny, w którym uciekał przed grożącém mu niebezpieczeństwem, ów napad dwóch ludzi. Pokiwał smutnie głową i westchnął boleśnie.

— Więc to prawda — rzekł półgłosem.

Wtedy weszła Marta z plastrami; spojrzał na nią i spytał:

— Dobra kobieto, gdzież ja jestem?

— U mnie.

— Jakże się to stało? — O ile sobie przypominam padłem pod jakąś furtką.

— Tego nic nie wiem. Jakichś dwóch ludzi przyniesło pana do mnie i kazali pielęgnować.

— Dwóch ludzi — a to dziwne i nieodgadnione zarazem. Jestem widzę ofiarą jakiejś strasznéj pomyłki. — I dawno ja tak leżę?

— Od dwóch tygodni.

— Więc powstanie już rozpocząć się musiało?

— Już.

— Boże, a ja tutaj tak leżę bezczynnie, gnuśnie.— Oh! —

— Więc pan nie jesteś złym człowiekiem? — spytała nieśmiała kobiecina.

— Oni ci to powiedzieli — ci dwaj ludzie — co? Ty ich znać musisz, oni tu może byli u ciebie pytać się o mnie, o, na Boga, jeżeli ich znasz, idź, sprowadź ich tu do mnie — wyspowiadam się im z każdéj myśli, z każdego słowa i czynu mego, a wiem, że mnie nie potępią. Jestem tylko ofiarą jakichś ciemnych, nieodgadnionych intryg.

— O, to dobrze, i panienka nasza to samo mówiła, Ona się ucieszy.

Chory spojrzał na nią zdziwionemi oczami — służąca spostrzegła się i zmięszała.

— Panienka, jaka panienka? O kim mówisz?

— Ot, tak się plecie staréj, nie uważaj pan na moje gadanie.

— Znowu tajemnica? Wszystko się plącze i wikła koło mnie jak niewyraźny gorączkowy sen. Raz przecie chcę widzieć, czy ja śnię, czy rzeczywistość mam przed oczami. Chcę wiedzieć gdzie jestem.

To mówiąc, usiłował zerwać się z łóżka.

Stara Marta wstrzymała go z przestrachem.

— Co pan robisz?

— Chcę wiedzieć co się ze mną dzieje, gdzie jestem, kto się mną zajmuje — puść mnie!

— Jesteś pan u pani Milowskiéj.

— To nie prawda — wołał szamocąc się z Martą. — Gorączka wzmagała się, oczy jego nabierały dziwnego blasku. Służąca nie wiedziała co począć.

— Pani Milowska jest matką p. Heleny — mówiła chcąc go uspokoić.

— Heleny — powtórzył jak echo nieprzytomny — więc i one mnie potępiły. — Boże!

Ostatnie słowo jęknął z nieopisaną boleścią i upadł na łóżko.

Śpiewy Syreny.

Trapiące myśli, na które Wasyl szukał lekarstwa i zapomnienia w trunku, wróciły znowu po otrzeźwieniu. Ciągle na pamięci stała owa rodzina wyrobnika z Starego-miasta, uśmiechnięta, szczęśliwa i zdawała się urągać z niego i mówić: widzisz, ty nie masz nikogo. Ta jedna chwila złamala kalekę, począł rozważać swoje stare lata, schorowane ciało, przyszła mu na myśl śmierć, co lada chwila może zadrwić z jego nadziei i zrobiło mu się okropnie. I znowu jak wczoraj szukał zapomnienia w trunku. Odtąd coraz częściéj widziano kalekę o szczudle wchodzącego do szynku przy brudnéj uliczce Oboźnéj i wracającego ztamtąd czasem z fantazją i gęstą miną, czasem zalanego łzami. I dziwna rzecz, że Nuryn gwałtowny i popędliwy, z pobłażaniem patrzał na to postępowanie sługi — nie było to bez powodu. Wiedział, że przyczyną pijaństwa Wasyla był smutek, było osamotnienie w życiu, a że on był również osamotniony na świecie, więc czuł rodzaj sympatyi do starego sługi i był dla niego pobłaż-

liwym. Wspólność doli zbliżała ich do siebie. Nieraz nawet chciał z nim zawiązać serdeczniejszą pogawędkę, pocieszać go i sam być pocieszonym; ale Wasyl zwykle był nieprzytomny wieczorem, a Nuryna znowu dzień cały w domu nie było. Od czasu do czasu Nuryn usiłował lekkiém napomnieniem zreflektować Wasyla, odwieść go od złego nałogu; wtedy Wasyl rozpłakał się, obiecywał poprawę, czasem parę dni wytrzymał; ale znowu wracał do dawnego.

Jednego dnia, kiedy podług zwyczaju szedł do szynku skręcając na lewo od kościoła Ś. Krzyża, ktoś z przechodzących przytrzymał go za ramię. Obejrzał się i ujrzał ze zdziwieniem swego dawnego służącego Antoniego.

Obaj jakiś czas patrzeli na siebie w milczeniu. Antoni z politowaniem patrzał na zmienioną twarz swego dawnego pana, na jego szynel wytarty do nitki i potargany. Wasyl wobec sługi uczuł się zakłopotanym, zawstydzonym, uczuł, jak nisko upadł teraz. Zdawało mu się, że to długie lata upłynęły od czasu, jak ostatni raz żegnał sługę; tak czuł się zmienionym do niepoznania przez ten krótki przeciąg czasu.

— Wy tutaj panie — odezwał się sługa wzruszonym głosem. —

— A ciebie co tu sprowadza?

— Straszne rzeczy. Pan mój nie żyje.

— To było do przewidzenia — kwękał ciągle.

— Nie chciano widać czekać na to. Otruto go.

— Kto?

— Naszą panią aresztowano.

— Kto ją mógł o to posądzić?

— Ja. Miałem już dawniéj pewne podejrzenia, że zbyt często karmi pana proszkami, które doktór w miarę tylko i od nagłego przypadku używać kazał.

— Jakiż powód był takiéj zbrodni?

— Kochała się w bracie jego.

— W pułkowniku?

— Tak. — Kiedy jeszcze pan leżał na katafalku, pani wysłała posłańca z listem na pocztę. To mi się wydawało nieco podejrzaném i przejąłem go. List był pisany do pułkownika — zaklinała go w nim, aby nie przybywał na pogrzeb brata i pod żadnym pozorem nie zjawiał się u nas, by nie obudzić jakich podejrzeń: kazała mu się cieszyć blizkiém szczęściem i naznaczyła przyjazd swój do Warszawy za pół roku. — Z listem tym przyjechałem prosto do urzędu powiatowego, opowiedziałem, com wiedział, zjechała komisja i pokazało się, że pan został otruty. W téj chwili aresztowano panią i przywieziono ją do Warszawy. Śledztwo się już rozpoczęło, idzie tylko o lekarza, co leczył naszego pana, a który zginął bez wieści.

— A pułkownika aresztowano także?

— Nie. Gdy się dowiedział o otruciu brata, o uwięzieniu Irreoltemy — w łeb sobie wypalił.

— Okropność — i to kobieta mogła uczynić, taka piękna kobieta — mówił wpół do siebie Wasyl cierpnąc cały, bo ile razy słyszał coś o jakiéj kobiecie źle, czy dobrze, zaraz w myślach stawała mu córka jego i pytał siebie: a ona taką jest? — czy nie? — Przez wspomnienie córki zadrżał nad losem kobiety, która go zresztą mało obchodziła. Dreszcz zimny przeszedł go po ciele. Radby był się rozgrzać co prędzéj w szynku na przeciwko, ale nie śmiał przed służącym; chciał więc go się pozbyć co prędzéj.

— Czas mi wracać do domu — rzekł.

— A rodzina wasza panie?

Żołnierz machnął rozpacznie ręką.

— Nic ma śladów?

— Wróżka mówiła mi, że jéj nie zobaczę nigdy. Rozumiesz? Nigdy.

— Lepiéj wierzyć Bogu jak wróżce.

— Najlepiéj niczemu. Pal licho — bądź zdrów. A jak mnie chcesz widzieć, to przyjdź tam w tę trzecią ulicę — mały domek żółty o trzech oknach, służę u urzędnika Nuryna.

— Nuryna? ten prowadzi śledztwo z moją panią.

— Tak. Ano widzisz, jak się wszystko dziwnie składa. No, bądź zdrów, bo czas drogi.

Wyrwał się co prędzéj od sługi, tak go pragnienie wódki niepokoiło.

Antoni zdziwiony był tą gorączkową niespokojnością pana, tém roztargnieniem jego. Pożegnawszy go, nie odchodził, ale ścigał go oczami. Widział, jak ten wszedł do brudnego szynku na rogu ulicy i pokiwał smutnie głową.

— Co nieszczęście zrobiło z tego człowieka — rzekł do siebie i poszedł ku zabudowaniom sądowym dowiedzieć się, kiedy będzie następne przesłuchanie obwinionéj.

I my tam wejdziemy przypatrzyć się téj kobiecie, od któréj nas na chwilę oddalił tok powieści. W okratowanéj niewielkiéj stancyi siedzi Irreoltema w czarnéj sukni. Gdyby nie słowa starego Antoniego, trudnoby było z jéj twarzy wyczytać historją ostatnich dni — na twarzy ani śladu skruchy, żalu, boleści lub rozpaczy, czysty posąg, który nie zmienił wyrazu od czasu, jak wyszedł z rąk mistrza. Tylko silniejsze cienie nadawały jéj więcéj ponurości. Siedziała oparta o okno, zapatrzona w skrawek nieba, co się niebieszczył między murami. Nie mógłbym powiedzieć, że dumała, oczy jéj miały nadzwyczaj wiele w téj chwili zimna i trzeźwości, aby ją o to można posądzić; prędzéj układała

jakieś plany obliczała. Jeżeliście ciekawi zajrzeć w wnętrze duszy téj kobiety — to wam powiem, że jedyna myśl, jaka ją teraz zajmowała była: jakby się ocalić. Nie mogła przypuścić, aby karjera jéj miała się skończyć wśród więziennych murów, wierzyła w świetną przyszłość swoją. Nie spodziewała się, ale była pewną prawie, że obecna chwila przeminie jak sen. Piękność była jéj całym kapitałem, tą postanowiła się uwolnić, przekupić dozorców, sędziów — w myślach rozstawiała sidła, któremi spętać ich miała. Przedsiębiorcza jéj dusza nie bawiła się rozpamiętywaniem przeszłości, wspomnieniami; każdy przeżyty dzień odrzucała jak zdartą rękawiczkę, szła nie oglądając się. Ta była treść jéj życia.

Powiecie, że wam mówię nie prawdziwe rzeczy, że nie podobna, aby kobieta zdolna była do takich zbrodni. Akta sądowe odpowiedzą wam za mnie. Namiętność silniéj miota sercem kobiety, rozum mniéj u niéj znaczy niż serce, tó téż pochop do zbrodni łatwiejszy. Ale Irreoltema nie należy do ich rzędu, nie namiętność popchnęła ją do zbrodni, ale zimna, wyrachowana rozwaga. Nie z miłości dla pułkownika pozbyła się jego brata; usunęła go, bo jéj zawadzał, wyciągała rękę do tamtego, bo jéj miał pomódz do wzniesienia się. Cóż zrobiło tę kobietę takim potworem? Odpowiem wam na to: nie nauczono jéj kochać i modlić się. Dwa to słowa stanowią podwalinę moralnéj wartości kobiety, gdzie tych nie ma — tam kobieta choćby najpiękniejsza przeradza się w coś obrzydliwego, strasznego. Mężczyzna w takich warunkach może jeszcze być bohaterem, niszczycielem, choćby katem — kobieta tylko zbrodniarką. — Umyślnie w niniejszéj powieści postawiłem Wam przed oczy taką karykaturę myśli bożéj, ideału kobiety — abyście widziały jak się rodzą po-

twory. Wśród ulicznego tłumu, w szynkowniach potwory takie stają się bydlętami; w wyższéj sferze są demonami złego; w pięknośći ich i oczach czuć zgniliznę grobu. Takie kobiety nie marzą ale myślą, nie kochają ale kuszą, nie mają łez prawdziwych, uśmiechu szczérego, a serce ich to wnętrze spalonych świętości. Na chlubę rodu niewieściego i na pociechę ludzkości, takie potwory rzadko się rodzą; więcéj jest takich, które grzeszą, upadają przez serce, przez namiętność. Kobiety z głową są anomalją sporadycznie się pojawiającą. Do takich demonicznych kobiet należała Irreoltema.

W chwili, kiedy głowa jéj pracowała nad jakimś pomysłem, wszedł dozorca więzienia i oznajmił jéj, że ma się stawić przed sędzią. Był to człowiek młody, nieśmiałéj powierzchowności. Stał przy drzwiach przebierając kluczami. Irreoltema spojrzała na niego i skinęła:

— Zbliż się, mój panie — jestem tak słabą, że sama dojśćbym nie mogła. — Zbliżył się ku niéj niezgrabnie. Syrena otoczyła szyję jego swojém ramieniem i opierając się na niém silnie, postępowała powoli. Włosy jéj drażniły twarz młodego dozorcy, silny oddech jéj piersi czuł na ramieniu; krew uderzyła mu do głowy, w oczach mu się mąciło, pulsa jego grały pospiesznym taktem. Tego chciała Irreoltema.

Przed drzwiami sądowéj sali uścisnęła dozorcę za rękę na podziękowanie za przysługę, jaką jéj oddał i weszła do sali.

Za zielonym stolikiem siedział Nuryn.

Ponura i surowa twarz jego mało dawała nadziei obwinionéj. Przy pierwszéj indagacyi, podczas gdy sędzia zadawał jéj pytania, ona badała jego usposobienie, charakter szukając, z któréjby strony można po-

dejść i ująć go sobie. Nuryn zdawał się nieprzystępny i zimny; jedno ją tylko zdziwiło, że dając jéj zapytania, nie patrzał na nią i starannie unikał jéj wzroku. To przekonało ją, że czar działa, że pod surową i twardą skorupą sędziego kipią namiętności ludzkie. Z nieponętnéj powierzchowności jego wniosła, że nie był nigdy kochany — i na tém oparła cały plan swego postępowania i przy dzisiejszém przesłuchaniu umyśliła rozpocząć atak. Weszła pokorna i skromna, w odpowiedziach nadawała głosowi swemu ton drżący, wzruszony i łagodny. Nuryn czuł, jak ten czar kobiecego głosu obejmuje go, wkrada się do jego duszy. Pomimo to silił się na surową powagę i oschły ton.

— Czy pani byłaś w bliższych stosunkach z doktorem R.?

— Panie sędzio, masz prawo mnie badać; ale nie znieważać.

— Sąd wszystko wiedzieć musi. Tak, czy nie? — powtórzył zimno Nuryn.

— Nie znałam tego człowieka.

— Jaki miał cel list pisany przez panią do pułkownika?

— Ten człowiek prześladował mnie swoją miłością, chciałam się pozbyć jego widoku, obietnicą zatrzymać go w Warszawie, a tymczasem miałam zamiar wyjechania za granicę.

— W szkatułce pani znaleziono wielką ilość morfiny, a sekcja lekarska pokazała, że właśnie tą trucizną zgładzono męża pani. Co pani masz na to powiedzieć?

— Nic, jak tylko, że jestem niewinną.

— Takiéj obrony sąd nie uznaje.

— Więc skażcie mnie.

— To nastąpi. Przysięga służącego, który widział

panią dosypującą truciznę do proszków przepisanych przez lekarza — potępia panią.

Irreoltema zadrzała i zbladła.

— Ja przysięgnę, że tak nie było.

— Sąd od pani nie przyjmie przysięgi.

— Cóż więc mam czynić? spytała obwiniona z wzrastającém przerażeniem.

— Bronić swéj niewinności lub przyznać się.

— Więc przyznaję się — rzekła podnosząc głowę z silném postanowieniem.

Nuryn nie spodziewał się tego zwrotu, spojrzał zdziwiony na mówiącą. Postać jéj w téj chwili jaśniała dziwną majestatyczną powagą i pięknością.

Była to Kleopatra, przykładająca węża do piersi.

— Zastanów się, pani — rzekł Nuryn — że wyznanie twoje stanowi o życiu twojém.

— I czegóż mam tak bardzo żałować tego życia? rzekła z wspaniałą ironiją. — Gdybym na niém znalazła jedno serce szlachetne, któreby m szanować i kochać mogła, możebym żałowała tego życia.

— Więc pani nie kochałaś nigdy.

— To wina moja, to przyczyna méj zbrodni.

Nuryn spostrzegł się, że go litość za daleko unosi i cofnął się do zimnego tonu sędziego.

— Więc do czego się pani przyznajesz?

— Do otrucia mojego męża.

Nastała chwila długiego milczenia.

— Jakiż był powód? spytał po chwili Nuryn.

— Poszłam za niego z musu, nie kochając go. Takie życie wydawało mi się grobem za życia — a ja czułam, że mam jeszcze prawo kochać i żyć.

— Więc pani uczyniłaś to z miłości dla pułkownika?

— Pułkownika nie cierpiałam.

— Więc dla kogóż?

— Ja nie wiem. Ale było we mnie pragnienie szczęścia, było we mnie jakieś przeczucie, że na tym świecie znajdzie się dla mnie serce, które równie jak ja nie kochało jeszcze, które zraziło się do świata, odsunęło od niego i będzie żyć dla mnie i tylko dla mnie.

Nuryn położył pióro, wstał i przeszedł się po sali sądowéj, w twarzy jego malowało się mocne wzruszenie. Irreoltema szła za nim badawczemi, czarnemi oczami i triumfowała. Nuryn wrócił od okna do stolika, zielone sukno i krucyfiks przypomniały mu jego obowiązki — wziął pióro i chciał usiąść. Irreoltema rzuciła mu się do nóg i chwytając go za rękę spytała:

— Co pan chcesz robić?

— Spisać wyznanie pani.

— Na Boga, pan tego nie uczynisz. Wyznałam panu wszystko — jak księdzu na spowiedzi, wyznałam jako człowiekowi, któremu ufam.

— Jestem tutaj tylko sędzią.

— Ja nie do sędziego mówiłam, ale do przyjaciela, co powinien uczuć litość nademną i przebaczyć mi.

Mówiąc to ściskała dłoń jego rozpaloną w swoich aksamitnych rączkach i tuliła się do nóg jego.

— Wstań pani — rzekł Nuryn podnosząc ją.

— O! nie — póki mi nie powiesz, że się litujesz nad moją winą, że mi ją przebaczasz.

— Wstań pani, wstań — powtarzał niespokojnie Nuryn podnosząc piękną zbrodniarkę.

— Jeżeli masz siostrę, matkę — niech one wstawią się za mną, niech ci powiedzą, że kobiecie, któréj nie wychowała czuła opieka matki, wiele przebaczyć należy.

— Więc i pani nie miałaś matki? To dziwne, jak

mało teraz matek na świecie — rzekł z goryczą Nuryn.

— Więc i pan sierota? spytała podnosząc się i patrząc mu z politowaniem w oczy.

— Gorzéj jeszcze — odrzekł cicho odwracając się od niéj.

— O! to mi przebaczysz.

— Choćbym przebaczył, co pani z tego przyjdzie? Sąd panią potępi.

— Potępi? — rzekła i rzuciła się z jękiem na fotel, zakrywając twarz chustką. Nie był to już ruch udany, Irreoltema na prawdę zadrzała przed tém słowem; chwilami wiara w ocalenie odstępowała ją.

Nuryn patrzał na nią z politowaniem i współczuciem, potem zbliżył się powoli ku niéj i biorąc ją za rękę rzekł:

Uspokój się pani — nie trać nadziei. Będziemy robić co można, aby ci ułatwić...

— Ucieczkę? spytała żywo.

— Nie, obronę. Teraz idź pani odpocząć. Na dziś nie chcę cię więcéj męczyć pytaniami.

Zadzwonił. Wszedł dozorca więzienia — Nuryn wskazał na obwinioną i rzekł:

— Odprowadzić panią do więzienia.

Wyszła — machinalnie stąpała przez korytarze ze spuszczoną głową, nie patrząc na nikogo, nie mówiąc ani słowa. Dozorca pierwszy zbliżył się do niéj podał jéj ramię. Podziękowała mu skinieniem głowy i szła daléj znękana wsparta na nim.

— I cóż sędzia? spytał nieśmiało dozorca?

— To głaz.

— Znamy go wszyscy.

— Jeżeli mnie cud nie ocali, będę zgubioną.

Stanęli właśnie przed drzwiami więzienia. Dozorca

obrócił klucz w zamku i wprowadził do izby Irreoltemę.

— Odchodzisz pan już? spytała czułym głosem.

Dozorca zawachał się i stanął na środku pokoju.

— Może masz żonę, do którój ci pilno.

— Ja nie mam żony.

— Nie masz pan żony — taki dobry i taki miły. To szkoda.

— Pensja moja nie wystarczyłaby na wyżywienie żony; mam przy sobie chorą, starą matkę, o którój pamiętać muszę.

— To nie zatrzymuję cię. Ale gdy znajdziesz chwilkę wolnego czasu, przyjdź do mnie, rozmowa z panem jest balsamem dla méj strapionéj duszy. To mówiąc wyciągnęła ku niemu rękę — on zbliżył się i dotknął nieśmiało téj ręki rozpalonemi ustami i wyszedł z pośpiechem. Z trzaskiem zamykanych drzwi z twarzy Irreoltemy ustąpiło rozczulenie i smutek i stała się znowu gipsową maską, w którój czerniły się przepaściste oczy. Kobiece uczucia, które przed chwilą grały na téj twarzy, zeszły jak róż starty — a nagi demon złego się odsłonił. Wyprostowała sztywnie pochyloną przed chwilą postać, założyła ręce z tyłu i chodząc miarowym krokiem po ceglanéj posadzce, rzekła głosem bezdźwięcznym, oschłym:

— Nie źle się rozpoczęło.

Mniéj spokojnie chodził po swojéj izdebce dozorca więzienia. Piękna zbrodniarka w długiéj aksamitnéj sukni stała mu wciąż na oczach. Człowiek ten w biedzie urodzony i wychowany, pierwszy raz zbliżył się do kobiety wielkiego świata; piękność jéj i dobroć dla niego odurzyła go, oszołomiła tak, że nie wiedział, co się z nim dzieje.

— Ona nie może zginąć, nie powinna, nie zginie— mówił do siebie.

Suchy kaszel leżącéj na łóżku kobięty ocucił go i sprowadził z nieba na ziemię. Ta matka chora, nędzna izdebka, jego mundur dozorcy — wszystko to wydawało mu się teraz takie upokarzające, małe, przykre. Zamknął oczy i rzucił się na łóżko, by nie widzieć tego, by myśleć o aresztowanéj.

A Nuryn? Ten wrócił do siebie napozór spokojny i zimy jak zawsze, nie rozbierał się jednak długo, kilka godzin siedział na jedném miejscu nieruchomy, zamyślony mocno. W przedpokoju chrapał głośno pijany Wasyl — przez sen bełkotał jakieś wyrazy bez ładu i związku. — Nuryn nie uważał na to. Naraz usłyszał wyraz:

— Irreoltema!

Zerwał się i obejrzał z trwogą do koła, nikogo nie było. Głos szedł z izdebki Wasyla. Nuryn porwał świecę i pobiegł tam. Wasyl leżał na tapczanie rzucając się niespokojnie. Nuryn stał długo nad nim, wpatrywał się w twarz jego i zamyślił się nad tą dziwną tajemnicą, zkąd w ustach starego żołnierza znalazło się to imię, które teraz wszechwładnie zapanowało nad nim. Byłoż to echo jego własnych myśli, czy jakaś zawikłana zagadka?

Ranek rozwiązał zagadkę. Zapytany przez niego Wasyl opowiedział, zkąd zna to imię, przy jakiéj sposobności poznał Irreoltemę. — Z opowiadania jego Nuryn nabrał przekonania, że Irreoltema kochała pułkownika. Zazdrość poczęła męczyć go, odpędzał od siebie natrętne, gryzące myśli, szamotał się z niemi jak Laookon z wężami; wreszcie zerwał się i poszedł do sądu.

Dziś jeszcze prawdę wiedzieć muszę. Jeżeli go kochała — zginie. A jeżeli nie kochała? To także zginąć musi, bo ja jéj nie ocalę — mówił do siebie zrozpaczony, rozszalały.

U drzwi sądowéj sali jakiś człowiek zastąpił mu drogę.

— Kto jesteś?

— Świadek w procesie o otrucie mego pana — jego służący Antoni.

— Czego chcesz? spytał niechętnie.

— Chciałbym stanąć przed sądem, bo mi pilno wracać do domu.

— Wszak już przysięgałeś w sądzie powiatowym.

— Tak; ale wezwano mnie tutaj, bym stawał do oczów obwinionéj.

— Jeszcze śledztwo nie doszło do tego, później, później — mówił niecierpliwie pragnąc się go pozbyć najprędzéj.

— Ja mam wiele jeszcze zeznać.

— Czy na obronę obwinionéj?

— Jéj nikt nie obroni — ona winna.

— Późniéj, późniéj — powtorzył Nuryn i wszedł pospiesznie do sali sądowéj. — Za chwilę zadzwonił — wszedł pachołek.

— Czy ten człowiek stoi jeszcze w sieni?

— Poszedł już.

— Przyprowadzić obwinioną.

Pachołek odszedł — Nuryn rzucił się na krzesło zmęczony i rzekł:

— Dziś się rozstrzygnie albo jéj los, albo mój.

Założył ręce, wsparł na nich głowę i patrząc na stół zielony czekał.

Niedługo potém otworzyły się drzwi sali sądowéj — weszła Irreoltema; była piękniejszą niż wczoraj, jeżeli

ta kobieta mogła być jeszcze piękniejszą. W posągu tym grało dziś życie, jak płomień lampy w alabastrów łonie, jak w Galatei budzącej się do życia. Nuryn nie spojrzał na nią, siedział nieruchomy, i milcząc czekał aż usiędzie. Potém podniósł głowę i siląc się na zimną powagę wobec tego czaru piękna, co go ogarniał, wbił w nią głęboki, badawczy wzrok i powolnym głosem odezwał się:

— Czy pani wiesz, gdzie teraz się znajduje pułkownik?

— Nie. Prawdopodobnie w Warszawie.

— Trochę daléj. Pułkownik zastrzelił się.

Mówiąc to nie spuszczał ani na chwilę z niéj oczów, śledził każdy ruch jéj, każde drgnienie jéj twarzy. Irreoltema przyjęła tę wiadomość zimno, bez najmniejszéj oznaki żalu, bez żadnego gwałtownego wzruszenia. Nuryn odetchnął — Wasyl skłamał — ta kobieta nie kochała pułkownika — nie mogłaby tak obojętnie przyjąć wiadomości o jego śmierci. Tak rozumował Nuryn.

— Śmierć pułkownika — odezwał się po chwili — pogorsza sprawę pani, daje sądowi jeden dowód więcéj.

— Przeznaczeniem tego człowieka widać było szkodzić mi nawet i po śmierci.

— Za to nieobecność drugiego człowieka powinna panią pocieszać. Mówię tu o doktorze R. —

— Gdzież on jest?

— Znikł bez wieści; to pani może ułatwić tłomaczenie się. Nie byłby uciekał, gdyby nie czuł się winnym. — Ja pani nie powinienem tego mówić.

Irreoltema wstała, zbliżyła się ku niemu i podając mu rękę rzekła:

— Jeżeli będę ocaloną — pana nazwę moim jedy-

nym wybawcą, a ty mnie nazwij wtedy niewolnicą swoją.

Nuryn zbliżył jéj rękę do ust swoich.

— Chciałbym coś zrobić dla pani; ale ostatecznie wyrok twój nie odemnie zależy, jeno od sądu.

— A jeżeli doktór R. wróci, i będzie bronił swéj niewinności?

— Nie wróci — rzekł Nuryn ponuro.

Irreoltema spojrzała na niego badawczo, nie rozumiała pewności i stanowczości, z jaką sędzia powiedział ostatnie słowo. Nuryn zmięszał się i odparł krótko:

— Doktór R. nie żyje. A chcąc usunąć wszelkie domysły Irreoltemy, dodał: zamordowano go z powodów politycznych.

— Więc pan dajesz mi nadzieję?

— Ja nie obiecuję, wyrok nie odemnie zależy.

— Dręczysz pan nielitościwie — taka wątpliwość to tortury.

— Nie rozpaczaj pani. Zrobię, co będzie można. Wszak pani widzisz, że nie jestem sędzią dla ciebie, ale obrońcą prawie. Będę się starał przedłużyć proces, uwaga rządu w téj chwili gdzieindziéj skierowana; kto wie, co nastąpić może.

W téj chwili drzwi się otwarły i wszedł stary służący Antoni.

— Czego tu chcesz? spytał opryskliwie Nuryn. — Kto cię tu wpuścił?

— Nikt. Pachołka nie było przy drzwiach — wszedłem sam.

— Precz! — zawołał gwałtownie Nuryn.

Służący nie ruszył się z miejsca, rozpiął tylko surdut i wyjął jakiś papier. Podając go sędziemu, patrzał na swoją panią triumfującym wzrokiem. Nuryn wyrwał

mu papier z rąk i czytał z pośpiechem. Było to pismo prezesa sądu. Nuryn przeczytał — zagryzł wargi z niechęcią i rzekł:

— Idź na ustęp — za chwilę cię wezwę?

— Co się stało? spytała po jego odejściu Irreoltema — w oczach pana i jego czytam coś nie dobrego dla siebie.

— Ten stary zawziął się na panią — mam polecone przyspieszenie sprawy.

— Boże!

— Nic straconego. Wracaj pani do więzienia i pocieszaj się tém, że jest tu taki co myśli o tobie.

Zbliżył się do niéj i schylił się, by ucałować jéj rękę — w téj chwili uczuł na swojém czole pocałunek Irreoltemy. Był to pierwszy pocałunek kobiety — wszystkie nerwy zagrały w ciele odludka.

Długi czas po odejściu obwinionéj nie mógł przyjść do siebie, pocałunek otworzył mu świat, którego nie znał dotąd. Wreszcie zapanował nad wzruszeniem, zadzwonił i kazał wprowadzić świadka.

VIII.

Drogi do wolności.

Ukończyło się wreszcie śledztwo w procesie Irreoltemy i wypadło mimo usiłowań Nuryna na niekorzyść obwinionéj. Zaprzysiężone świadectwo służącego, sprawozdania lekarskie, znaczna ilość trucizny, znaleziona w szkatułce Irreoltemy — wszystko to potępiało ją. Nawet niewytłomaczone zniknięcie doktora R. nie zdołało jéj nic pomódz; towarzystwo bowiem lekarskie orzekło, że w receptach zapisywanych przez tegoż doktora była morfina udzielana w dozach wcale nieszkodliwych, że otrucie nastąpiło wskutek dosypywania znacznéj ilości morfiny do każdego proszka. Z tych świadectw i zeznań nie można było wątpić, jaki będzie wyrok Sądu. Nuryn był w rozpaczy. Przy ostatniém przesłuchaniu obwinionéj był zmieniony i blady, nie taił wcale przed nią istotnego stanu rzeczy, dodawał jéj odwagi, zalecał przytomność.

— Jeżeli wszystko nas zawiedzie — mówił do niéj — mam jeszcze jeden środek ocalenia; ale do tego tylko straszna ostateczność mnie zmusi.

Irreoltema słuchała jego rad i uwag z spokojną twarzą— czy, że wierzyła jego obietnicom, czy że tak zobojętniała na los, jaki ją czeka. Nuryna dziwił nieco ten spokój; — dawniéj Irreoltema bywała wzruszoną, rozrzewnioną — prosiła, błagała, lamentowała, w oczach jéj widział dla siebie jakąś obietnicę szczęścia, czułość — czułe uściski przeplatały zeznania obwinionéj. Dziś była zupełnie inną — oczy miała spokojne, usta skąpe w słowa, i ani razu nie zbliżyła się ku niemu. Kiedy już miała odchodzić, Nuryn zbliżył się ku niéj, wziął ją za rękę i rzekł drżącym głosem:

— Co to ma znaczyć? Odchodzisz pani bez słowa pociechy dla mnie.

Rozśmiała się cierpko, boleśnie.

— Pan chcesz pociechy odemnie? To zabawne.

— Chcę nadziei szczęścia.

— Od nieszczęśliwéj.

— Chciéj mnie zrozumieć pani. Ja w oczach twoich pragnąłbym wyczytać to, co by mi dodało odwagi do zrobienia strasznego kroku, jakim myślę cię ocalić — a tymczasem twoje oczy dziś takie obojętne.

— Łudzisz mnie pan tak długo już tém ocaleniem, że przestałam w nie wierzyć. Niech się co chce stanie.

Skinęła obojętnie ręką i wyszła. Młody dozorca więzień czekał na nią w sieni, i milcząc odprowadził ją do celi. Kiedy miał zamykać drzwi, wrzucił do celi mały świstek papieru. Irreoltema podniosła z pośpiechem kartkę z podłogi i zbliżyła się z nią do okna. Na kartce stało napisane:

„Wszystko przygotowane, bądź gotową o północy“.

Odetchnęła — uśmiech radości przebiegł po jéj twarzy jak promień słoneczny po marmurowym posągu. Z tych kilku słów wiał oddech wolności, te sło-

wa otwierały drzwi jéj przyszłości, jéj nadziejom i planom. Siadła z założonemi rękami na tapczanie i przędła daléj te myśli, a godziny niepostrzeżenie przebiegały. Wśród téj procesyi myśli nigdzie nie widać było bladéj twarzy dozorcy więzień, którego poświęceniem miała odzyskać wolność. Zapomniała już o nim jak o zużytéj sukni, jak o przekreślonym rachunku.

Na korytarzach zegar bić począł — Irreoltema się zerwała i z uwagą liczyć poczęła uderzenia — była jedenasta. Jeszcze godzina przedzielała ją od stanowczéj chwili. — Ona taka zwykle spokojna i zimna — w téj chwili poczęła doznawać dziwnego wzruszenia i niepokoju, oczekiwanie i niepewność przedłużały tę godzinę w długą męczarnią. Wreszcie usłyszała kroki na korytarzach — zadrżała — zerwala się i pobiegła ku drzwiom. Klucz pocichu zazgrzytał w zamku i do celi wsunął się wystraszony, blady dozorca.

— Czy już? spytała Irreoltema chwyciwszy go gwałtownie za rękę.

— Jeszcze chwilę — aż warty zmienią. Żołnierze, którzy teraz przyjdą, są przekupieni. Za zapłatę zdecydowali się na pałki.

— Gdy będę wolną, nagrodzę im to sowicie i tobie, tobie najwięcéj.

Dozorca ucałował podaną sobie rękę.

— A schronienie czy przygotowałeś dla mnie?

— Jest pani, i kartka wyjazdu.

Milczeli chwilę — Irreoltema nie wiedziała co powiedzieć — czekanie niecierpliwiło ją, radaby była jak najprędzéj pozbyć się tych murów więziennych i tego dozorcy, względem którego zaciągała dług wdzięczności — a ona nie umiała, nie lubiła być wdzięczną.

Odbiła wreszcie dwunasta. Dozorca otulił Irreoltemę w płaszcz żołnierski i wyprowadził na korytarz. — Mi-

nęli dwie straże i zeszli na dół. Tu dozorca wziął ją za rękę i ciemnemi zaułkami prowadził kierując się ku bramie.

— Czy daleko jeszcze? spytała Irreoltema drżącym, stłumionym głosem.

— Jeszcze miniemy dwie warty, a potem już brama główna — cicho — drugi dozorca idzie — skryjmy się w tę framugę.

Dozorca drugiego korytarza szedł powoli z latarnią w ręku oglądając zamki u drzwi.

— Jeżeli pójdzie w tę stronę — zginęliśmy — szepnął dozorca.

Irreoltema przytuliła się do ściany i z niepokojem śledziła ruchy człowieka chodzącego z latarnią — ściśnieniem ręki telegrafowała dozorcy swoją obawę i niepokój. Latarnia kierowała się w ich stronę — dozorca zcierpnął.

— Co począć? spytała go strwożona.

— Zaczekaj tu pani, ja wyjdę ku niemu.

Wyszedł z za framugi, zbliżył się do swego kolegi — rozpoczął z nim rozmowę, wśród któréj starał się zatrzymywać go i zwrócić w inną stronę. Po wielu długich manewrach udało mu się to wreszcie, że odprowadził swego kolegę w inne ramię korytarza, a sam pośpiesznie wrócił do Irreoltemy.

— Chodźmy pani — rzekł — każda chwila droga.

Wziął ją za rękę i prowadził daléj. Wśród drogi odezwał się do niéj:

— Teraz nie mam po co wracać tutaj — dozorca widział mnie chodzącego po nocy — ucieczkę więc pani tylko mnie przypiszą. Pani weźmiesz mnie z sobą — prawda?

— Dobrze, dobrze — byle tylko raz wyjść ztąd.

— Ja będę pani służył wiernie jak pies, bylebyś

nie odmówiła schronienia mojéj staréj matce. Pani jesteś tak dobrą, pani to zrobisz — prawda?

— Zrobię, zrobię — mówiła Irreoltema — ale o tém później mówić będziemy. Teraz nie czas na to.

Dozorca umilkł i szedł daléj. Minęli znowu jednę wartę. Wtém ów dozorca z latarką w ręku znowu ukazał się na głównym korytarzu. Wypadało więc koniecznie cofnąć się, ukryć się potem w bocznym korytarzu i ustępować się przed światłem latarni. — Tak zrobili. Idący z Irreoltemą dozorca pociągnął ją pospiesznie za sobą w ciemną uliczkę. Ruch ten zbyt gwałtowny omało ich nie zdradził. Dozorca bowiem z latarnią usłyszał to i zawołał:

— Kto tam?

— Ja.

— Ty Onufry — nie spisz jeszcze?

— Idę spać właśnie.

— Dobréj nocy — zawołał z dala.

Onufry odprowadził Irreoltemę w boczne uliczki korytarzy, chodził z nią czas jakiś czekając, aż zginie światło w głównym korytarzu. Jak na złość światło nie ustępowało — Onufry wysunął się na zwiady i zobaczył, że kolega jego zapuścił się w gawędkę z żołnierzem.

Poszedł wreszcie — Onufry odprowadził go oczami, dopóki nie wszedł do swego mieszkania. Wtedy wrócił po skostniałą od zimna i obawy Irreoltemę i poprowadził ją do bramy. Przekupiony żołnierz umyślnie usunął się w inną stronę, by zostawić dozorcy czas do otwarcia bramy. Dozorca włożył klucz do bramy — Irreoltema odetchnęła — za tym kawałkiem drzewa czekała ją wolność. Dozorca zakręcił klucz w bramie i otworzył. Jakież było ich przerażenie, gdy w otwartéj bramie ujrzeli wchodzących żołnierzy i oficera za-

ciągającego wartę. Zegar na kurytarzach uderzył właśnie pierwszą.

— Kto idzie? zawołał oficer.

— Zginęliśmy — szepnął z przerażeniem dozorca.

Oficer zbliżył się do Irreoltemy kryjącéj twarz swoją w fałdach płaszcza, i spojrzał jéj w oczy.

— To aresztantka — a więc ucieczka. Wiązać ich.

Dozorca nie bronił się żołnierzom — stał nieruchomy, osłupiały. Dopiero kiedy go odprowadzić miano — zakrył twarz rękami i zawołał z płaczem:

— Biedna matka moja!

Irreoltemę odprowadzono do jéj celi i zdwojono środki ostrożności.

Ta nieudana ucieczka pogorszyła jeszcze więcéj sprawę obwinionéj. W parę dni potém zawołano ją do wyroku. Droga do sali sądowéj prowadziła przez kancelarją Nuryna, który z niecierpliwością czekał na obwinioną. Weszla zmieniona i znękana. Nuryn zbliżył się ku niéj i szepnął:

— Odwaga i wytrwanie.

— W czém? spytała go boleśnie.

— Ufaj mi pani. Źle, żeś na chwilę wątpiła o mnie, zamiar twojéj ucieczki pogorszył sprawę — z tém wszystkiém nie ma nic straconego. Nie lękaj się pani, jakikolwiek będzie wyrok — załóż rekurs.

Otworzył jéj drzwi do sali sądowéj, w któréj siedzieli już zgromadzeni sędziowie i sam wszedł za nią. Widok ten zmięszał nieco obwinioną — wkrótce jednak odzyskała przytomność. Odczytywania aktów, zeznań świadków, sprawozdań lekarskich trwało czas jakiś — potém nastąpiła obrona, po któréj sąd skazał obwinioną na 20 lat ciężkiego więzienia.

Irreoltema słuchając wyroku omdlała i upadła. Wyniesiono ją do przybocznéj sali — Nuryn patrzał na

to siląc się na spokój i zimną krew, podczas, gdy wszystko w nim wrzało i gotowało się. Niepewność o życie Irreoltemy szarpała jego piersi, a nie mógł się z tém zdradzić. Chwila czekania była dla niego straszną długą męczarnią. Wreszcie otworzyły się drzwi i pachołek doniósł, że skazana wróciła do przytomności.

Sąd polecił Nurynowi udać się za nią i dopełnić niektórych formalności urzędowych. Wstał z pośpiechem i udał się do swéj kancelaryi.

Irreoltema siedziała na stołku głową wsparta o framugę okna, była mocno osłabioną, a w oczach ponure malowało się zamyślenie, z którego nawet wejście Nuryna nie zdołało ją ocucić. Zbliżył się do niéj i dotknął jéj ręki.

— I cóż? spytała go z gorzką ironją — czy jeszcze o nadziei przychodzisz mi pan mówić?

— Teraz bardziéj niż kiedykolwiek; choć ta droga wolności pani będzie zarazem drogą do mojéj hańby.

— Nie rozumiem pana.

— Robiłem co mogłem, by ratując ciebie, ratować i moje sumienie. Dziś to już niepodobna — trzeba poświęcić jedno, albo drugie. Wybawienie pani nie od sądu teraz — ale od władz politycznych zależy.

— Jak to?

— Wiesz pani zapewne o zaszłych wypadkach. Walka w całym kraju się rozpoczęła. Rząd nie obawia się band powstańczych — ma on dosyć siły na zgniecenie ich; ale się obawia Rządu-narodowego i tajnéj jego policyi; ten ukryty nieprzyjaciel dręczy go i trwoży.

— Ale jakiż to ma związek ze mną?

— Posłuchaj pani daléj. Ja jestem jednym z członków organizacyi, znam tajne jéj sprężyny i wiem jéj drogi. Rozumiesz mnie pani teraz?

— Więc za tę cenę pan mógłbyś...

— Nie kończ pani — to myśli zbrodnicze, które nigdy w słowa wcielić się nie powinny. Nie patrz mi pani w oczy, bo wzrok twój będzie piętnował mnie na zbrodniarza.

— O mój drogi — zawołała Irreoltema rzucając mu się na piersi — twoje poświęcenie robi cię aniołem w moich oczach.

— Czemuż wszyscy nie mogą mieć twoich oczów.

— Więc spiesz się, czas drogi — ja tu uschnę, uwiędnę w tych murach.

— A jeżeli cię ocalę — co potém?

Irreoltema nie myślała nad tém; jéj szło tylko o to, aby odzyskała wolność, wiedziała, że jéj użyć będzie umiała. Wybawca nie wchodził w zakres jéj myśli o przyszłości.

— Co po tém? powtórzyła machinalnie — potém będziemy szczęśliwi.

— Słuchaj mnie Irreoltemo, dla ciebie gubię duszę, rzucam moje imię na pastwę pogardy. Dla tego za nim się na ten stanowczy krok odważę, potrzeba mi umocnienia, zachęty. Przysięgnij mi na zbawienie twéj duszy, na szczęście twego całego życia, że kiedy cię ocalę, ty mnie nie opuścisz, że mnie kochać będziesz zawsze, wiecznie — że ani obelgi ludzkie, ani pogarda ich dla mnie, nie ostudzą twojéj miłości. Wszak widzisz, że dla ciebie wyrzekam się czci u ludzi, spokoju między nimi, że może i życie moje stawiam na kartę — chcę więc jednéj, jedynéj za to nagrody — twojéj miłości. Czy przysięgniesz mi ją?

Irreoltema zbliżyła się do stolika, położyła dwa palce na krucyfiksie i rzekła uroczyście:

— Przysięgam.

— Pamiętaj Irreoltemo, że gdybyś złamała przy-

sięgę, ja nie czekałbym ażby Bóg ukarał ciebie, jabym sam cię ukarał, jabym się pomścił okropnie.

— Nie musisz mnie kochać, kiedy tak grozisz i nie wierzysz.

— Ty jesteś pierwszą moją miłością, jedyną istotą, którą będę miał na tym świecie; dla tego nieposiadając cię jeszcze, drżę już z obawy, by ciebie nie stracić.

— Ocal mnie tylko, a przekonasz się, jak próżne są twoje obawy.

Otoczyła jego szyję rękami i zawisła na jego piersiach. Była to chwila zaręczyn — zdrajca i zbrodniarka tonęli w miłosnym uścisku.

Gdy już miała odchodzić doniesiono Nurynowi, że przyprowadzono dozorcę Onufrego do przesłuchania.

— Wszak to ten, który ciebie chciał ocalić — rzekł po cichu sędzia do niéj. — Czy i on ma być wolny?

— Mało mi na tém zależy — był zapłacony.

— To co innego.

Rozeszli się. Irreoltema wracała do siebie z twarzą ożywioną nową nadzieją — nie wątpiła, że usługa, jaką Nuryn wyświadczy rządowi, przez wydanie w jego ręce organizacyi — ocali ją i uwolni. Przechodząc koło dozorcy okutego w kajdany — ani spojrzała nawet na niego. Ten człowiek ją nie obchodził już wcale, bo jéj nie był potrzebny. — Wróciła do siebie wesoła i długo chodziła po celi rozmyślając nad tém, co jéj Nuryn powiedział. Groźba zemsty jego trwożyła ją nieco. Trapiła ją ta myśl, że ten człowiek jak łańcuch uczepi się jéj, będzie ciężył i zawadzał w jéj pochodzie do szczęścia.

— Świat szeroki — rzekła do siebie w końcu — możemy się nie znaleść więcéj. Tak, wszak to nie trudno.

I twarz jéj biała, zimna — uśmiechnęła się do tych słów dziwnym, jałowym śmiechem.

IX.

Rodzina starego żołnierza.

Tego samego dnia wieczorem do ustronnego domku przy ulicy Chmielnéj wchodzili od czasu do czasu jacyś ludzie, po dwóch lub pojedynczo. Koło furtki powtarzała się ta sama scena, jakiéj niegdyś doktór R. był świadkiem. Ostatni człowiek, który zbliżał się do furtki — szedł krokiem powolnym; czasami się zatrzymywał, oglądał, wracał; niepokój i silne roztargnienie czy téż obawę zdradzały jego ruchy. Jakkolwiek szedł ze spuszczoną głową, jednak, gdy mijał miejsca, w których mdłe latarnie rozjaśniały nieco ciemność wieczoru — można było rozeznać rysy jego twarzy — był to Nuryn. Z judaszowską myślą zdrady szedł między braci swoich; wszystkie szlachetniejsze uczucia jego duszy podniosły bunt przeciw téj myśli, godność człowieka wypowiadała walkę szalonéj namiętności, przepaść jego duszy była areną téj strasznéj walki. Nuryn z trwogą i obrzydzeniem mierzył czarną otchłań hańby, w którą się rzucał — były chwile wachania się, chciał

nawet wracać się; ale przypomnienie Irreoltemy gnało go znowu naprzód, obawa utraty jéj dodawała mu odwagi do zbrodni.

Już stanął przed furtką — lękliwie i nieśmiało wziął za klamkę i zatrzymał się czas jakiś. Ostatnie wyrzuty sumienia pokładły się jeszcze przed nim i wstrzymywały go w pochodzie; odepchnął je samolubną uwagą: „co mnie obchodzą ci ludzie — i mnie należy się odrobina szczęścia na ziemi“ — i wszedł do ogrodu. Wieczór był tak ciemny, że z trudnością można było rozróżnić ścieżkę wśród suchych krzaków. Nuryn po omacku prawie postępował ku domkowi, z którego okien padająca jasność oświecała kawałek ogrodu tuż koło domu — i kierując się za światłem doszedł do poręczy schodków. Tutaj jakaś postać otulona w płaszcz zasłoniła mu na chwilę światło z okna.

— Kto tu? spytał Nuryn i zbliżył się do człowieka stojącego pod murem, usiłując przy świetle padającém z góry rozpoznać jego rysu. Spojrzał i odskoczył w tył z przerażeniem:

— Nieboszczyk! zawołał zasłaniając się rękami przed widmem czy człowiekiem.

Na to słowo człowiek w płaszczu zerwał się jak zwierz raniony, poskoczył za uchodzącym i chwytając go silnie za rękę, zawołał głosem ochrypłym, strasznym:

— Więc ty Nuryn!

Nuryn nie mógł sobie zdać sprawy z tego nadzwyczajnego zjawiska; człowiek, którego on zabić kazał, którego (jak mu doniesiono) zabito, stanął nagle przed nim i to właśnie w chwili, gdy ma popełnić czyn, za który innych śmiercią karał. Ten nadzwyczajny zbieg okoliczności połączony z jego obecném usposobieniem i tajemniczością nocy, dziwnie podziałał na wyobraźnię

Nuryna, trwoga go ogarnęła i usiłował się wydostać z żelaznych uścisków zjawiska.

— Precz odemnie, zawołał — zkąd przychodzisz i po co?

— Zkąd? Z krainy boleści i sromoty, w którą mnie wtrąciłeś — przychodzę po moje usprawiedliwienie. — Rozumiesz?

Słowa te oprzytomniły nieco Nuryna, poznał, że z człowiekiem ma do czynienia i usiłował uwolnić się od niego. Pchnął go więc silnie i postąpił na schodki. Odepchnięty zerwał się z gwałtownością z ziemi, z szaloną szybkością poskoczył za nim i uczepił się szat jego; poczęło się szamotanie gwałtowne, dzikie — Nuryn usiłował zrzucić na dół przeciwnika, a ten jak pijawka, jak wąż czepiał się go to jedną ręką, to drugą, że nie sposób było uwolnić się od niego. Wreszcie udało się Nurynowi oswobodzić swe ręce od rąk przeciwnika — użył tej chwili i postąpił parę kroków, by dojść do drzwi izedbki na górze; ale ledwie zdołał je uchylić, widmo ścigające go rzuciło się tuż za nim, i prawie jednocześnie wpadli obaj do izby, w której siedziało kilkunastu mężczyzn osłupiałych tą niespodziewaną sceną i tym hałasem. I z drugiéj strony sionki hałas ten obudził uwagę mieszkańców, a raczej mieszkanek. Pani Milowska z córką zaniepokojone wybiegły z izdebki dowiedzieć się o przyczynie. W sionce nie było już nikogo, tylko w stancyi po za drzwiami słychać było gwałtowne ruchy i słowa. Helenka wśród gwaru, jaki powstał, rozeznała głos jeden dobrze jéj znajomy; ale nie była pewną.

— Co to jest? spytała matka — kto tak krzyczy?

— Nasz chory.

Umilkła, bo ów chory właśnie coś zaczął mówić podniesionym głosem. Był to doktór R. — Gwałtowne

wzruszenie, w jakiém go widzieliśmy, gdy się dowiedział, że matka Heleny podziela czarne przypuszczenia, jakich stał się niewinną ofiarą — dziwnie podziałało na jego zdrowie. Odtąd przytomność opuściła go zupełnie, wciąż majaczył i fantazjował, rzucał się i zrywał tak dalece, że Helenka zachodziła w rozpacz. Mimo zakazu matki znajdowała sobie zawsze czas, w którym niepostrzeżenie zbiegała do niego i pilnowała go. Jéj słowa i widok działały magnetycznie, uspokajająco na chorego, lubo jéj niepoznawał zupełnie. Niepodobna było jednak ciągle być przy nim; nawet stara Marta musiała nieraz zostawiać go samego, szczególniéj w ostatnich dniach, gdy gorączka znacznie się zmniejszyła. Jednéj takiéj chwili użył chory na wydobycie się z tych miejsc; bowiem bytność w domu, w którym wiedział, że przebywa osoba gardząca nim (myślał tu o matce Heleny), była dla niego męką; postanowił więc przy najbliższéj sposobności uciéc ztąd daleko. Myśl ta powzięta przy zdrowych zmysłach, nieraz w gorączce napadała chorego — zrywał się wtedy i chciał uciekać; ale brak siły rzucał go znowu na łóżko. Dziś przytomność i siły wróciły nieco — podniósł się z wysileniem, otulił się w płaszcz i chciał uciekać. Przypadek zderzył go z Nurynem i zaprowadził nie tam, gdzie chciał iść. W rozdartéj koszuli, starganym płaszczu, zmęczony szamotaniem i osłabiony gorączką, wpadł do stancyi; ale brakło mu sił i upadł. Ci, którzy tam byli zebrani wstali i zbliżyli się ku niemu. Chory spojrzał na nich, oczy jego zamigotały fosforycznym blaskiem, blada i wynędzniała twarz zarumieniła się ogniem.

— Ha, to wy — zawołał, usiłując podnieść się z ziemi — to wy sędziowie moi i mordercy, a szczególniéj ten — ten. — Nikczemni — naród wam oddał władzę

w rękę, a wy téj władzy użyliście dla dogodzenia waszéj osobistéj zemście. Potępiacie bez winy, karzecie bez sądu. Powiedz ty, który stoisz teraz z twarzą bielszą od méj koszuli, com ja zrobił, żeś mnie potępił? Żem wydarł jednę ofiarę twojéj rozpasanéj namiętności — byłoż to zbrodnią przeciw krajowi — mów, mów! I wszyscy mówcie, ja chcę sądu, sprawiedliwości — a jeżeli będziecie milczeć, odwołam się do narodu — do narodu. —

Nie mówił, ale wołał, krzyczał prawie te słowa; gorączka w szał go wprawiała.

— Co to ma znaczyć Nurynie? — spytali zgromadzeni, widząc, że chory najczęściéj ku niemu zwracał mowę — kto jest ten człowiek?

— Nie znam go.

— Nie znasz mnie? Ty mnie nie znasz? Jestem doktór R., któregoście wy skazali na śmierć za zdradę. Za jaką zdradę przez Bóg żywy, powiedzcie! — Piersi, które miały bronić kraju, pokłuły mi wasze sztylety — o, patrzcie!

Odsłonił koszulę, i usiłował rozerwać bandaże na piersiach, ale nie miał już sił i z łoskotem runął na ziemię. W téj chwili krzyk niewieści dał się słyszeć za drzwiami i Helenka wpadłszy z pośpiechem, rzuciła się do ratowania omdlałego.

Zgromadzeni w stancyi zwrócili się wtedy do Nuryna. —

— Więc to jest doktór R.? — pytali. — Ty miałeś poleconą sobie jego sprawę, ty dostarczyłeś dowodów i zaprzysiągłeś je — na mocy téj przysięgi wydano wyrok.

Nuryn nie wiedział co odpowiedzieć, gdzie podziać oczy. Położenie jego było okropne: miał udowadniać zdradę drugiemu, o któréj nie był zupełnie przekonany —

podczas, gdy sam nosił się z myślą okropnéj zdrady, która miała dotknąć sam rdzeń organizacyi.

— Czegóż chcecie odemnie? Wszak przysiągłem, że jest winny.

— To kłamstwo — zawołała Helena zrywając się z klęczek — kto mówi, że on winny? —

— Ja — odrzekł Nuryn, zdobywając się na bezczelność.

— Ty? — Dziewczyna spojrzała na mówiącego i przypatrzyła mu się z uwagą; na raz postąpiła ku niemu z gwałtownością.

— Ty? — zawołała — ha, poznaję cię; rysy twoje dobrze zapisały się w mojéj pamięci owego wieczora, gdyś tak brudno nadużył mego zaufania, że zmuszona byłam uciec przed tobą pod opiekę tego nieszczęśliwego. I ty go za to zamordować kazałeś? Podły! — Postąpiła ku niemu i plunęła mu w twarz. Nuryn drgnął cały, wszystkie nerwy zagrały w nim, ale jakaś moc dziwna więziła go na miejscu, stał jak skamieniały, przybity.

— Panowie — odezwał się jeden z obecnych — nie teraz czas na te sprawy, gdy tyle mamy ważniejszych przed sobą czynności, od których los kraju zależy. Odłóżmy to na później. — Nuryn będzie oskarżony i zda rachunek ze swoich czynności. — Dziś przejdźmy do dalszych czynności — każda chwila jest drogą.

Uwagę tę uznano za słuszną. — Kilku z obecnych podniosło omdlałego doktora z ziemi i przenieśli go na drugą stronę do izdebki wdowy.

Wśród tego zamięszania Nuryn wysunął się niepostrzeżony.

Złożywszy chorego na łóżku, spiskowi wrócili do dalszych obrad, zostawiając go pod opieką kobiet, które z niesłychaną troskliwością krzątały się koło niego.

Szczególniéj matka Helenki opieką i czułością chciała nagrodzić choremu dawniejszą swoją obojętność i wzgardę. Helenka patrząc na to, błogosławiła w duszy dzisiejsze zdarzenie, które całéj sprawie taki obrót nadało; a lubo to stało się kosztem zdrowia chorego, jednak nie traciła nadziei, że ta choroba szczęśliwie się skończy. Od czasu do czasu całowała matce ręce z uciechy, a matka przyciskała ją wtedy do siebie i mówiła:

— Zawiniłam przeciw temu człowiekowi; ale ja mu to nagrodzę, będę go kochać, jak ciebie, moja Helenko.

A Helence od tych słów oczy zachodziły łzami radości i niecierpliwie czekała chwili przebudzenia się chorego, by z nim mogła podzielić radość swoją.

Chory po mocném osłabieniu zapadł w ciężki sen, który trwał parę godzin. Jakże przyjemne musiało być dla niego przebudzenie, gdy ujrzał przy sobie matkę i córkę trzymające go za ręce i patrzące na niego wzrokiem pełnym miłości. — Ta chwila zapłaciła mu sowicie długie męki i cierpienia.

— Jakie wy dobre! mówił całując je po rękach. — Boże! jakże jestem szczęśliwy teraz!

W téj chwili dzwonek zabrzęczał koło furtki silném szarpnięciem poruszony. Wszyscy drgnęli mimo woli na ten głos. — Marty nie było jeszcze w domu — matka Heleny więc sama zeszła do furtki.

Nie długo dowiemy się, kto późnym wieczorem dzwonił do ustronnego domku; tymczasem wypada nam wrócić do Nuryna i nie spuszczać go z oka od czasu jak opuścił mieszkanie wdowy.

Szedł pospiesznie rozirrytowany, wzburzony, rozmawiając sam ze sobą.

— Nuryn zda rachunek. — Ha, wy od Nuryna chcecie rachunku — porachuje on się strasznie z wami.

Słowa te jednego ze spiskujących: zda nam rachu-

nek — utkwiły jak oset w jego duszy i kłuły go. Nuryn powziąwszy myśl zdrady, czuł się panem życia tych ludzi, wszedłszy między nich, szukał na ich twarzach pokory, czołobitności, któraby ubłagać mogła i odwieść od stanowczego kroku, a tymczasem ci ludzie zażądali rachunku od niego.

— Będziecie go mieli — syknął ściskając pięści.

Na Marszałkowskiéj skinął na doróżkę i siadając do niéj, rzekł doróżkarzowi:

— Przed mieszkanie dyrektora policyi.

Doróżka popędziła pędem w tę stronę — za czas nie długi stanęła na miejscu. Nuryn wybiegł z niéj na wschody. Kazał się zameldować; służący utrzymywał, że już późno.

— Melduj! idzie o rzecz nie cierpiącą zwłoki.

Służący wszedł do mieszkania dyrektora; Nuryn niespokojnie przechodził się po pokoju niemiarowym krokiem.

Za chwilę wyszedł służący.

— Pan jenerał prosi.

Nuryn wszedł — służący zamknął za nim drzwi, przyłożył ucho do dziurki od klucza i pilnie nasłuchiwał. Posłuchanie nie trwało więcéj jak kwadrans; ostatnie słowa, jakie wypowiedział Nuryn, były:

— Wszystkie sąsiednie ogrody otoczyć trzeba, by uniemożebnić ucieczkę.

Jenerał odprowadził go aż do drzwi samych, we drzwiach uścisnął go jeszcze i rzekł:

— Jutro wręczę panu rozkaz uwolnienia téj pani.

Nuryn skłonił się i wyszedł. Jenerał zadzwonił na służącego: był wesół i ręce zacierał.

— Słuchaj — rzekł, pisząc coś na kartce — zawołaj dyżurnego oficera.

Służący wyszedł, na twarzy jego znać było mocne

zaambarasowanie i namyślał się chwilę; potém zeszedł na dół. Nie poszedł jednak wprost do pokoju dyżurnego oficera; zwrócił się na lewo do swojéj izdebki, zbudził syna swego śpiącego, napisał coś na karteczce i szepnął mu do ucha. -- Chłopak chwycił za czapkę i wybiegł na miasto; a stary służący poszedł do oficera. — Oficer pobiegł na górę.

— Czemu się spóźniasz? — krzyknął na niego jenerał.

Oficer nawykły do posłuszeństwa, milczał.

— Weź ten papier, pędź co koń wyskoczy do pułkownika żandarmów — rzecz ważna, pośpiech konieczny. Udasz się na miejsce wraz z pułkownikiem i zdasz mi raport. Będę czekał.

Podczas kiedy bytność Nuryna taki ruch sprawiła w mieszkaniu jenerała — on sam wracał do siebie wpół nieprzytomny. Stało się — odważył się wreszcie na krok stanowczy. Dopóki ta chwila była przed nim, wachał się, namyślał — doznawał obawy, wstydu; była to jednak tylko gra uczuć, któréj mógł według woli nadać ten lub ów obrót. Teraz cofnięcie się nie zależało już od niego, lawina zbrodni runęła, Nuryn słyszał jéj huk we wnętrznościach swéj duszy, włosy stanęły mu na głowie z przerażenia nad tém, co uczynił; w oczach poczęło mu się mącić — szedł na oślep prawie do swego mieszkania, trzymając się murów. Przechodzący byli pewni, że jakiś pijany człowiek potrąca się o nich i ustępowali mu z drogi. Dopadł wreszcie drzwi swego mieszkania, namacał je z trudnością i otworzył a raczéj pchnął je i sam runął na ziemię.

— Wasyl, powietrza, ratunku — zawołał ścieśnionym głosem, twarz mu posiniała i zamknął oczy.

Wasyl przyskoczył ku niemu, rozpiął co prędzéj suknie, ściągnął rękaw i nożem zaciął rękę. Ten pospie-

szny ratunek uratował chorego. — Wasyl nieraz w wojsku niósł w ten sposób pomoc rażonym apopleksją. Chory odetchnął ciężko. Wasyl wziął go na ręce i zaniósł na łóżko. Kiedy miał Nurynowi zapinać koszulę na piersiach, ręka jego zatrzymała się nagle, oczy w jeden punkt utkwił nieruchomie, potém jakby niedowierzał własnym oczom, wziął świecę w rękę i przysunął ją do piersi Nuryna.

— Czego tak patrzysz? — spytał go Nuryn osłabionym głosem.

— Ten skaplerz — ten skaplerz — mówił Wasyl osłupiały — skąd go pan masz?

— To skaplerz podobno po matce mojéj, któréj nigdy nie widziałem.

— Po matce twojéj — zawołał żołnierz — Boże, w głowie mi się miesza.

— Co ci jest Wasylu?

— Synu mój — wrzasnął kaleka, rzucając się na piersi chorego.

— Bóg z tobą stary, tyś oszalał.

Żołnierz z drżącemi rękami rozpiął szynel, odsłonił koszulę i wyjął taki sam skaplerz, jaki wisiał na piersiach Nuryna.

— Patrz! mówił — te skaplerze uszyła nam matka, gdyśmy wyjeżdżali do Warszawy. W drodze aresztowano mnie — co się z tobą stało, nie wiedziałem, myślałem, że jakim cudem wróciłeś do matki.

Ponura, ciemna twarz Nuryna rozjaśniła się dziwną pogodą, wziął starego kalekę za rękę i tulił ją do piersi — a oczy jego zaszkliły się łzami. Była to niema scena szczęścia.

— A gdzież matka moja? — spytał miękim, rzewnym głosem.

— Nie wiem, nie wiem mój synu. Od czasu jak

wróciłem z Kaukazu, szukam ich, dowiaduję się, — ale śladu nie ma ani o matce, ani o córce.

— Więc mam i siostrę? Boże, a jam tak bluźnił, a ja myślałem, że matka moja porzuciła mnie jak szczenię na drodze, że jestem sam — a ja mam — mam rodzinę. —

Naraz coś go zabolało, podniósł się.

— I czemuż ojcze drogi tak późno przychodzisz z tą wieścią do mnie, wczoraj jeszcze twój syn nie był zbrodniarzem. — To mówiąc, zakrył twarz rękami.

— Co mówisz o zbrodni? —

— Słuchaj mnie, słuchaj ojcze — spowiedź będzie okropna; ale nie przeklinaj syna, zostaw to innym, oni go i tak okropnie przeklinać będą.

— Cóż się stało? —

— Może jeszcze się nie stało; ale za chwilę się stanie. Słuchaj: Zaplątany w miłosne sidła jednéj kobiety cudownéj urody, zdradziłem dla jéj ocalenia moich braci.

Stary kaleka się cofnął; ale chory przytrzymał go za rękę i nie chciał puścić od siebie.

— Za chwilę — mówił daléj — żołnierze otoczą dom, w którym spiskowi się zebrali; a jutro ta kobieta ma być wolną.

— Niech będzie przeklętą. — Ja znam tę kobietę — to szatan. — Synu, tych ludzi ratować trzeba.

— Już późno.

— Powiedz gdzie oni są, pobiegnę o jednéj nodze jak wiatr, bo tu idzie o życie ludzi i o hańbę twoją.

— Spiesz więc, uwiadom ich, idź na ulicę Chmielną, na samym końcu, przedostatni ustronny domek. Tam się zgromadzili u wdowy, która się zowie Milowska.

Na to nazwisko zerwał się żołnierz:

— Synu, tak się nazywała twoja matka.

— Co? — wrzasnął Nuryn. Oczy mu zesztywniały, twarz skrzywiła się spazmatycznie, chwycił się za głowę i roześmiał się śmiechem szalonym, dzikim.

Wasyl chwycił czapkę i wybiegł na ulicę. Leciał prawie stukając drewnianém szczudłem po kamieniach, pospiech dech mu zatykał w piersiach, umęczenie ogniem paliło twarz i zjadało resztki sił jego. — Parę razy potknął się i upadł — mimo to wstawał z pospiechem i zadyszany, zgrzany biegł daléj. Naraz zaświeciły koło latarni bagnety i Wasyl ujrzał przy świetle żołnierzy stojących. Bezsilny zatoczył się na parkan i jęknął:

— Za późno!

Siły, które dotąd podtrzymywała nadzieja, opuściły go, zsunął się pod parkan na ziemię i czas jakiś tak leżał, robiąc silnie piersiami. Wreszcie chwilowy odpoczynek i chłód nocy orzeźwił go nieco, podniósł się i patrzał z bijącém sercem w stronę domku, obleganego przez żołdactwo. Na ganeczku i w oknach poruszały się światła, w ogrodzie słychać było gwar i kroki ludzkie. — O ocaleniu nieszczęśliwych niepodobna już było myśleć — stary żołnierz chciał przynajmniéj zobaczyć twarze ukochanych osób, za któremi tęsknił lat tyle. Cofnął się więc za węgieł jednego domu, zkąd ukryty w cieniu mógł dokładnie widzieć, gdy więźniów koło latarni przeprowadzać będą. Wsparł się o mur i czekał — Bóg wie jakie tam myśli kołowały po jego głowie, jakie uczucia kłębiły w sercu. Wszystko, na co czekał lat tyle spełniło się w jednéj chwili w sposób, jakiego się nigdy nie domyślał. Tam syn jego leżał chory — Bóg wie, co się z nim stało; tu żona i córka w niebezpieczeństwie; lada chwila zobaczy je pędzone do cytadeli, drżał na samo wspomnienie téj chwili, a jednak czekał na nią niecierpliwie. Każda minuta długim wiekiem mu się wydawała.

Wreszcie usłyszał pochód żołnierzy po bruku; natężył uwagę, pochylił się naprzód, całą duszę pomieścił w oczach i czekał. Przez pas światła, który latarnia rzucała na ulicę przejechał najprzód pułkownik żandarmeryi z komisarzem, za nim kilku żandarmów pieszych i konnych.

— Teraz ich prowadzić będą — pomyślał sobie żołnierz, dech zaparł w piersiach, serce prawie bić przestało.

Pierwsza postać jaką zobaczył — był kapitan piechoty, za nim postępowały w milczeniu zbite szeregi żołdactwa wyciągnięte w linją. Wasyl baczne rzucał oko w środek, czy wśród bagnetów nie zobaczy gromadki więźniów. I tu ich nie było. Przeszła piechota — za nią zatentniły po bruku kopyta końskie. Kozacy z najeżonemi dzidami przejeżdżali stępo. Już przejechali i zniknęli w ciemnéj ulicy. Wasyl jeszcze czekał — stała się cisza wielka. Wasyl uszom nie wierzył — wyszedł z za domu, spojrzał w około — na ulicy było pusto, ciemno — nikogo.

Jakaś szybka cicho otwierana zabrzęczała w domku, przy którym stał żołnierz — jakieś dwie głowy wyjrzały nią trwożliwie i szepnęły cicho:

— Chwała Bogu, nie znaleźli nikogo.

— Jakto nikogo? odezwał się sam do siebie osłupiały i nieprzytomny kaleka.

Nie więdział, czy się ma smucić, czy cieszyć z tego.

— Nikogo? więc gdzież oni?

Podstąpił naprzód, wsunął się przez otwartą furtkę do ogrodu, wszedł na schodki, do pustych pokoi, w których żołnierze wszystko zprzewracali, przetrząsnęli; żołnierz patrzał na to wszystko ogłupiałym wzrokiem, z otwartemi ustami.

— Nikogo! powtórzył machinalnie.

Echo pustych ścian powtórzyło te słowa; obejrzał się do koła.

— Gdzież więc są? zawołał z rozpaczą i rzucił się na ziemię zanosząc się od głośnego łkania.

Nad ranem dopiero uspokoił się nieco, podniósł się strapiony, postarzały o kilka lat, z oczami czerwonemi i nabrzękłemi od płaczu. Brzask dzienny obrzucał już szarém światłem ściany izdebki. Nad łóżkiem zobaczył swój portret z młodych lat, za nim była u spodu wymieniona data jego uwięzienia. Ten portret ozdobnie oprawny przekonał go, że pamiętano o nim w tym cichym zakątku, co jednak tylko zdwoiło żal jego. Po tylu latach był tak blizkim rodziny i naraz znowu tak daleko od niéj, bo nie łudził się w tym względzie i widział, że teraz bardziéj niż kiedykolwiek stracił jéj ślad. Jak znaleść ludzi, którzy wciąż kryć się muszą, których schronienia nikt mu nie wyjawi, których odkrycie byłoby hasłem ich zguby. W rozpacznych tych myślach stary żołnierz grzebał ostatki nadziei. Przypomniał sobie, że mu jeszcze syn pozostał; wziął więc ze ściany swój portret, jako jedyną pamiątkę po nieodszukanéj rodzinie i powlókł się z nim do domu.

Przed bramą zastał kilkoro ludzi rozmawiających; gdy go ujrzeli wracającego zwrócili się głowami ku ku niemu; Wasyl ich nie widział, mając głowę spuszczoną na dół, bo inaczéj byłyby go zadziwiły ich spojrzenia. Nie patrząc na nikogo przechodził koło nich.

— Nie masz po co wracać stary — odezwał się jeden ze stojących — twego pana nie ma już tutaj.

Te słowa obudziły żołnierza jak prysk zimnéj wody. Podniósł głowę i spojrzał z przestrachem na stojących:

— Co się stało?

— Odwieziono go do domu warjatów.

Stary już nie miał siły rozpaczać, zanadto ciosów uderzyło dziś w niego i ubezwładniły go. Nie poszedł już na górę, ale się odwrócił i poszedł w miasto. — Koło Śgo Krzyża skręcił na lewo, wstąpił do szynku i zawołał dziwnym, przykrym głosem:

— Wódki!

Pił i pił — lał w siebie — nie mógł się upić. Zdawało się, że smutek wyrobił w nim jakąś bezdenną przepaść, której napełnić nie zdołał. Gdy przyszło do płacenia, pokazało się, że nie miał nic przy sobie. Był w niemałym kłopocie. Wreszcie jakaś pijana myśl przyszła mu do głowy, wyjął portret zpod pachy i rzucił go na stół szynkarzowi.

— Masz, całego siebie daję za kilka kieliszków wódki.

Rozśmiał się — i ludzie stojący w koło, śmiali się także.

Kiedy karczmarz miał chować portret — żołnierz nagle opamiętał się, oczy mu zesztywniały ponuro, rzucił się do stołu i chwycił za portret oboma rękami usiłując go wydrzeć.

— Ja go nie dam — to pamiątka, jedyna pamiątka po niéj.

— A mnie co do jakiéjś niéj.

— Milcz, zawołał groźnie żołnierz, składając pięść.

— Zapłać, a oddam ci tę starą bazgraninę.

— Wykupię ją — dobrze? — prosił żołnierz czułym głosem. Ta myśl go uspokoiła i wyszedł z szynkowni z zamiarem wykupienia obrazu.

Ta myśl stała się marzeniem jego życia, któréj nigdy nie urzeczywistnił, bo każdy grosz zarobiony lub wyżebrany przepijał, a wykupienie obrazu odkładał na

później. Czasami, gdy był trzeźwiejszy, zachodził do szpitala warjatów, gdzie Nuryn w strasznem szaleństwie rzucał się jak zwierz dziki. To obłąkany się zasłaniał przed sztyletami, któremi mu grożono — to wyciągał ręce do nieznanej matki, lub obejmował rękami słup i pieścił się z nim i całował, nazywając go imieniem Irreoltemy. Lekarze zwątpili o jego wyzdrowieniu. Stary żołnierz kaleka godzinami nieraz siedział u drzwi i patrzał na syna; potém odchodził zapłakany i szedł pić.

Irreoltema, która z każdą godziną czekała wolności, w skutek owej nieudałej denuncjacyi, długi jeszcze czas przebywała w więzieniu; wysłano ją potém do katorgi, gdzie jakiś pułkownik rosyjski wyrobił jéj uwolnienie i ożenił się z nią. Rozeszła się potém wieść, że dziki a zazdrosny mąż przekonawszy się o niewierności swéj żony, w straszny oszpecił ją sposób, prawie potworną ją uczynił i wygnał. Odtąd ginie ślad o niéj. Wierzono, że zły duch, który wcielił się w te piękne kształty i kusił ludzi do złego, z oszpeceniem tych kształtów znikł bez śladu z ziemi; stworzono z niéj bajeczną postać, nie chcąc przypuścić, aby taki potwór moralny mógł być kobietą: aby takie wdzięki niewieście mogły być przyczyną tylu nieszczęść i upadków. Jako autor muszę zaprzeczyć téj wierze; Irreoltema jest kobietą, a jeżeli chcecie, to wam powiem najdaléj, że jest ideałem kobiet bezdusznych, bezsercowych, a pięknych — owych cudownych kwiatów, których sok trucizną jest.

Na zakończenie powieści wypada zapewne jeszcze zaspokoić ciekawych czytelników, w jaki sposób spiskowi i zakochana para tak szczęśliwie uszli nieszczęścia, w jakie ich miała wtrącić zdrada Nuryna.

Przypomną sobie zapewne czytelnicy owego służącego w pałacu dyrektora policyi. Był to człowiek od-

dany całkiem sprawie narodowej; o podobnych ludzi nie trudno było wtedy; organizacja narodowa miała swoich zaufanych i wiernych w domach, gdzie się tego najmniéj spodziewano i dla tego tak długo przed czujném okiem rządu moskiewskiego ukryć się mogła. — Otóż ów sługa wysłuchawszy najdokładniéj całéj denuncjacyi, posłał natychmiast swego syna do spiskowych z przestrzeżeniem. Dzwonek, który tak przestraszył kobiety siedzące przy chorym, był szarpnięty ręką tego chłopca. — Wszyscy więc mieli dość czasu do ratowania się i do przeniesienia chorego w miejsce bezpieczne. Gdy przybyło wojsko, zastało puste stancje. — Pani Milowska z córką wyjechały niebawem z Warszawy na wieś, gdzie także przewieziono doktora. Obydwie kobiety jak siostry miłosierdzia oddały się pielęgnowaniu chorego, któremu szczęście i miłość prędzéj niż medycyna powracały zdrowie i siły. — W kilka miesięcy potém w małym, wiejskim kościołku nastąpił ślub zakochanéj pary. — Po ślubie małżonkowie odebrali z Warszawy od jednego z przyjaciół list, gdzie stało napisane: „Ciekawém może będzie dla was wiedzieć nazwisko zdrajcy, który całą organizację chciał wydać w ręce rządu: jest nim Juliusz Nuryn. — Rząd narodowy jednak wstrzymał się z ukaraniem winnego, bo sam Bóg spuścił na niego swoją prawicę. Nuryn jest w domu obłąkanych. Powiadają, że powodem, który go popchnął do téj strasznéj zbrodni, była chęć ocalenia jednéj kobiety z rąk sprawiedliwości — imię téj kobiety ma podobno być Irreoltema".

— Irreoltema! — powtórzył doktór składając list.

— Czy znałeś tę kobietę?, — spytała Helena wiesząjąc się na ramieniu męża.

— Znałem, ale to nie była kobieta.

— Jakto? Czémże ona była?

— Syreną.

— Nie rozumiem cię, mój drogi.

— Była piękną jak syrena, zimną jak te potwory morskie i wabiła ludzi do zguby i upadku.

— Czy może i mój pan słuchał tych syrenów śpiewów? — spytała z uśmiechem Helena.

— Słuchałem — słuchałem — mówił doktór.

— I upadłeś?

— Nie, bo mnie zawcześnie uratowano od zguby.

— A czy wolno wiedzieć kto taki? —

— Anioł, którego na ziemi zowią Heleną.

To mówiąc, przycisnął żonę do piersi i złożył na jéj białém czole pierwszy pocałunek.

KONIEC.